NEIL
GAIMAN
MITOLOGIA
NORDYCKA

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Gracze

Przed początkiem, i po

Yggdrasill i dziewięć światów

Głowa Mimira i oko Odyna

Skarby bogów

Mistrz budowniczy

Dzieci Lokiego

Niezwykły ślub Frei

Miód poetów

Wyprawa Thora do krainy olbrzymów

Jabłka nieśmiertelności

Historia Gerd i Freja

Wyprawa rybacka Hymira i Thora

Śmierć Baldera

Ostatnie dni Lokiego

Ragnarök: ostateczne przeznaczenie bogów

Glossariusz

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Norse Mythology*
Copyright © 2017 by Neil Gaiman

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Ilustracja na okładce: Dark Crayon
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II
ISBN 978-83-7480-801-9

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228134743
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla Everetta.
Stare historie dla młodego chłopca.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Wstęp

Wybrać ulubiony zestaw mitów jest równie trudno jak ulubioną kuchnię (czasami mamy ochotę na jedzenie tajskie, czasami na sushi, innym razem na zwykłe domowe potrawy, na których się wychowywaliśmy). Gdybym jednak musiał wskazać mojego faworyta, prawdopodobnie byłyby to mity nordyckie.

Po raz pierwszy zetknąłem się z Asgardem i jego mieszkańcami jako mały chłopiec, najwyżej siedmiolatek, podczas lektury przygód Potężnego Thora, w wersji amerykańskiego rysownika komiksowego Jacka Kirby'ego, według scenariuszy Kirby'ego i Stana Lee, z dialogami brata Stana Lee, Larry'ego Liebera. Thor Kirby'ego był rosły i przystojny, jego Asgard ogromny, fantastyczny, pełen wyniosłych budowli i niebezpiecznych wież, jego Odyn mądry i szlachetny, jego Loki sardoniczny, odziany w hełm, złośliwy i podstępny. Uwielbiałem jasnowłosego, uzbrojonego w młot Thora Kirby'ego i chciałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Wypożyczyłem zatem „Mity ludów północy" Rogera Lancelyna Greena i zagłębiłem się w nie ze zdumieniem i radością: w tej wersji Asgard nie był już miastem przyszłości Kirby'ego, ale dworem i skupiskiem budynków wikingów na lodowych pustkowiach; łagodnego, mądrego i wybuchowego Odyna Wszechojca zastąpił błyskotliwy, nieprzenikniony i niebezpieczny władca. Thor pozostał równie silny jak ten

z komiksów, jego młot zachował swą moc, ale był także – no, szczerze mówiąc, nie najbystrzejszym z bogów, a Loki przestał być wcieleniem zła, choć z całą pewnością nie działał na rzecz dobra. Loki był... skomplikowany.

Dodatkowo dowiedziałem się, że bogowie nordyccy mają własny koniec świata: Ragnarök, Zmierzch Bogów, kres wszystkiego. Bogowie mieli stanąć do walki z lodowymi olbrzymami i wszyscy zginąć.

Czy Ragnarök już się wydarzył? Czy dopiero nadejdzie? Nie wiedziałem tego wtedy i nie mam pewności teraz.

I właśnie fakt, że świat i historia kończą się, a po końcu odradzają na nowo, spowodował, że bogowie, lodowi olbrzymi i cała reszta stali się dla mnie bohaterami tragicznymi i tragicznymi złoczyńcami. Ragnarök sprawił, że świat nordycki pozostał przy mnie, wydawał mi się dziwnie aktualny, wciąż obecny, podczas gdy inne, lepiej udokumentowane systemy wierzeń wyglądały jak fragmenty dawno minionej przeszłości.

Mity nordyckie to mity mroźnych krajów, niemiłosiernie długich zimowych nocy i niekończących się letnich dni. Mity ludu, który nie do końca ufał swoim bogom, a nawet ich nie lubił, choć żywił do nich szacunek i lęk. Z tego, co nam wiadomo, bogowie Asgardu przybyli z Niemiec, podbili Skandynawię i objęli we władanie części świata zajęte przez wikingów – Orkady, Szkocję, Irlandię i północ Anglii – gdzie najeźdźcy pozostawili po sobie osady nazwane na pamiątkę Thora i Odyna. W języku angielskim bogowie użyczyli swych imion dniom tygodnia. Wspomnienie Tyra Jednorękiego (syna Odyna), Odyna, Thora i Frigg, władczyni bogów, odnajdziemy w nazwach Tuesday (wtorek), Wednesday (środa), Thursday (czwartek), Friday (piątek).

W opowieściach o wojnie i rozejmie pomiędzy Asami i Wanami można odnaleźć ślady starszych mitów i starszych

religii. Wanowie to bogowie przyrody, bracia i siostry, mniej wojowniczy, ale być może nie mniej niebezpieczni niż Asowie.

Jest wielce prawdopodobne, a przynajmniej można przyjąć taką hipotezę, że istniały plemiona oddające cześć Wanom i inne, czczące Asów, i że wyznawcy Asów najechali ziemie wyznawców Wanów, co doprowadziło do ustępstw i kompromisów. Wanowie tacy jak rodzeństwo Freja i Frejr żyją w Asgardzie wśród Asów. Historia, religia i mit splatają się ze sobą, a my zachwycamy się, wyobrażamy sobie, zgadujemy niczym detektywi odtwarzający detale dawno zapomnianej zbrodni.

Jest tak wiele nordyckich opowieści, które się nie zachowały, tak wiele rzeczy, których nie znamy. Pozostała tylko cząstka mitów, która dotarła do nas w postaci ludowych bajań, wersji wtórnych, poematów, prozy. Zapisano je w czasach, gdy chrześcijaństwo wyparło już wiarę w nordyckich bogów, toteż część historii zachowała się tylko dlatego, że ludzie obawiali się, że jeśli ich nie przekażą, większość kenningów – poetyckich przenośni odnoszących się do wydarzeń w poszczególnych mitach – straci swoje znaczenie: przykładowo „łzy Frei", to poetyckie określenie „złota". W niektórych opowieściach nordyckich bogów opisuje się jako starożytnych ludzi, królów bądź herosów, by móc je powtarzać w świecie chrześcijańskim. W historiach i wierszach często wspomina się inne opowieści albo sugeruje ich istnienie, ale po prostu ich nie znamy.

To trochę tak, jakby jedynymi historiami o bogach i półbogach Grecji i Rzymu, jakie przetrwały do czasów dzisiejszych, były czyny Tezeusza i Herkulesa.

Tak wiele utraciliśmy.

Istnieje wiele bogiń nordyckich. Znamy ich imiona, czasami atrybuty i moce, ale opowieści, mity i rytuały nie przetrwały do naszych czasów. Bardzo chciałbym opowiedzieć po swojemu

historię Eir, była bowiem lekarką bogów, Lofn, pocieszycielki, nordyckiej bogini małżeństwa albo Sjofn, bogini miłości, nie wspominając już o Vor, bogini mądrości. Mogę sobie je wyobrazić, ale nie opowiem ich historii. Zaginęły, pozostały w ukryciu albo w otchłani niepamięci.

Starałem się jak umiem najlepiej opowiedzieć na nowo owe mity i historie, zachowując możliwie największą wierność, lecz tak, by zabrzmiały jak najciekawiej.

Czasami szczegóły danej historii zaprzeczają sobie nawzajem. Mam jednak nadzieję, że w sumie tworzą obraz świata i czasów. Spisując na nowo owe mity, próbowałem wyobrazić sobie samego siebie, jak dawno, dawno temu w krainach, w których powtarzano je po raz pierwszy, może podczas długich zimowych nocy, w blasku zorzy polarnej albo na dworze, siedząc do ranka pod niegasnącym niebem północy, opowiadam je zasłuchanym ludziom, którzy chcą dowiedzieć się, co jeszcze zrobił Thor, czym jest tęcza, jak przeżyć swoje życie i skąd się biorą złe wiersze.

Kiedy skończyłem pracę i odczytałem historie w kolejności, z zaskoczeniem odkryłem, że sprawiają wrażenie podróży od lodu i ognia, w którym rodzi się wszechświat, po ogień i lód, w których się kończy. Po drodze spotykamy ludzi, których natychmiast byśmy rozpoznali, takich jak Loki, Thor i Odyn, a także innych, o których pragniemy dowiedzieć się znacznie więcej (wśród nich moją ulubienicę Angrbodę, żonę Lokiego z rodu olbrzymów, matkę jego potwornych dzieci, która pojawia się jako duch po śmierci Baldera).

Nie odważyłem się powrócić do innych autorów opowiadających mity nordyckie, których dzieła uwielbiałem w dzieciństwie, takich jak Roger Lancelyn Green i Kevin Crossley-Holland. Zamiast tego mnóstwo czasu spędziłem nad wieloma różnymi przekładami „Eddy prozaicznej” Snorriego

Sturlsona, a także zwrotkami „Eddy poetyckiej”, słowami sprzed dziewięciuset lat i wcześniejszymi, przebierając wśród historii, selekcjonując te, które pragnę opowiedzieć, i wymyślając, jak to uczynić, łącząc wersje mitów z prozy i wierszy. (Przykładowo odwiedziny Thora u Hymira, które tu opisuję, to hybryda: historia zaczyna się w „Eddzie poetyckiej”, by potem dołączyć szczegóły rybackiej wyprawy Thora z wersji Snorriego).

Cały czas towarzyszył mi sfatygowany egzemplarz „A Dictionary of Northern Mythology” Rudolfa Simeka, w tłumaczeniu Angeli Hall, który okazał się nieoceniony, nieustannie dostarczał mi informacji, otwierał oczy i wskazywał drogę.

Chcę bardzo podziękować starej przyjaciółce, Alisie Kwitney, za pomoc redaktorską. Była cudowną rozmówczynią, zawsze szczerą i mającą własne zdanie, pomocną, rozsądną i mądrą. To dzięki niej napisałem te historie, głównie dlatego, że chciała przeczytać, co będzie dalej, i pomogła mi znaleźć dość czasu, bym wziął się do pracy. Jestem jej niewymownie wdzięczny. Dziękuję też Stephanie Monteith, której sokoli wzrok i znajomość kultury nordyckiej wychwyciły kilka rzeczy, które sam mógłbym przeoczyć. Dziękuję też Amy Cherry z Nortona, która w dniu moich urodzin osiem lat temu zaproponowała, że mógłbym opowiedzieć na nowo kilka mitów, i biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, okazała się najcierpliwszą redaktorką świata.

Wszystkie błędy, pochopne wnioski i osobliwe opinie w tym tomie są moje i tylko moje, nie chcę, by kogokolwiek o nie obwiniano. Mam nadzieję, że opowiedziałem te historie w sposób uczciwy, ale twórczy i nadal dający wiele radości.

Bo na tym właśnie polega cudowność mitów. Zabawą jest samo ich opowiadanie – i szczerze zachęcam do tego Was,

którzy czytacie te słowa. Przeczytaj historie z książki, a potem przejmij je, by pewnego mrocznego, mroźnego, zimowego wieczoru albo w letnią noc, gdy słońce nie zachodzi, opowiedzieć przyjaciołom, co się wydarzyło, gdy skradziono młot Thora, albo jak Odyn zdobył dla bogów miód poezji...

Neil Gaiman

Lisson Grove, Londyn,
Maj 2016.

Gracze

W mitologii nordyckiej pojawia się wielu bogów i wiele bogiń. Na kartkach tej książki spotkacie ich całkiem sporo. Większość historii jednak skupia się wokół dwóch z nich, Odyna i jego syna Thora, a także brata krwi Odyna, syna olbrzymów, Lokiego, który mieszka z Asami w Asgardzie.

Odyn

Najstarszym i najwyższym ze wszystkich bogów jest Odyn.

Odyn zna wiele tajemnic, oddał za mądrość własne oko. Co więcej, złożył sobie w ofierze siebie samego po to, by zdobyć moc i poznać sekrety runów.

Zawisł na drzewie świata Yggdrasillu i wisiał tam przez dziewięć nocy. Bok przeszył mu grot włóczni, zadając ciężką ranę. Smagały go wiatry, szarpiąc dyndającym ciałem. Przez dziewięć dni i dziewięć nocy nie jadł niczego i niczego nie pił. Pozostał sam ze swoim cierpieniem, a światło jego życia powoli gasło.

Przemarznięty, cierpiący dotarł na skraj śmierci, gdy jego ofiara zrodziła mroczny owoc: w ekstazie agonii spojrzał w dół i ujrzał przed sobą runy. Poznał je i zrozumiał ich znaczenie i moc, a wówczas sznur pękł i Odyn z krzykiem runął z drzewa.

Teraz znał i rozumiał magię. Teraz mógł zapanować nad światem.

Odyn ma wiele imion. To Wszechojciec, władca poległych, bóg szubienic. To bóg ładunków i więźniów. Nazywają go Grimnirem i Trzecim. W każdym kraju nosi inne miano (oddają mu bowiem cześć w różnych postaciach i w wielu językach, ale obiektem ich czci zawsze pozostaje Odyn).

Podróżuje z miejsca do miejsca w przebraniu, by oglądać świat takim, jakim widzą go ludzie. Kiedy krąży pośród nas, przybiera postać wysokiego męża w płaszczu i kapeluszu.

Ma dwa kruki, które nazwał Huginn i Muninn, co oznacza myśl i pamięć. Ptaki te fruwają między światami, przekazując Odynowi wieści o wszystkim, co istnieje. Przysiadają mu na ramionach i szepczą do uszu.

Kiedy zasiada na swym wysokim tronie Hlidskjalfie, dostrzega z niego wszystko, nieważne, gdzie się dzieje. Nic nie zdoła się przed nim ukryć.

Przyniósł na świat wojnę: bitwy rozpoczyna się od ciśnięcia włóczni we wrogą armię, poświęcając walkę i poległych Odynowi. Jeśli przeżyjesz bitwę, to z łaski Odyna. Jeśli padniesz, to dlatego, że cię zdradził.

Jeżeli zginiesz, walcząc dzielnie w wojnie, walkirie, piękne bitewne dziewice, które zbierają dusze szlachetnych zmarłych, poniosą cię do dworu zwanego Walhallą. Tam będzie na ciebie czekał Odyn i tam zasiądziesz do uczt, trunków, bójek i bitew pod jego rozkazami.

Thor

Thor, syn Odyna, to bóg gromu. Tam, gdzie ojciec jest przebiegły, on pozostaje uczciwy; nie jak Odyn, podstępny i mroczny, lecz serdeczny i życzliwy.

Rosły jest i rudobrody, a także silny, najsilniejszy ze wszystkich bogów. Mocy dodaje mu pas siły, Megingjord: gdy go przywdziewa, jego siła się podwaja.

Broń Thora to Mjollnir, niezwykły młot wykuty dla niego przez karły. Wkrótce poznacie jego historię. Trolle, lodowi olbrzymi i ich górscy bracia drżą na widok Mjollnira, zabił bowiem wielu ich druhów i pobratymców. Thor nosi żelazne rękawice pomagające pewnie uchwycić trzonek.

Matką Thora jest Jord, bogini ziemi. Jego synowie to Modi, Gniewny, i Magni, Silny. Córką Thora jest Thrud, Potężna. Jego żona to Sif Złocistowłosa. Nim poślubiła Thora, miała syna Ullra, Thor jest zatem jego ojczymem. Ullr to bóg, który poluje z łukiem i strzałami, bóg, który biega na nartach.

Thor broni Asgardu i Midgardu.

Istnieje wiele historii na temat Thora i jego przygód. Niektóre przeczytacie tutaj.

Loki

Loki jest bardzo piękny, wiarygodny, przekonujący, sympatyczny i zdecydowanie najpodstępniejszy, najsubtelniejszy i najprzebieglejszy ze wszystkich mieszkańców Asgardu. Szkoda zatem, że kryje w sobie tak wiele mroku, tak wiele gniewu, nienawiści, żądzy.

Loki to syn Laufey, zwanej także Nal albo Igłą, była bowiem smukła, piękna i ostra. Spłodził go ponoć Farbauti, olbrzym; imię to znaczy: „ten, który wymierza niebezpieczne ciosy”, sam Farbauti zaś był równie groźny jak jego miano.

Loki stąpa po niebie w latających butach, potrafi odmieniać swą postać na podobieństwo innych ludzi albo zamieniać się w zwierzę, ale prawdziwą jego bronią pozostaje rozum. Jest

najsprytniejszy, najprzebieglejszy, najpodstępniejszy; nie może się z nim równać żaden inny bóg czy olbrzym. Nawet Odyn nie dorównuje mu perfidią. Loki jest bratem krwi Odyna. Pozostali bogowie nie wiedzą, kiedy Loki przybył do Asgardu, ani jak. Przyjaźni się z Thorem i go zdradza. Inni bogowie go tolerują, może dlatego, że knowania i plany Lokiego równie często ratują im skórę, jak wplątują w kłopoty.

Dzięki Lokiemu świat jest ciekawszy, ale mniej bezpieczny. To ojciec potworów, twórca utrapień, przebiegły bóg.

Loki za dużo pije, a wówczas nie potrafi upilnować swych myśli, słów ani czynów. Loki i jego dzieci przybędą na pole ostatniej bitwy podczas Ragnaröku, Kresu Wszechrzeczy, i będą walczyć, lecz nie po stronie bogów Asgardu.

Przed początkiem, i po

I

Przed początkiem nie było niczego – ani ziemi, ani niebios, ani gwiazd: jedynie świat mgieł, bezkształtny, nieforemny, i świat ognia, wiecznie płonący.

Na północy leżał Niflheim, mroczny świat. Tu jedenaście trujących rzek przecinało mgłę, a każda z nich wypływała z tego samego źródła pośrodku wszystkiego, z ryczącego wiru zwanego Hvergelmir. W Niflheimie panował ziąb nad ziąby, a gęsta, ciemna, skrywająca wszystko mgła kłębiła się ciężko wokół. Lodowa mgła zasnuwała zarówno nieboskłon, jak i ziemię.

Na południu leżał Muspell, kraina ognia; wszystko tam jarzyło się i płonęło. Gdy w Niflheimie zalegał mrok, w Muspellu jaśniało światło, miast chłodu krainy mgieł tu przelewała się płynna lawa. Cała kraina płonęła ryczącym ogniem kowalskiej kuźni; nie było tam twardego lądu ani nieba. Nic poza iskrami i morderczym gorącem, płynnymi skałami i rozpalonym żarem.

Na skraju Muspellu, gdzie płomień wypala mgłę w światło i gdzie kończy się ziemia, stał Surtr, który istniał przed bogami. Stoi tam i teraz. Dzierży ognisty miecz, a wrząca lawa i marznąca mgła to dla niego jedno.

Powiadają, że gdy nastanie Ragnarök, czyli kres świata, i tylko wtedy, Surtr porzuci swój posterunek. Odejdzie z Muspellu z ognistym mieczem i wypali ten świat, a bogowie padną przed nim bez życia.

II

Pomiędzy Muspellem i Niflheimem rozciągała się otchłań, pustka i nicość bez kształtów. Rzeki mgły wpadały do tej otchłani zwanej Ginnungagapem, „Ziejącą przepaścią”. Po niezliczonych wiekach, w krainie pomiędzy ogniem a mgłą owe trujące rzeki powoli zestaliły się, tworząc olbrzymie lodowce. Lód na północ od otchłani pokrywały kulki gradu i zamarznięta mgła, lecz na południu, gdzie docierał do krainy ognia, żar i iskry Muspellu zderzały się z nim, a ciepłe wiatry z płomienistych ziem sprawiały, że powietrze było łagodne i miłe niczym wiosenny poranek.

W miejscu, gdzie lód i ogień się stykały, lód topniał, a w topniejących wodach ocknęło się życie: istota na kształt człowieka, większa od światów, większa nawet od jakichkolwiek olbrzymów, którzy dotąd istnieli i będą istnieć w przyszłości. Istota nie była mężczyzną ani kobietą, lecz jednym i drugim zarazem.

Istota ta to przodek wszystkich olbrzymów. Nazwała siebie Ymirem.

Ymir nie był jedyną żywą istotą powstałą z topniejących lodów: obok niego zrodziła się bezroga krowa, której ogromu umysł nie zdoła ogarnąć. Miast napitku i strawy zlizywała słone bryły lodu, a mleko z jej czterech wymion płynęło niczym rzeki. Tym właśnie mlekiem żywił się Ymir.

Olbrzym pił mleko i rósł.

Ymir nazwał krowę Audhumlą. Różowy język krowy wylizał ludzi z lodowych brył: pierwszego dnia jedynie włosy człowieka, drugiego jego głowę, trzeciego ukazał się zarys całej postaci.

To był Buri, praojciec bogów.

Ymir spał i we śnie wydał na świat potomków: spod jego lewej ręki zrodzili się olbrzym i olbrzymka, spod nóg sześciogłowy olbrzym. Z owych dzieci Ymira wywodzi się cały ród olbrzymów.

Buri pojął za żonę jedną z nich, a ona zrodziła mu syna, którego nazwali Bor. Bor poślubił Bestlę, córkę olbrzyma, razem mieli trzech synów: Odyna, Wilego i We. Odyn, Wili i We, trzej synowie Bora, osiągnęli wiek męski. Dorastając, oglądali z daleka płomienie Muspellu i ciemność Niflheimu, wiedzieli jednak, że w obu miejscach czeka na nich jedynie śmierć. Bracia tkwili uwięzieni na zawsze w Ginnungagapie, olbrzymiej otchłani pomiędzy ogniem i mgłą. Równie dobrze mogli znajdować się w nicości i pustce.

Nie było tam morza ani piasku, trawy ani kamieni, ziemi, drzew, nieba ni gwiazd. W owych czasach nie istniał świat, niebo ani ziemia. Otchłań była nicością: pustką czekającą, aż zapełni ją istnienie i życie.

Nadszedł czas na stworzenie wszystkiego. We, Wili i Odyn spojrzeli po sobie i przemówili o tym, co muszą zrobić w sercu otchłani Ginnungagapu. Mówili o wszechświecie, o życiu i o przyszłości.

Odyn, Wili i We zabili olbrzyma Ymira. Musieli to uczynić, nie było innego sposobu, by stworzyć światy. To właśnie początek wszechrzeczy, śmierć, która stała się zalążkiem wszelkiego życia.

Dźgnęli wielkiego olbrzyma. Z trupa Ymira wypłynęła krew, niewiarygodne ilości krwi: fontanny krwi słonej jak morze

i szarej jak ocean trysnęły tak mocno, tak gwałtownie i tak głęboko, że porwały i utopiły wszystkich olbrzymów. (Ocalał tylko jeden, Bergelmir, wnuk Ymira, i jego żona, wdrapali się bowiem na drewnianą skrzynię, która uniosła ich niczym łódź. Wszyscy olbrzymi, których spotykamy dziś i których dziś się lękamy, wywodzą się właśnie od nich).

Z ciała Ymira Odyn i jego bracia stworzyli ziemię. Kości Ymira usypali w góry i urwiska.

Nasze głazy i kamyki, piasek i żwir były kiedyś zębami Ymira i odłamkami kości, strzaskanych i zmiażdżonych przez Odyna, Wilego i We w bitwie z olbrzymem.

Morza opasujące świat to krew i pot Ymira.

Spójrzcie w niebo: patrzycie na wnętrze czaszki Ymira. Gwiazdy, które widzicie nocą, planety, komety i spadające gwiazdy to iskry z ogni Muspellu. A chmury widziane za dnia? To był kiedyś mózg Ymira. Kto wie, o czym dziś rozmyśla.

III

Świat to płaski dysk, morze obmywa jego brzegi. Na skraju świata, nad najgłębszym morzem żyją olbrzymi.

By powstrzymać ich zapędy, Odyn, Wili i We wznieśli mur z rzęs Ymira i ustawili go wokół środka świata. Krainę wewnątrz muru nazwali Midgardem.

Midgard był pusty. Choć ziemie zachwycały swym pięknem, nikt nie wędrował po łąkach, nie łapał ryb w czystych wodach, nikt nie badał skalistych gór ani nie spoglądał w chmury.

Odyn, Wili i We wiedzieli, że świat nie jest światem, póki nie zyska mieszkańców. Wędrowali we wszystkie strony, szukając ludzi, lecz nikogo nie znaleźli. W końcu na kamienistej plaży na

skraju morza ujrzeli dwie kłody poobijane przez fale, przyniesione wodami przypływu i wyrzucone na brzeg.

Pierwsza była pniem jesionu. Jesion to drzewo odporne i piękne, jego korzenie sięgają głęboko, drewno świetnie się rzeźbi, nie pęka ani nie trzaska. Doskonale nadaje się na trzonki narzędzi i na drzewce włóczni.

Drugą kłodą, którą znaleźli obok pierwszej na plaży, tak blisko, że niemal się stykały, był pień wiązu. Wiąz to drzewo wdzięczne, ale drewno ma twarde, idealne do ciosania najmocniejszych belek i desek: z drewna wiązowego można wznieść solidny dom.

Bogowie wzięli owe dwie kłody, postawili je pionowo na piasku, tak że miały wysokość człowieka. Odyn chwycił je i kolejno tchnął w nie życie. Nie były już martwymi kłodami na plaży, teraz stały się żywe.

Wili obdarzył je wolą, zdecydowaniem i rozumem. Teraz mogły się poruszać i pragnąć.

We wyrzeźbił kłody. Nadał im kształt ludzi. Wyrzezał im uszy, by mogły słyszeć, i oczy, by widziały, a także usta, by zdołały przemówić.

Dwa pnie stały na plaży, dwoje nagich ludzi. We wyrzeźbił jednemu narządy męskie, drugiemu żeńskie.

Trzej bracia sporządzili szaty dla kobiety i mężczyzny, by się przyodziali i nie marzli w zimnych powiewach wiatru i morskiej piany na skraju świata.

Na koniec nadali dwójce stworzonych przez siebie ludzi imiona: mężczyznę nazwali Askiem albo Jesionem, kobietę Emblą albo Wiązem.

Ask i Embla stali się ojcem i matką nas wszystkich; każda istota żywa zawdzięcza życie swym rodzicom, ich rodzicom i dalszym z kolei. Jeśli sięgniecie dość daleko, przekonacie się, że przodkami nas wszystkich byli Ask i Embla.

Embla i Ask zamieszkali w Midgardzie, bezpieczni za murem stworzonym przez bogów z rzęs Ymira. W Midgardzie wznieśli swój dom, chroniony przed potworami, olbrzymami i wszelkimi stworami z pustkowi. W Midgardzie mogli spokojnie wychowywać dzieci.

Dlatego właśnie Odyna zwiemy Wszechojcem. Był bowiem ojcem bogów i tchnął życie w dziadków naszych dziadków naszych dziadków. Nieważne, czy jesteśmy bogami, czy śmiertelnymi, Odyn pozostaje ojcem nas wszystkich.

Yggdrasill i dziewięć światów

Jesion Yggdrasill to potężne drzewo, najdoskonalsze i najpiękniejsze ze wszystkich drzew, a także największe. Rośnie pomiędzy dziewięcioma światami i łączy je wszystkie ze sobą. To najpotężniejsze ze wszystkich drzew i najbardziej urokliwe, czubki jego gałęzi wznoszą się ponad niebo.

Jest tak wielkie, że korzenie jesionu wrastają w trzy światy, a podlewają je trzy studnie.

Pierwszy i najgłębszy korzeń sięga do świata podziemi, Niflheimu, miejsca, które istniało przed innymi. Pośrodku owego mrocznego świata tkwi wiecznie wzburzone źródło, Hvergelmir, tak głośne, że brzmi niczym kocioł z wrzącą wodą. W wodach owych żyje smok, Nidhogg, stale podgryzający korzeń od spodu.

Drugi korzeń sięga królestwa lodowych olbrzymów i studni należącej do Mimira.

Na najwyższych gałęziach drzewa świata czuwa orzeł, który wie wiele rzeczy, a między jego oczami przysiadł jastrząb.

Pośród gałęzi drzewa świata mieszka wiewiórka, Ratatosk. Przenosi ona wieści i plotki od Nidhogga, straszliwego pożeracza trupów, do orła i z powrotem. Wiewiórka okłamuje ich obu i znajduje radość we wzbudzaniu ich gniewu.

Na wielkich konarach drzewa świata pasą się cztery jelenie pożerające liście i korę. U stóp drzewa wiją się niezliczone węże gryzące korzenie.

Na drzewo świata można się wspiąć. To właśnie na nim powiesił się w ofierze Odyn, zamieniając drzewo świata w szubienicę, a siebie samego w boga szubienic.

Bogowie nie wdrapują się na drzewo świata – podróżują między światami za pomocą Bifrostu, tęczowego mostu. Tylko bogowie mogą przemieszczać się po tęczy: Bifrost spaliłby stopy każdego lodowego olbrzyma albo trolla, który spróbowałby się wgramolić na niego, by dotrzeć do Asgardu.

Oto zatem dziewięć światów:

Asgard, Dom Asów. Tu właśnie mieszka Odyn.

Alfheim, gdzie mieszkają elfy jasne. Elfy jasne są piękne niczym słońce i gwiazdy.

Nidawellir, czasami nazywany Swartalfheimem, w którym karły (zwane także mrocznymi elfami) żyją pod górami i wznoszą swe niezwykłe siedziby.

Midgard, świat kobiet i mężczyzn, świat będący naszym domem.

Jotunheim, gdzie wędrują lodowi i górscy olbrzymi, gdzie wznieśli swoje domostwa.

Vanaheim, gdzie żyją Wanowie. Asowie i Wanowie to bogowie zjednoczeni traktatami pokojowymi, wielu bogów z Wanów mieszka w Asgardzie z Asami.

Niflheim, kraina mrocznych mgieł.

Muspell, świat płomieni, gdzie czeka Surtr.

Jest też miejsce nazwane imieniem jego władczyni: Hel, gdzie trafiają zmarli, którzy nie zginęli dzielnie w bitwie.

Ostatni korzeń drzewa świata sięga do źródła w ojczyźnie bogów, Asgardzie, gdzie mieszkają Asowie. Każdego dnia bogowie tam się naradzają i tam właśnie zbiorą się u kresu dni świata, nim wyruszą na ostatnią bitwę Ragnarök. Nazywają je studnią Urd.

Trzy siostry, norny, mądre dziewice, opiekują się studnią, pilnując, by korzenie Yggdrasilla bezpiecznie pokrywało błoto. Studnia należy do Urd: Urd to los i przeznaczenie, jest waszą przeszłością. Jej siostry to Werdandi – której imię oznacza

„stawanie się” – i do niej należy teraźniejszość, oraz Skuld, której imię oznacza „to, co zamierzone”, a królestwem jest przyszłość.

Norny zdecydują, co spotka was w życiu. Istnieją jeszcze inne norny, nie tylko te trzy – norny olbrzymów i elfów, norny karłów i Wanów, dobre norny i złe norny i wszystkie wspólnie zadecydują o waszym losie. Niektóre norny obdarzają ludzi dobrym życiem, inne życiem ciężkim, krótkim bądź pokręconym.

Ukształtują wasz los, siedząc przy studni Urd.

Głowa Mimira i oko Odyna

W Jotunheimie, ojczyźnie olbrzymów, mieści się studnia Mimira. Woda, bulgocąc, wypływa z głębin i podlewa Yggdrasilla, drzewo świata. Mimir, mędrzec, strażnik pamięci, wie wiele rzeczy. Jego studnia to mądrość. Kiedy świat był młody, Mimir pił z niej co rano, zanurzając w wodzie róg zwany Gjallerhornem i wychylając zawartość.

Dawno, dawno temu, kiedy światy były młode, Odyn narzucił na ramiona długi płaszcz, przywdział kapelusz i w przebraniu wędrowca ruszył przez krainę olbrzymów, narażając życie, by dotrzeć do Mimira w poszukiwaniu mądrości.

– Jeden łyk wody z twojego źródła, wuju Mimirze – rzekł Odyn. – To wszystko, o co proszę.

Mimir pokręcił głową: nikt nie pił z owego źródła prócz niego samego. Milczał zatem: ci, którzy milczą, rzadko się mylą.

– Jestem twoim siostrzanem – przypomniał Odyn. – Moja matka, Bestla, była twoją siostrą.

– To za mało – oznajmił Mimir.

– Jeden łyk. Dzięki łykowi z twojego źródła, Mimirze, stanę się mądry. Wyznacz cenę.

– Ceną jest twoje oko – oznajmił Mimir. – Twoje oko w wodach.

Odyn nie spytał, czy żartuje; przebył długą, niebezpieczną drogę, by dotrzeć do studni Mimira, narażając własne życie, żeby osiągnąć swój cel. Gotów był zatem uczynić i więcej, byle tylko zyskać upragnioną mądrość.

Jego twarz stężała.

– Daj mi nóż – rzekł tylko.

Po tym, jak uczynił to, co musiał uczynić, starannie umieścił swe oko w stawie, patrzyło na niego spod wody. Odyn napełnił róg Gjallerhorn ze stawu Mimira i uniósł go do ust, woda była zimna. Wychylił ją jednym haustem i poczuł, jak wpływa weń mądrość. Jedynym okiem spojrzał dalej i jaśniej niż wcześniej dwojgiem.

Od tego dnia Odyn nosi inne miana: zowią go Bindrem, ślepym bogiem i Hoarrem, jednookim, a także Baleygiem, ognistookim.

Oko Odyna pozostaje w źródle Mimira, zachowane wśród wód, które karmią jesion świata, i nie widząc niczego, widzi wszystko.

Czas płynął. Gdy wojna pomiędzy Asami i Wanami dobiegała końca i odbyła się wymiana wojowników i wodzów, Odyn posłał Mimira do Wanów jako doradcę boga Asów Hoenira, który miał zostać ich nowym wodzem.

Hoenir, rosły i nadobny, wyglądał jak król. Gdy Mimir czuwał przy nim i mu doradzał, Hoenir przemawiał też jak przystało na króla, podejmując mądre decyzje. Kiedy jednak Mimira nie było, nie potrafił o niczym zdecydować i Wanów wkrótce to znużyło. Zemścili się nie na Hoenirze, lecz na Mimirze: obcięli mu głowę i posłali Odynowi.

Odyn nie wpadł w gniew. Natarł głowę Mimira pewnymi ziołami, by nie zgniła, nucąc nad nią uroki i zaklęcia, nie chciał bowiem utracić jego mądrości. Wkrótce Mimir otworzył oczy i przemówił do niego. Nadal, jak zawsze, udzielał dobrych rad.

Odyn zaniósł głowę Mimira z powrotem do źródła pod drzewem świata i zostawił tam obok oka, w wodach wiedzy przyszłości i przeszłości.

Gjallerhorn podarował Heimdallowi, strażnikowi bogów. W dniu, kiedy zabrzmi Gjallerhorn, jego dźwięk obudzi bogów,

nieważne, gdzie będą, nieważne, w jak głębokim pogrążą się śnie.

Heimdall zadmie w Gjallerhorn tylko raz, u kresu wszechrzeczy, podczas Ragnaröku.

Skarby bogów

I

Żoną Thora była piękna Sif z rodu Asów. Thor kochał ją zarówno dla niej samej, jak i dla błękitnych oczu, bladej skóry, czerwonych ust i uśmiechu. Kochał też jej długie, bardzo długie włosy barwy żyta u kresu lata.

Thor ocknął się i spojrzał na śpiącą Sif. Podrapał się po brodzie. Potem lekko poklepał żonę wielką dłonią.

– Co ci się stało? – spytał.

Otworzyła oczy barwy letniego nieba.

– O czym ty mówisz? – zdumiała się, a potem ze zdziwioną miną poruszyła głową. Sięgnęła palcami do nagiej różowej czaszki i dotknęła ostrożnie, po czym spojrzała na Thora ze zgrozą. – Moje włosy – rzekła tylko.

Thor przytaknął.

– Zniknęły – odrzekł. – Pozostawił cię łysą.

– On? – zdziwiła się Sif.

Thor nie odpowiedział. Zapiął na biodrach pas mocy, Megingjord, który podwajał jego i tak ogromną siłę.

– Loki – rzucił. – Loki to zrobił.

– Czemu tak myślisz? – Sif gorączkowo przesuwała palcami po łysej głowie, jakby muśnięcia mogły sprawić, że włosy powrócą.

– Ponieważ – odparł Thor – kiedy coś idzie nie tak, najpierw zawsze myślę, że to wina Lokiego. Oszczędza mi to mnóstwo czasu.

Zastał drzwi Lokiego zamknięte, pchnął je zatem i strzaskał na kawałki. Chwycił Lokiego, mówiąc jedynie:

– Dlaczego?

– Dlaczego co? – Twarz Lokiego była uosobieniem doskonałej niewinności.

– Włosy Sif. Złote włosy mojej żony. Były takie piękne. Dlaczego je obciąłeś?

Po obliczu Lokiego przebiegła cała gama uczuć: przebiegłość i podstępność, okrucieństwo i zmieszanie. Thor potrząsnął nim mocno, a Loki spuścił wzrok, usilnie starając się przybrać zawstydzoną minę.

– Uznałem, że to zabawne. Byłem pijany.

Thor zmarszczył brwi.

– Sif szczyciła się swymi włosami. Ludzie pomyślą, że ogoliłem jej głowę za karę. Że uczyniła coś, czego nie powinna, zrobiła to z kimś, z kim nie powinna.

– No cóż, tak. To też – przyznał Loki. – Zapewne faktycznie tak pomyślą i niestety, zważywszy, iż wyrwałem je z głowy z korzeniami, resztę życia przeżyje zupełnie łysa...

– Wcale nie. – Thor spojrzał w górę na Lokiego, którego unosił teraz wysoko nad głową. Twarz miał niczym gradowa chmura.

– Obawiam się, że jednak tak. Ale zawsze pozostają kapelusze i szale...

– Nie przeżyje reszty życia łysa – warknął Thor. – Bo Loki, synu Laufey, jeśli nie przywrócisz jej włosów, połamię ci każdą kość w ciele. Każdziusieńką. A jeżeli jej włosy nie będą rosły jak należy, wrócę tu i znów połamię ci wszystkie kości. I znowu.

Jeśli zacznę to robić codziennie, wkrótce zyskam sporą wprawę – ciągnął i jego głos zabrzmiał nieco weselej.

– Nie! – zaprotestował Loki. – Nie mogę przywrócić jej włosów. To tak nie działa.

– Dzisiaj – zastanawiał się głośno Thor – pewnie będę potrzebował godziny, by połamać wszystkie kości w twoim ciele. Założę się jednak, że dzięki ćwiczeniom zdołam zejść do najwyżej kwadransa. Chętnie się przekonam. – Zaczął łamać pierwszą kość.

– Karły! – wrzasnął Loki.

– Słucham?

– Karły! Umieją zrobić wszystko. Mogłyby zrobić dla Sif złote włosy, włosy, które połączą się z czaszką i zaczną normalnie rosnąć, idealne złote włosy. Mogą to zrobić, przysięgam.

– Zatem – rzekł Thor – lepiej idź i pomów z nimi. – I upuścił trzymanego wysoko nad głową Lokiego na ziemię.

Loki dźwignął się szybko i odbiegł, nim Thor zdążył mu złamać kolejną kość.

Wsunął na stopy buty stąpające po niebie i ruszył do Swartalfheimu, gdzie karły mają swe warsztaty. Zdecydował, że najdoskonalsi z owych rzemieślników to trzej bracia, synowie Iwaldiego.

Loki udał się do ich podziemnej kuźni.

– Witajcie, synowie Iwaldiego. Rozpytywałem wszem wobec i ludzie twierdzą, że Brokk i Eitri, jego brat, to najwięksi krasnoludzcy kowale, jacy kiedykolwiek żyli – oznajmił.

– Nie – odparł jeden z synów Iwaldiego – to my, my jesteśmy najlepszymi kowalami.

– Zapewniono mnie, że Brokk i Eitri potrafią tworzyć cuda dorównujące waszym.

– Kłamstwa! – rzucił najwyższy z synów Iwaldiego. – Nie pozwoliłbym tym niezgrabnopalcym amatorom nawet okuć

konia.

Najniższy i najmądrzejszy z synów Iwaldiego jedynie wzruszył ramionami.

– Cokolwiek zrobią, my zrobimy to lepiej.

– Słyszałem, że rzucili wam wyzwanie – rzekł Loki. – Trzy skarby. Bogowie Asów osądzą, kto stworzył najlepszy. O, i przy okazji, jednym z waszych muszą być włosy. Wiecznie rosnące, doskonałe złote włosy.

– Zdołamy tego dokonać – oświadczył jeden z synów Iwaldiego; nawet Loki ledwie ich rozróżniał.

Loki przeszedł przez górę, by spotkać się z karłem imieniem Brokk w warsztacie, który dzielił z bratem Eitrim.

– Synowie Iwaldiego tworzą trzy skarby w darze dla bogów Asgardu – oznajmił. – Bogowie je ocenią. Synowie Iwaldiego prosili, bym wam powtórzył, iż są pewni, że ty i twój brat Eitri nie zdołacie stworzyć niczego, co mogłoby dorównać ich dziełom. Nazwali was niezgrabnopalcymi amatorami.

Brokk nie był głupcem.

– To wszystko brzmi niezwykle podejrzanie, Loki – rzekł. – Na pewno nie maczałeś w tym palców? Budzenie niechęci między Eitrim i mną oraz chłopakami Iwaldiego byłoby całkiem w twoim stylu.

Loki przybrał minę tak niewinną, jak tylko potrafił, a to oznacza: zdumiewająco szczerą.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – oznajmił niewinnie. – Po prostu uznałem, że powinniście to wiedzieć.

– I nie ma w tym nic dla ciebie? – spytał Brokk.

– Absolutnie nic.

Brokk kiwnął głową i spojrzał w górę na Lokiego. Brat Brokka, Eitri, był wspaniałym kowalem, ale z nich dwóch to Brokk wyróżniał się mądrością i zawziętością.

– W takim razie chętnie zmierzymy się z synami Iwaldiego w próbie naszych umiejętności i poddamy ocenie bogów, ponieważ nie wątpię, że Eitri potrafi wykuć lepsze i zmyślniejsze rzeczy niż potomkowie Iwaldiego. Podnieśmy jednak stawkę. Co powiesz, Loki? Niech to będzie sprawa osobista.

– Co masz na myśli? – spytał Loki.

– Twoją głowę – odparł Brokk. – Jeśli wygramy, dostaniemy twoją głowę. Dzieje się w niej mnóstwo rzeczy i nie wątpię, że Eitri stworzyłby z niej wspaniałe arcydzieło. Może myślącą maszynę. Albo kałamarz.

Loki wciąż się uśmiechał, ale wewnątrz skrzywił się gniewnie. I pomyśleć, że dzień zaczął się tak dobrze. Mimo wszystko jednak po prostu będzie musiał dopilnować, by Eitri i Brokk przegrali: bogowie nadal dostaną od karłów sześć cudownych przedmiotów, a Sif odzyska złote włosy. Zdoła do tego doprowadzić. Jest przecież Lokim.

– Oczywiście – odparł. – Moja głowa. Nie ma sprawy.

Po drugiej stronie góry synowie Iwaldiego pracowali już nad swymi skarbami. Loki nie martwił się o nich, musiał jednak dopilnować, by Brokk i Eitri w żaden sposób nie zdołali wygrać.

Bracia wkroczyli do kuźni; panowała tam ciemność rozświetlana jedynie pomarańczowym żarem płonących węgli. Eitri zdjął z półki świńską skórę i położył przed sobą.

– Zachowałem tę skórę właśnie na taką okazję – rzekł.

Brokk jedynie przytaknął.

– No dobrze – ciągnął Eitri. – Ty obsługuj miech. Cały czas pompuj powietrze. Musi być gorąco, i to bez żadnych zmian, inaczej się nie uda. Pompuj. Pompuj.

Brokk zaczął naciskać miech, posyłając strumień bogatego w tlen powietrza prosto w serce kuźni, rozgrzewając je. Robił to już wcześniej wiele razy.

Eitri przyglądał się, aż w końcu uznał temperaturę za odpowiednią.

Odszedł, by zająć się swoim dziełem poza kuźnią. Kiedy otworzył drzwi, do środka wleciał duży czarny owad. Nie był to giez ani bąk, rozmiarami przewyższał je oba. Wleciał do środka i zaczął krążyć złowieszczo.

Brokk słyszał dobiegający z dworu brzęk młota Eitriego, odgłosy piłowania i skręcania, kształtowania i obijania.

Wielka czarna mucha – największa i najczarniejsza, jaką kiedykolwiek widzieliście – wylądowała mu na grzbiecie dłoni.

Obie dłonie Brokka spoczywały na miechu. Nie przestał go naciskać, żeby przegnać muchę. Ta ugryzła go mocno w rękę.

Brokk wciąż pompował.

Drzwi się otwarły i Eitri wszedł do środka, starannie wyjmując dzieło z kuźni. Wyglądało jak wielki dzik o szczecinie jaśniejącej złotem.

– Dobra robota – rzekł. – Ułamek stopnia więcej bądź mniej i zmarnowalibyśmy tylko czas.

– Ty też świetnie się spisałeś – odparł Brokk.

Czarna mucha siedząca w kącie sufitu słuchała rozdrażniona i wściekła.

Eitri wziął bryłę złota i umieścił w palenisku.

– No dobrze – rzekł. – To im zaimponuje. Kiedy zawołam, zacznij dmuchać miechem. Cokolwiek się stanie, nie zwalniaj, nie przyśpieszaj ani nie przerywaj. To misterna robota.

– Jasne – odparł Brokk.

Eitri wyszedł z kuźni i wziął się do pracy. Brokk zaczekał na sygnał brata, po czym zaczął dąć w miechy.

Czarna mucha z namysłem okrążyła kuźnię i wylądowała na szyi karła. Uskoczyła zręcznie, unikając strużki potu, powietrze bowiem było gorące i ciężkie, a potem jak najmocniej wgryzła

się w szyję Brokka. Do potu dołączyła szkarłatna krew, lecz karzeł nie przerwał pompowania.

Eitri powrócił. Wyjął z ognia rozżarzoną do białości bransoletę na ramię i wrzucił do kamiennego zbiornika wody, by wystygła. Kiedy do niej wpadła, w powietrze wzbiła się chmura pary. Bransoleta stygła szybko, zmieniając barwy z pomarańczowej na czerwoną i w końcu na złotą.

– Nazywa się Draupnir – oznajmił Eitri.

– Kapiąca? Zabawna nazwa dla bransolety – odparł Brokk.

– Nie dla tej. – Eitri wyjaśnił Brokkowi niezwykłe właściwości swego dzieła.

– A teraz – dodał – od bardzo dawna myślałem o stworzeniu czegoś podobnego. Mojego arcydzieła. Ale jest jeszcze trudniejsze niż poprzednie, będziesz zatem musiał...

– Pompować i nie przestawać? – odgadł Brokk.

– Właśnie – przytaknął Eitri. – Jeszcze mocniej niż poprzednio. Nie zmieniaj tempa, inaczej wszystko zrujnujesz.

Zdjął z półki sztabę surówki, większą niż jakakolwiek, którą zdarzyło się oglądać czarnej musze (będącej w istocie Lokim), i wrzucił ją do kuźni.

Potem wyszedł i zawołał do Brokka, by ten wziął się do roboty.

Brokk zaczął pompować i uszy wypełnił mu brzęk młota Eitriego, gdy jego brat rozbijał, kształtował, łączył i spajał.

Loki pod postacią muchy uznał, że nie ma czasu na subtelność. Arcydzieło Eitriego z pewnością zaimponuje bogom, a jeśli wywrze na nich odpowiednio wielkie wrażenie, on sam straci głowę. Wylądował zatem pomiędzy oczami karła i zaczął gryźć go w powieki. Brokk wciąż pompował, nie bacząc na piekące oczy. Loki, gnany rozpaczą, wgryzał się głębiej, mocniej. Teraz z powiek popłynęła krew, ściekając karłowi do oczu i dalej po twarzy i oślepiając go.

Próbując przegnać muchę, Brokk zmrużył oczy i potrząsnął głową. Szarpał nią z boku na bok, wykrzywiał usta, usiłując dmuchnąć w górę. Nic to nie dało. Mucha wciąż gryzła, a karzeł widział tylko krew. Głowę wypełnił mu ostry ból.

Zaczął liczyć i pod koniec uderzenia oderwał jedną dłoń od miechu i trzepnął muchę z taką szybkością i siłą, że Loki ledwie uszedł z życiem. Brokk tymczasem ponownie chwycił miech i dmuchał dalej.

– Dosyć! – zawołał Eitri.

Czarna mucha fruwała chwiejnie po kuźni. Eitri otworzył drzwi, wypuszczając ją.

Z zawiedzioną miną spojrzał na swego brata. Brokk twarz miał zlaną potem i krwią.

– Nie wiem, co tu wyprawiałeś – rzucił Eitri – ale o mało nie zrujnowałeś wszystkiego. Pod koniec temperatura skakała jak szalona i moje dzieło nie wygląda tak imponująco, jak liczyłem. Przekonamy się, co będzie.

Loki pod postacią Lokiego wmaszerował do środka przez otwarte drzwi.

– To co, gotowi do konkursu? – spytał.

– Brokk uda się do Asgardu, przedstawi bogom moje dary i utnie ci głowę – oznajmił Eitri. – Ja wolę przebywać w kuźni i tworzyć.

Jego brat spojrzał na Lokiego spod zapuchniętych powiek.

– Nie mogę się już doczekać chwili, gdy utnę ci głowę – oznajmił. – Teraz to sprawa osobista.

II

W Asgardzie trzech bogów zasiadło na swych tronach: jednooki Odyn Wszechojciec, rudobrody Thor, bóg błyskawic, i nadobny

Frejr, bóg letnich żniw. To oni mieli rozstrzygnąć konkurs.

Loki stanął przed nimi obok trzech niemal identycznych synów Iwaldiego.

Brokk, czarnobrody i zasępiony, stał sam z boku. Przyniesione przedmioty ukrywał pod płachtami.

– A zatem – zaczął Odyn – co mamy oceniać?

– Skarby – wyjaśnił Loki. – Synowie Iwaldiego sporządzili dary dla ciebie, wielki Odynie, i dla Thora, i dla Frejra, podobnie Eitri i Brokk. Do was należy ocena, który z sześciu przedmiotów to najwspanialszy skarb. Ja sam zademonstruję wam dary wykonane przez synów Iwaldiego.

Wręczył Odynowi włócznię zwaną Gungnir. Była piękna, pokryta misternymi runami.

– Włócznia ta przebije wszystko; kiedy nią ciśniesz, zawsze odnajdzie cel – oznajmił Loki. Odyn miał w końcu tylko jedno oko i czasami zdarzało mu się chybić. – I, co równie ważne, przysięgi złożonej na nią nie da się złamać.

Odyn zważył w dłoni włócznię.

– Bardzo piękna – rzekł tylko.

– Tu zaś – podjął Loki z dumą – mamy pełną burzę złocistych włosów wykutych ze szczerego złota. Przyczepią się do głowy osoby będącej w potrzebie i zaczną rosnąć, zachowując się tak samo jak prawdziwe włosy. Sto tysięcy złotych pasm.

– Wypróbuję je – oznajmił Thor. – Sif, podejdź tutaj.

Sif powstała i wystąpiła naprzód z okrytą głową. Zdjęła szal. Bogowie jęknęli na widok jej nagiej głowy, łysej i różowej, ona zaś starannie umieściła na niej złotą krasnoludzką perukę i potrząsnęła włosami. Na ich oczach podstawa peruki złączyła się z czaszką bogini i Sif stała przed nimi jeszcze bardziej promienna i piękniejsza niż wcześniej.

– Imponujące – przyznał Thor. – Dobra robota!

Sif odrzuciła złociste włosy i wyszła z dworu na słońce, by pokazać je przyjaciółkom.

Ostatni z niezwykłych darów synów Iwaldiego okazał się niewielki i złożony niczym tkanina. Ją właśnie Loki położył przed Frejrem.

– Cóż to takiego? Wygląda jak jedwabny szalik – w głosie Frejra dźwięczał zawód.

– Istotnie – przyznał Loki. – Jednakże kiedy go rozłożysz, odkryjesz, że to statek zwany Skidbladnirem. Dokądkolwiek się uda, zawsze poniesie go sprzyjający wiatr, i choć jest wielki, największy, jaki potrafisz sobie wyobrazić, jak widzisz składa się niczym tkanina i możesz go ukryć w sakwie.

Frejrowi wyraźnie to zaimponowało i Loki poczuł ulgę. Doprawdy były to trzy wspaniałe dary.

Teraz nadeszła kolej Brokka. Powieki miał czerwone i napuchnięte, z boku szyi czerwieniało wielkie ukąszenie owada. Loki pomyślał, że Brokk wydaje się stanowczo zbyt pewny siebie, biorąc pod uwagę, jak niezwykłe przedmioty stworzyli synowie Iwaldiego.

Karzeł ujął złocistą bransoletę na ramię i umieścił przed Odynem na jego wyniosłym tronie.

– Bransoletę tę nazywamy Draupnir – oznajmił – bo każdej dziewiątej nocy skapuje z niej osiem złotych bransolet równie wielkiej urody. Możesz nagradzać nimi ludzi albo zachować, zyskując wielkie bogactwa.

Odyn obejrzał bransoletę, po czym wsunął ją na ramię, wysoko na biceps, gdzie zalśniła jasnym blaskiem.

– Bardzo piękna – odparł.

Brokk podszedł do Frejra. Uniósł płachtę, odsłaniając wielkiego dzika o złotej szczecinie.

– Tego dzika zrobił dla ciebie mój brat po to, by ciągnął twój wóz. Będziesz mknął z nim po niebie i nad morzem szybciej

niźli najszybszy koń. Nigdy nie nastanie noc dość mroczna, by jego złocista szczecina nie rzuciła światła i nie pozwoliła ci ujrzeć, co robisz. Nigdy też się nie zmęczy i cię nie zawiedzie. Nazywa się Gullenbursti o złotej szczecinie.

Frejrowi wyraźnie to zaimponowało. Mimo wszystko, pomyślał Loki, magiczny statek, który składa się niczym tkanina, jest równie imponujący jak niepowstrzymany dzik świecący w ciemności. Jego głowa wciąż była bezpieczna, a wiedział, że zdołał przeszkodzić w wykonaniu ostatniego daru.

Spod tkaniny Brokk wyjął młot i umieścił przed Thorem.

Ten spojrzał nań i pociągnął nosem.

– Ma dość krótką rękojeść – zauważył.

Brokk przytaknął.

– Owszem – przyznał. – To moja wina, ja obsługiwałem miechy. Ale nim go odrzucisz, pozwól, że powiem, co czyni go wyjątkowym. Nazywa się Mjollnir, twórca piorunów. Po pierwsze, jest niezniszczalny: nieważne, jak mocno coś nim uderzysz, nie uszkodzisz młota.

Thor słuchał zainteresowany: przez lata połamał już wiele sztuk broni, zwykle uderzając nimi w cel.

– Jeśli ciśniesz tym młotem, nigdy nie chybi.

To jeszcze bardziej zainteresowało Thora. Stracił mnóstwo sztuk znakomitej broni, rzucając nimi w rzeczy, które go rozdrażniły, i chybiając. Oglądał też zbyt wiele ciśniętych sztuk broni znikających bezpowrotnie w dali.

– Nieważne, jak mocno i daleko rzucisz, zawsze powróci do twej dłoni.

Teraz Thor się uśmiechał, a na twarzy boga piorunów rzadko gości uśmiech.

– Możesz zmieniać wielkość młota, zgodnie z twoim życzeniem urośnie albo stanie się tak mały, że będziesz mógł go

ukryć pod koszulą.

Thor z zachwytu klasnął w dłonie i owo klaśnięcie odbiło się gromkim echem od ścian Asgardu.

– Jednakże, jak zauważyłeś – zakończył Brokk ze smutkiem – trzonek młota jest istotnie za krótki. To moja wina. Źle dmuchałem w miechy, gdy mój brat Eitri go wykuwał.

– Krótki trzonek to jedynie drobny, kosmetyczny szczegół – odparł Thor. – Ten młot obroni nas przed lodowymi olbrzymami. To najwspanialszy dar, jaki oglądałem.

– Będzie chronił Asgard i nas wszystkich – rzekł z aprobatą Odyn.

– Na miejscu olbrzyma bardzo bałbym się Thora dzierżącego w ręku ten młot – dodał Frejr.

– Istotnie, to doskonały młot, ale Thorze, co z włosami, z pięknymi, nowymi, złotymi włosami Sif? – spytał lekko zdesperowany Loki.

– Co? A, tak. Moja żona ma bardzo ładne włosy – odparł Thor. – A teraz pokaż mi, Brokku, jak sprawić, by młot urósł i zmalał.

– Młot Thora jest lepszy nawet od mojej cudownej włóczni i wspaniałej bransolety – przyznał Odyn, kiwając głową.

– Młot jest doskonalszy i bardziej imponujący od mego statku i dzika – dodał Frejr. – Dzięki niemu bogowie w Asgardzie będą bezpieczni.

Bogowie zaczęli klepać Brokka po plecach, mówiąc, że wraz z Eitrim stworzyli najwspanialszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymali.

– Dobrze to słyszeć – rzekł Brokk i odwrócił się do Lokiego. – A zatem – dodał – teraz mogę odciąć ci głowę, synu Laufey, i zabrać ze sobą. Eitri wielce się ucieszy. Zamienimy ją w coś użytecznego.

– Ja... zapłacę okup za głowę – rzucił Loki. – Mam skarby, które mogę ci oddać.

– Wraz z Eitrim mamy już wszystkie skarby, jakich moglibyśmy zapragnąć – odrzekł Brokk. – My tworzymy skarby. Nie, Loki. Pragnę twojej głowy.

Loki zastanowił się chwilę.

– W takim razie weź ją sobie, jeśli zdołasz mnie złapać. – To rzekłszy, wyprysnął wysoko w powietrze i umknął nad ich głowami. Po chwili zniknął.

Brokk spojrzał na Thora.

– Mógłbyś go złapać?

Thor wzruszył ramionami.

– Nie powinienem – rzekł. – Ale z drugiej strony bardzo chcę wypróbować ten młot.

Po chwili wrócił, trzymając mocno Lokiego, którego oczy płonęły z bezradnej wściekłości.

Karzeł Brokk wyjął nóż.

– Podejdź tu, Loki – polecił. – Teraz odetnę ci głowę.

– Oczywiście – odparł Loki – możesz to zrobić, odciąć mi głowę. Ale, i zwracam się tu do potężnego Odyna, jeśli odetniesz choćby kawałek szyi, złamiesz warunki naszej umowy, która obiecała ci głowę i tylko ją.

Odyn przytaknął powoli.

– Loki ma rację – rzekł. – Nie możesz rościć sobie praw do jego szyi.

Słowa te rozdrażniły Brokka.

– Ale przecież nie da się odciąć głowy, nie przycinając szyi! – zaprotestował.

Loki sprawiał wrażenie mocno zadowolonego z siebie.

– Widzisz – mruknął – gdyby ludzie dokładnie rozważali znaczenie swych słów, nie odważyliby się rzucać wyzwania Lokiemu, najmędrszemu, najsprytniejszemu, najpodstępniejszemu, najinteligentniejszemu, najprzystojniejszemu...

Brokk tymczasem wyszeptał coś Odynowi do ucha.

– To będzie uczciwe – zgodził się Wszechojciec.

Karzeł wyciągnął kawałek skóry i nóż, owinął skórę wokół ust Lokiego, a potem spróbował przebić ją czubkiem noża.

– Nic się nie dzieje – powiedział – mój nóż cię nie kaleczy.

– Być może wielce rozsądnie zaaranżowałem sobie ochronę przed ostrzami noży – odparł skromnie Loki. – Na wszelki wypadek, gdyby podstęp z „nie możesz przeciąć mi szyi” nie zadziałał. Lękam się, że żaden nóż mnie nie zrani!

Brokk sapnął w odpowiedzi i wyciągnął szydło, metalowy szpikulec używany przez kaletników. Zaczął dźgać nim skórę, przebijając na wylot wargi Lokiego, potem wziął mocny rzemień i zaszył mu usta.

Następnie odszedł, pozostawiając Lokiego z zaszytymi wargami, niezdolnego się skarżyć.

Dla Lokiego ból z powodu niemożności mówienia przewyższał nawet ten zaszytych skórą warg.

Teraz zatem wiecie: oto skąd bogowie wzięli swe największe skarby. To wszystko wina Lokiego. Nawet młot Thora to wina Lokiego. Na tym właśnie polega jego paradoks: nie znosimy go, nawet kiedy jesteśmy mu bardzo wdzięczni, i myślimy z wdzięcznością nawet wtedy, gdy najbardziej go nienawidzimy.

Mistrz budowniczy

Thor udał się na wschód walczyć z trollami. Bez niego w Asgardzie panował większy spokój, ale też kraina bogów nie miała ochrony. Działo się to u zarania dziejów, tuż po zawarciu traktatu pomiędzy Asami i Wanami, gdy bogowie wciąż urządzali swoją siedzibę, a Asgard był bezbronny.

– Nie zawsze możemy polegać na Thorze – rzekł Odyn. – Potrzebujemy ochrony. W końcu zjawią się olbrzymi. Zjawią się trolle.

– Co proponujesz? – spytał Heimdall, strażnik bogów.

– Mur – odparł Odyn. – Dość wysoki, by powstrzymać lodowych olbrzymów, dość gruby, by nawet najsilniejszy z trolli nie zdołał się przebić.

– Wzniesienie podobnego muru – zauważył Loki – tak wysokiego i grubego, zabrałoby nam wiele lat.

Odyn przytaknął.

– Niemniej jednak potrzebny nam mur.

Następnego dnia w Asgardzie zjawił się nieznajomy przybysz, człek rosły, odziany w strój kowala. Za nim dreptał koń: wielki szary ogier o szerokim grzbiecie.

– Słyszałem, że chcecie zbudować mur – rzekł nieznajomy.

– Mów dalej – rzucił Odyn.

– Mogę wam zbudować mur – oznajmił tamten. – Tak wysoki, że nie wdrapie się nań nawet najwyższy olbrzym, tak mocny, że nawet najsilniejszy troll się nie przebije. Mogę go wznieść, kładąc tak równo kamień na kamieniu, że nawet mrówka nie znajdzie dla siebie szczeliny. Zbuduję wam mur, który przetrwa tysiąc tysięcy lat.

– Budowa takiego muru trwałaby bardzo długo – wtrącił Loki.

– Ależ nie – nie zgodził się nieznajomy. – Mogę go zbudować w ciągu trzech pór roku. Jutro mamy pierwszy dzień zimy. Praca zabrałaby mi zimę, lato i kolejną zimę.

– A jeśli ci się uda – spytał Odyn – czego pragniesz w zamian?

– Za to, co proponuję, chcę dostać trzy drobiazgi – odparł tamten – i zaledwie trzy. Po pierwsze, chciałbym pojąć za żonę piękną boginię Freję.

– To wcale nie drobiazg – zaprotestował Odyn. – I nie zdziwiłoby mnie, gdyby Freja miała tu coś do powiedzenia. A pozostałe dwie rzeczy?

Nieznajomy uśmiechnął się bezczelnie.

– Jeśli zbuduję wam mur – powiedział – chcę ręki Frei, a także chcę dostać słońce, które za dnia świeci na niebie, i księżyc dający światło nocą. Te trzy rzeczy dadzą mi bogowie, jeżeli zbuduję wam mur.

Bogowie spojrzeli na Freję. Milczała, ale zaciskała mocno wargi, a twarz miała bladą z gniewu. Wokół jej szyi naszyjnik Brisingów jaśniał niczym zorza polarna, muskając jej skórę. Włosy przepasała złotem niemal tak jasnym jak one same.

– Idź i zaczekaj na dworze – polecił nieznajomemu Odyn.

Mężczyzna odszedł, najpierw jednak spytał, gdzie może znaleźć paszę i wodę dla swego ogiera, zwanego Swadilfari, co oznacza „ten, który odbył złowróżbną podróż”.

Odyn potarł dłonią czoło, potem powiódł wzrokiem po twarzach bogów.

– I co? – spytał.

Bogowie przemówili jednocześnie.

– Cisza! – huknął Odyn. – Mówcie po kolei.

Każde z bogów i bogiń miało własne zdanie i każde z nich było jednakie: Freja, słońce i księżyc są zbyt ważni i zbyt cenni,

by oddać je nieznajomemu, nawet gdyby faktycznie zdołał wznieść im upragniony mur w ciągu zaledwie trzech pór roku.

Freja dodatkowo uważała, że nieznajomego należy wychłostać za impertynencję, a potem wyrzucić z Asgardu i odprawić.

– Zatem – rzekł Odyn Wszechojciec – podjęliśmy decyzję. Powiemy: „nie”.

Z kąta sali dobiegło cierpkie kaszlnięcie, z rodzaju tych, które mają zwrócić uwagę, toteż bogowie obejrzeli się, by sprawdzić, kto zakasłał. Odkryli, że patrzą na Lokiego, który odpowiedział spojrzeniem, uśmiechnął się i uniósł palec, jakby miał coś ważnego do przekazania.

– Pragnę zauważyć – rzekł – że nie dostrzegacie czegoś ważnego.

– Nie wydaje mi się, abyśmy cokolwiek przeoczyli, mącicielu wśród bogów – odparła cierpko Freja.

– Wszyscy przeoczyliście fakt, iż to, co proponuje ów nieznajomy, jest, mówiąc prosto z mostu, niemożliwe. Nie ma nikogo na świecie, kto zdołałby wznieść mur tak wysoki i tak gruby, jak opisał, i ukończyć go w osiemnaście miesięcy. Nawet olbrzym ani bóg nie zdołaliby tego dokonać, a co dopiero śmiertelnik. Stawiam na to własną skórę.

Słysząc to, bogowie zaczęli przytakiwać i chrząkać zgodnie, wyraźnie pod wrażeniem – wszyscy oprócz Frei, która wpadła w gniew.

– Jesteście głupcami – rzuciła. – A zwłaszcza ty, Loki, ponieważ masz się za sprytnego.

– To, o czym mówi – upierał się Loki – to zadanie niewykonalne. Proponuję zatem, co następuje: zgódźmy się na jego żądania i cenę, ale wyznaczmy surowe warunki: nikt nie będzie mógł mu pomagać w budowie i zamiast trzech pór roku dostanie tylko jedną. Jeśli pierwszego dnia lata choćby cząstka

muru pozostanie nieukończona – a pozostanie – nic mu nie zapłacimy.

– Czemu mielibyśmy się na to zgodzić? – spytał Heimdall.

– I jaką to ma przewagę nad nieposiadaniem muru w ogóle – dodał Frejr, brat Frei.

Loki próbował ukryć zniecierpliwienie. Czy wszyscy bogowie to durnie? Zaczął wyjaśniać, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

– Kowal zacznie budować swój mur. Nie ukończy go. Będzie harował bez zapłaty pół roku – na próżno. Po upływie sześciu miesięcy wypędzimy go, może nawet wychłoszczemy za bezczelność, a potem wykorzystamy to, co zdąży wznieść, jako fundament muru, który sami dokończymy w nadchodzących latach. Nie ma mowy, abyśmy mogli utracić Freję, a co dopiero słońce czy księżyc.

– Czemu miałby się zgodzić na budowę w zaledwie jeden sezon? – wtrącił Tyr, bóg wojny.

– Może odmówić – przyznał Loki. – Ale sprawia wrażenie aroganckiego i pewnego siebie, a tacy ludzie nie odrzucają wyzwania.

Wszyscy bogowie zaczęli chrząkać, klepać Lokiego po plecach i powtarzać mu, że podstępny z niego gość i że to dobrze, że mają jego spryt po swej stronie. Teraz za darmo dostaną fundament muru. Zaczęli też gratulować sobie nawzajem przebiegłości i umiejętności targowania.

Freja milczała. Wciąż przesuwała w palcach naszyjnik światła, dar Brisingów, ten sam naszyjnik, który Loki skradł jej pod postacią foki, gdy zażywała kąpieli, i o który Heimdall walczył z nim, również jako foka. Nie ufała Lokiemu. Nie podobało jej się, w którą stronę zmierza rozmowa.

Bogowie wezwali budowniczego do swego dworu.

Rozejrzał się, wodząc po nich wzrokiem: wszyscy sprawiali wrażenie ucieszonych, uśmiechali się szeroko i szturchali łokciami. Tylko Freja pozostała poważna.

– No i? – spytał.

– Prosiłeś o trzy pory roku – odparł Loki. – Dajemy ci jedną i tylko jedną. Jutro mamy pierwszy dzień zimy. Jeśli nie skończysz do pierwszego dnia lata, odejdziesz stąd bez zapłaty. Jeśli jednak ukończysz budowę muru tak wysokiego, grubego i nieprzeniknionego, jak ustaliliśmy, wówczas otrzymasz wszystko, o co prosisz: księżyc, słońce i piękną Freję. Nikt nie może pomagać ci w budowie twojego muru, musisz to zrobić sam.

Nieznajomy przez chwilę milczał, patrząc w dal, jakby rozważał słowa i warunki Lokiego. Potem spojrzał na bogów i wzruszył ramionami.

– Mówicie, że nie mogę mieć pomocy z zewnątrz. Chciałbym jednak, by mój koń Swadilfari pomógł mi przewozić tu kamienie, te, z których wzniosę mur. Nie uważam tego za nierozsądną prośbę.

– Bo i nie jest nierozsądna – zgodził się Odyn, pozostali bogowie zaś przytaknęli, mówiąc do siebie, że konie świetnie się nadają do przeciągania ciężkich głazów.

Wówczas zarówno bogowie, jak i nieznajomy złożyli przysięgi, najpotężniejsze z przysiąg, przysięgi, że żadna ze stron nie może zdradzić drugiej. Przysięgli na swoją broń i na Draupnir, złotą bransoletę Odyna, a także na Gungnir, jego włócznię. A przysięgi złożonej na Gungnir nie można złamać.

Następnego ranka tuż po wschodzie słońca bogowie przybyli, by przyjrzeć się pracy mężczyzny. Ten splunął w dłonie i zaczął kopać rów, do którego miały trafić pierwsze kamienie.

– Kopie głęboko – zauważył Heimdall.

– Kopie szybko – dodał Frejr, brat Frei.

– No tak, oczywiście, to potężny kopacz rowów i dziur – przyznał niechętnie Loki. – Wyobraźcie sobie jednak, ile kamieni będzie musiał zwieźć tu z gór. Wykopanie rowu to jedno, ale przeciągnięcie kamieni bez pomocy z odległości wielu mil, ustawienie ich na sobie tak dokładnie i ciasno, by nawet mrówka nie zdołała się przez nie przecisnąć, i wzniesienie muru wyższego niż najwyższy z olbrzymów to zupełnie inna sprawa.

Freja spojrzała na Lokiego z niesmakiem, ale nie odpowiedziała.

Kiedy słońce zaszło, nieznajomy dosiadł konia i ruszył w góry zebrać pierwsze kamienie. Koń wlókł za sobą puste niskie sanie sunące po miękkiej ziemi. Bogowie odprowadzili ich wzrokiem. Księżyc świecił jasno na wczesnozimowym niebie.

– Wróci za tydzień – oznajmił Loki. – Ciekawe, ile głazów uciągnie ten koń. Wygląda na silnego.

Wówczas bogowie powrócili do swego dworzyszcza, radując się i zaśmiewając wesoło. Freja jednak się nie śmiała.

Przed świtem spadł śnieg, cieniutka warstwa puchu, zapowiedź głębokich śniegów zimy.

Heimdall, który widział wszystko, co zbliża się do Asgardu, i nigdy niczego nie przeoczył, obudził bogów w ciemności. Zebrali się przy rowie wykopanym poprzedniego dnia przez nieznajomego. Pod jaśniejącym niebem patrzyli, jak ów człowiek zbliża się ku nim, idąc obok konia.

Koń z wysiłkiem ciągnął stertę granitowych bloków tak ciężkich, że sanie zostawiały w czarnej ziemi głębokie koleiny.

Na widok bogów człek ów pomachał ręką i wesoło ich pozdrowił. Wskazał ręką wschodzące słońce, a potem mrugnął do bogów. Następnie wyprzągł konia i wypuścił na pastwisko, a sam zaczął przesuwać pierwszy granitowy blok w głąb wykopanego niedawno rowu.

– Koń jest faktycznie silny – zauważył Balder, najpiękniejszy ze wszystkich Asów. – Żadne zwyczajne zwierzę nie zdołałoby uciągnąć tak ciężkiego ładunku.

– Jest silniejszy, niż przypuszczaliśmy – dodał mądry Kwasir.

– Ach – prychnął Loki – koń wkrótce się zmęczy. To jego pierwszy dzień pracy. Nie zdoła co noc przyciągać tak wielu głazów. Poza tym nadciąga zima, śnieg pokryje ziemię grubą warstwą, śnieżyce oślepią wędrowców i trudno się będzie dostać w góry. Nie mamy się czego obawiać; wszystko idzie zgodnie z planem.

– Tak bardzo cię nienawidzę – wtrąciła Freja stojąca bez uśmiechu obok niego. Wróciła o świcie do Asgardu i została, by patrzeć, jak nieznajomy buduje podstawy muru.

Każdej nocy budowniczy, koń i puste sanie wyruszali w góry. Każdego ranka powracali, a koń wlókł kolejne dwadzieścia granitowych bloków, każdy z nich większy od najroślejszego męża.

Z każdym dniem mur rósł coraz wyżej, każdego wieczoru był wyższy i bardziej imponujący niż jeszcze wczoraj.

Odyn wezwał do siebie bogów.

– Mur rośnie z każdym dniem – oznajmił. – A my złożyliśmy nienaruszalną przysięgę, przysięgę na broń i na bransoletę, że jeśli skończy budowę na czas, damy mu słońce, księżyc i rękę pięknej Frei, by mógł ją poślubić.

Pierwszy przemówił Kwasir, bóg mądrości.

– Żaden człowiek nie zdoła dokonać tego, co obiecał ów mistrz budowniczy. Podejrzewam zatem, że nie może być człowiekiem.

– Olbrzymem – odgadł Odyn. – Możliwe.

– Gdyby tylko Thor tu był – westchnął Balder.

– Thor i jego młot walczą z trollami na wschodzie – odparł Odyn. – A nawet gdyby miał wrócić, nasze przysięgi pozostaną

wiążące.

Loki próbował ich pocieszyć.

– Zachowujemy się jak stare niewiasty zamartwiające się bez powodu. Budowniczy nie zdoła skończyć muru przed pierwszym dniem lata, nawet jeśli to najpotężniejszy olbrzym na świecie. To niemożliwe.

– Chciałbym, żeby Thor tu był – mruknął Heimdall. – On wiedziałby, co robić.

Spadły śniegi, ale głębokie zaspy nie powstrzymały nieznajomego, nie spowolniły też Swadilfariego, jego konia. Szary ogier ciągnął wypełnione głazami sanie przez zaspy i śnieżyce, po stromych zboczach i lodowatych wąwozach.

Dni zaczęły się wydłużać.

Każdego ranka świt nastawał wcześniej. Śniegi topniały powoli, odsłaniając mokre, gęste, ciężkie błoto, takie, które przywiera do butów i obciąża stopy.

– Koń nigdy nie zdoła uciągnąć kamieni w takim błocie – oznajmił Loki. – Zapadną się, a on straci równowagę.

Jednakże Swadilfari stąpał pewnie i niewzruszenie nawet w najbardziej lepkim i mokrym błocie i ciągnął głazy do Asgardu, choć sanie były tak ciężkie, że pozostawiły grube szramy na zboczu wzgórza. Teraz budowniczy wciągał głazy setki stóp w górę, układając je jeden na drugim.

Błoto wyschło, rozkwitły pierwsze wiosenne kwiaty: żółty podbiał i białe zawilce – a mur okalający Asgard wyglądał wspaniale i niewiarygodnie. Po ukończeniu nic nie zdoła się przez niego przedrzeć: ani olbrzym, ani troll, ani karzeł, żaden śmiertelnik nie pokona tego muru. Nieznajomy zaś wciąż wznosił go w niezmiennie dobrym humorze. Najwyraźniej nie przeszkadzały mu deszcz ani śnieg, podobnie jak jego koniowi. Każdego ranka zwozili z gór głazy, każdego dnia budowniczy układał granitowe bloki, tworząc kolejną warstwę.

Teraz nadszedł ostatni dzień zimy. Mur był niemal skończony.

Bogowie zasiedli na swych tronach w Asgardzie, dyskutując.

– Słońce – rzekł Balder. – Oddaliśmy słońce.

– Umieściliśmy księżyc na niebie, by wyznaczał dni i tygodnie roku – dodał ponuro Dragi, bóg poezji. – Teraz nie będzie księżyca.

– I Freja, co poczniemy bez Frei? – spytał Tyr.

– Jeśli ten budowniczy to naprawdę olbrzym – w głosie Frei dźwięczał lód – poślubię go i przeniosę się do Jotunheimu. Ciekawe, kogo znienawidzę bardziej, jego za to, że mnie stąd zabrał, czy was wszystkich, bo mnie mu oddaliście?

– Nie bądź taka – zaczął Loki, ale Freja mu przerwała.

– Jeśli ten olbrzym mnie zabierze wraz ze słońcem i księżycem, proszę bogów Asgardu tylko o jedno.

– Wymień to – powiedział Odyn Wszechojciec, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

– Chciałabym przed odejściem ujrzeć śmierć tego, który spowodował tę katastrofę – oznajmiła Freja. – To w końcu uczciwe: skoro mam się udać do krainy lodowych olbrzymów, skoro z nieba mają zniknąć słońce i księżyc, a świat ma się pogrążyć w wiekuistej ciemności, ten, kto nas do tego doprowadził, winien zapłacić własnym życiem.

– Ach – wtrącił Loki. – Jakże ciężko przypisać komuś winę. Kto dokładnie pomni, co kto proponował? Z tego, co pamiętam, wszyscy bogowie na równi mieli swój udział w tej niefortunnej pomyłce. Wszyscy ją zasugerowaliśmy, wszyscy się zgodziliśmy...

– Ty ją zasugerowałeś – poprawiła Freja. – Ty namówiłeś na to tych idiotów i nim odejdę z Asgardu, ujrzę twoje truchło.

– My wszyscy... – zaczął Loki, dostrzegł jednak twarze zebranych w sali bogów i umilkł.

– Loki, synu Laufey – zaczął Odyn – oto skutki twojej złej rady.

– Równie złej jak wszystkie inne twoje rady – dodał Balder.

Loki posłał mu niechętne spojrzenie.

– Budowniczy musi przegrać ten zakład – dodał Odyn. – Bez naruszania przysięgi. Nie może mu się udać.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz – mruknął Loki.

– Niczego od ciebie nie oczekuję – wyjaśnił Odyn. – Ale jeśli uda mu się do końca jutrzejszego dnia dokończyć mur, czeka cię długa i bolesna śmierć, a w dodatku paskudna i haniebna.

Loki powiódł wzrokiem po twarzach zebranych bogów i na każdej z nich ujrzał swą śmierć, ujrzał gniew i niechęć. Nie dostrzegł ni śladu litości bądź wybaczenia.

Pojął, iż faktycznie byłaby to straszna śmierć. Ale jakie miał inne wyjście? Co mógł zrobić? Nie śmiał zaatakować nieznajomego, z drugiej strony...

Skinął głową.

– Zostawcie to mnie.

Wyszedł z dworu i żaden z bogów nie próbował go zatrzymać.

Budowniczy skończył już układać kolejną porcję kamiennych bloków. Jutro, w pierwszy dzień lata, o zachodzie słońca dokończy mur, a wówczas odejdzie z Asgardu z zapłatą. Jeszcze tylko dwadzieścia granitowych głazów. Zeskoczył z niezgrabnego drewnianego rusztowania i zagwizdał, wzywając konia.

Swadilfari pasł się jak zawsze wśród wysokich traw na skraju lasu, niemal pół mili od muru, nigdy się jednak nie zdarzyło, by nie przybył na wezwanie.

Budowniczy chwycił liny uwiązane do pustych sań, szykując się, by zaprząc do nich wielkiego szarego rumaka. Słońce świeciło nisko na niebie, nie miało jednak zajść jeszcze przez

kilka godzin, a dysk księżyca, blady lecz widoczny, także wisiał wysoko. Wkrótce oba staną się jego własnością, większe światło i mniejsze, a także pani Freja, piękniejsza niźli oba naraz. Budowniczy jednak nie zamierzał cieszyć się z nagród, póki ich nie dostanie. Pracował tak ciężko i długo, całą zimę...

Ponownie zagwizdał na konia. Dziwne, nigdy wcześniej nie musiał gwizdać dwukrotnie. Widział już Swadilfariego, jak potrząsa łbem i niemal bryka wśród kwiatów wiosennej łąki. Koń postępował krok naprzód, a potem krok w tył, jakby czuł w ciepłym powietrzu wiosennego wieczoru coś kuszącego, ale nie potrafił określić co.

– Swadilfari! – zawołał budowniczy i ogier zastrzygł uszami, ruszając rączym kłusem przez łąkę w jego stronę.

Nieznajomy z zadowoleniem patrzył, jak koń pędzi ku niemu: kopyta uderzały o ziemię, a ich odgłos podwajał się i mnożył echami odbitymi od wysokiego granitowego muru. Przez chwilę zatem budowniczy wyobrażał sobie, że zmierza ku nim całe stado koni.

Nie, pomyślał, tylko jeden.

Pokręcił głową i pojął własny błąd. Nie tętent kopyt jednego konia, tylko dwóch.

Drugim koniem okazała się kasztanowa klacz. Budowniczy natychmiast pojął, że to nie ogier, nie musiał zerkać jej między nogi. Każda linia jej ciała, każdy jej cal, wszystko wokół kasztanki emanowało kobiecością. Swadilfari zawrócił, biegnąc przez łąkę, potem zwolnił, wierzgnął i zarżał głośno.

Kasztanowa klacz jakby go nie zauważała – przestała biec, zachowując się, jak gdyby go tam nie było. Opuściła łeb i skubała trawę, kiedy jednak podszedł bliżej i znalazł się zaledwie tuzin kroków od niej, znów puściła się stępa, kłusem, a potem galopem, a szary ogier pomknął za nią, próbując ją

dogonić, zawsze pozostając o długość czy dwie w tyle, usiłując skubnąć ją zębami w zad i ogon, lecz ani razu nie trafiając.

Biegli tak razem przez łąkę w kremowo-złotym blasku dogasającego dnia, szary koń i brązowy, a ich boki lśniły od potu. Przypominało to niemal taniec.

Budowniczy klasnął głośno w dłonie, zagwizdał i zawołał imię Swadilfariego, na próżno jednak. Ogier go nie słuchał.

Nieznajomy pobiegł, próbując schwytać konia i otrzeźwić go, lecz kasztanowa klacz jakby wiedziała, co zamierza, zwolniła bowiem, otarła się uszami i grzywą o bok łba ogiera, a potem znów popędziła, jakby ścigana przez wilki, w stronę skraju lasu. Swadilfari puścił się za nią i po chwili oboje zniknęli wśród cieni drzew.

Budowniczy zaklął, splunął i czekał, aż koń powróci.

Cienie się wydłużały. Swadilfari nie wracał.

Budowniczy znów podszedł do sań, spojrzał w głąb lasu, potem splunął w dłonie, chwycił linę i zaczął ciągnąć sanie przez łąkę pełną traw i wiosennych kwiatów ku kamieniołomom w górach.

Nie powrócił o świcie. Słońce świeciło już wysoko na niebie, kiedy zjawił się w Asgardzie, wlokąc za sobą sanie.

Miał na nich dziesięć kamiennych bloków, więcej nie zdołał udźwignąć. Ciągnął i szarpał sanie, przeklinając głazy, lecz z każdym szarpnięciem zbliżał się do muru.

Piękna Freja stała w bramie, przyglądając mu się.

– Masz ze sobą tylko dziesięć kamiennych bloków – zauważyła. – Potrzeba ci dwakroć tyle, by dokończyć mur.

Budowniczy nie odpowiedział. Nadal ciągnął ładunek w stronę niedokończonej bramy, jego twarz przypominała maskę. Już nie mrugał porozumiewawczo ani się nie uśmiechał.

– Thor wraca ze wschodu – dodała Freja. – Wkrótce do nas dołączy.

Bogowie Asgardu wyszli, by przyjrzeć się nieznajomemu, który ciągnął bloki w stronę muru. Dołączyli do Frei, otaczając ją troskliwie kręgiem. Patrzyli – z początku w milczeniu, potem zaczęli się uśmiechać, chichotać i wykrzykiwać pytania.

– Hej! – huknął Balder. – Dostaniesz słońce tylko, jeśli skończysz mur. Myślisz, że zabierzesz je ze sobą?

– I księżyc – dodał Bragi. – Co za szkoda, że nie ma tu twojego konia. Mógłby przynieść ci potrzebne kamienie.

I bogowie wybuchnęli śmiechem.

Wówczas budowniczy puścił sanie i obrócił się ku bogom.

– Oszukaliście! – Twarz miał szkarłatną z gniewu i wysiłku.

– Nie oszukaliśmy – odparł Odyn. – Nie bardziej niż ty. Myślisz, że pozwolilibyśmy ci zbudować nasz mur, gdybyśmy wiedzieli, że jesteś olbrzymem?

Wówczas budowniczy uniósł jedną ręką głaz i uderzył nim o drugi, przełamując granit na pół. Obrócił się do bogów, trzymając w dłoniach połówki kamiennego bloku. Miał teraz dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt stóp wzrostu. Jego twarz zmieniła się: nie przypominał już cudzoziemca, który na początku zimy przybył do Asgardu, pogodnego i życzliwego. Teraz jego oblicze wyglądało niczym granitowa ściana urwiska, pokręcone i wyrzeźbione gniewem i nienawiścią.

– Jestem górskim olbrzymem – zagrzmiał – a wy, bogowie, jesteście oszustami i ohydnymi wiarołomcami. Gdybym wciąż miał konia, skończyłbym wasz mur, zabrałbym jako zapłatę piękną Freję, słońce i księżyc, i zostawiłbym was tu w zimnie i ciemności, bez choćby piękna na osłodę.

– Nikt nie złamał przysięgi – odparł Odyn. – Ale teraz żadna przysięga nie ochroni cię przed nami.

Górski olbrzym ryknął z wściekłości i puścił się biegiem ku bogom, unosząc w obu dłoniach kawały granitu niczym pałki.

Bogowie odstąpili i dopiero wtedy olbrzym przekonał się, kto za nimi stoi. Rosły bóg, rudobrody i muskularny, w rękawicach z żelaza, dzierżący w dłoni żelazny młot, którym zamachnął się tylko raz, a potem wypuścił, celując w olbrzyma.

Czyste niebo rozdarła błyskawica, tuż po niej uszy wypełnił im głuchy huk gromu, gdy młot wyleciał z dłoni Thora.

Górski olbrzym ujrzał, jak młot powiększa się szybko, mknąc ku niemu – a potem nie widział już niczego.

Bogowie sami dokończyli budowę muru, choć wiele tygodni zajęło im wycięcie i przyciągnięcie ostatnich dziesięciu kamiennych bloków z kamieniołomu wysoko w górach, przywleczenie ich aż do Asgardu i umieszczenie na górze bramy. Nie były też równie zgrabne i świetnie dopasowane jak te, które wyszły z ręki mistrza budowniczego.

Niektórzy z bogów uważali, że powinni pozwolić olbrzymowi jeszcze bardziej wykończyć mur, zanim Thor go zabił. Thor oznajmił, iż cieszy się, że po powrocie ze wschodu bogowie zapewnili mu odrobinę rozrywki.

O dziwo, choć to do niego wielce niepodobne, Loki nie zjawił się, by przyjąć gratulacje za to, jak odciągnął konia Swadilfariego. Nikt nie wiedział, gdzie się podział, choć niektórzy wspominali o wspaniałej kasztanowej klaczy widzianej na łąkach pod Asgardem. Loki nie pojawiał się niemal rok, a kiedy w końcu powrócił, towarzyszył mu szary źrebak.

Było to piękne źrebię, choć miało osiem nóg zamiast zwykłych czterech. Chodziło za Lokim, gdziekolwiek się udał, trącając go pyskiem i traktując niczym matkę. Co oczywiście odpowiadało prawdzie.

Źrebak wyrósł na konia zwanego Sleipnirem, wielkiego szarego ogiera, najszybszego i najsilniejszego, jaki kiedykolwiek istniał i istniał będzie, konia, który umiał prześcignąć wiatr.

Loki podarował go Odynowi, najlepszego wierzchowca pośród bogów i ludzi.

Wielu podziwiało rumaka Odyna, lecz tylko najdzielniejsi śmiałkowie wspominali o jego rodzicach w obecności Lokiego i nikt nigdy nie odważył się wzmiankować o nim ponownie, Loki bowiem dokładał wszelkich starań, by uprzykrzyć im życie, i gdyby usłyszał was mówiących o tym, jak to odciągnął Swadilfariego od jego pana i uratował bogów przed własnym złym pomysłem, zareagowałby głęboką niechęcią.

I tak oto bogowie zdobyli swój mur.

Dzieci Lokiego

Loki był mężem nadobnym i świetnie o tym wiedział. Ludzie chcieli go lubić, pragnęli mu wierzyć, był jednak w najlepszym razie niegodny zaufania i samolubny, a w najgorszym podstępny i zły. Poślubił niewiastę zwaną Sigyn, która, gdy Loki zalecał się do niej i pojął ją za żonę, była szczęśliwa i piękna, teraz natomiast zawsze wyglądała, jakby spodziewała się najgorszego. Zrodziła mu syna, Narfiego, a wkrótce potem drugiego, Walego.

Czasami Loki znikał na długo i nie wracał, a wówczas Sigyn wyglądała, jakby spodziewała się najgorszych możliwych wieści. Zawsze jednak powracał do niej z podejrzanym poczuciem winy, a jednocześnie bardzo z siebie dumny.

Trzykroć odchodził i trzy razy w końcu wracał.

Za trzecim razem, gdy Loki zjawił się w Asgardzie, wezwał go Odyn.

– Przyśnił mi się sen – oznajmił mądry jednooki bóg. – Masz dzieci.

– Mam syna, Narfiego: to dobry chłopiec, choć muszę przyznać, że nie zawsze słucha ojca, i drugiego syna, Walego, posłusznego i opanowanego.

– Nie ich, masz trójkę innych dzieci, Loki. Wykradałeś się, by spędzać dnie i noce w krainie lodowych olbrzymów z olbrzymką Angrbodą. Ona zaś urodziła ci trójkę dzieci. Widziałem je we śnie okiem umysłu, a wizja mówi mi, że w czasach, które nadejdą, staną się największymi nieprzyjaciółmi bogów.

Loki milczał. Starał się przybrać zawstydzoną minę, ale udało mu się tylko wyglądać na wielce zadowolonego z siebie.

Odyn wezwał do siebie bogów na czele z Tyrem i Thorem i oznajmił, że wyprawią się daleko, do Jotunheimu, krainy olbrzymów, by sprowadzić dzieci Lokiego do Asgardu.

Bogowie wyruszyli do kraju olbrzymów, walczyli z licznymi niebezpieczeństwami, aż w końcu dotarli do twierdzy Angrbody. Nie spodziewała się ich i pozwoliła dzieciom bawić się razem w wielkim dworze. Ich natura wstrząsnęła bogami, ale ich to nie zniechęciło. Pochwycili dzieci Lokiego i Angrbody, związali je i ponieśli najstarsze pomiędzy sobą, przywiązane do ociosanego pnia sosny. Drugiemu dziecku nałożyli kaganiec z powiązanej wierzby i opasali mu szyję sznurem niczym smyczą. Trzecie stąpało obok nich, ponure i niepokojące.

Ci idący po prawicy trzeciego dziecka widzieli piękną, młodą dziewczynkę. Ci po lewej starali się na nią nie patrzeć, ujrzeli bowiem martwą dziewczynkę o skórze i ciele przegniłym i czarnym, kroczącą pośród nich.

– Zauważyłeś coś? – spytał Tyra Thor trzeciego dnia podróży powrotnej przez krainę lodowych olbrzymów.

Rozbili na noc obóz na niewielkiej polanie. Tyr czochrał kudłaty kark drugiego dziecka Lokiego wielką prawicą.

– Co takiego?

– Olbrzymi nie idą za nami. Nawet matka tych stworzeń nas nie ściga. Zupełnie jakby chcieli, byśmy zabrali z Jotunheimu dzieci Lokiego.

– Niemądra gadanina – odparł Tyr, ale mówiąc to, zadrżał, mimo że ogień rzucał przyjemne ciepło.

Po kolejnych dwóch dniach mozolnej wędrówki dotarli do dworu Odyna.

– Oto dzieci Lokiego – oznajmił krótko Tyr.

Pierwsze z dzieci, przywiązane do pnia sosny, było teraz dłuższe od niego. Nazywano je Jormungundrem i było wężem.

– W ciągu tych dni, kiedy go nieśliśmy, urósł o wiele stóp – dodał Tyr.

– Ostrożnie – dorzucił Thor – potrafi pluć czarnym palącym jadem. Splunął nim we mnie, ale chybił. To dlatego przywiązaliśmy mu głowę do drzewa.

– To dziecko – odparł Odyn – wciąż rośnie. Poślemy je tam, gdzie nikomu nie zaszkodzi.

Wszechojciec zabrał węża na brzeg morza leżącego poza wszystkimi ziemiami, morza, które okala Midgard, i tam na brzegu uwolnił Jormungundra, a potem patrzył, jak ten wślizguje się pod fale i odpływa, zwijając i skręcając zapętlone cielsko.

Odyn przyglądał mu się swym jednym okiem, dopóki wąż nie zniknął za horyzontem. Zastanawiał się, czy dobrze uczynił. Nie wiedział. Zrobił tak, jak nakazywały sny, ale sny wiedzą więcej, niż ujawniają nawet najmędrszym z bogów.

Wąż urośnie pod szarymi wodami oceanu świata, urośnie tak bardzo, że w końcu opasze ziemię. Ludzie nazwą Jormungundra wężem Midgardu.

Odyn powrócił do wielkiego dworu i polecił córce Lokiego, by wystąpiła naprzód. Przyglądał się jej chwilę: po prawej stronie twarzy policzek miała rumiany i blady, oko zielone jak oczy Lokiego, usta pełne i karminowe; po lewej skóra wydęła się i rozwarstwiła napuchnięta sińcem śmierci. Ślepe oko zgniło w oczodole, pozbawione warg usta zaschły i rozciągnęły się, odsłaniając zęby brązowe jak u czaszki.

– Jak cię nazywają, dziewczyno? – spytał.

– Zowią mnie Hel – odparła – jeśli taka jest twa wola, Wszechojcze.

– Grzeczne z ciebie dziecko. Tyle ci przyznaję.

Hel milczała, patrzyła tylko na niego jednym zielonym okiem, ostrym niczym odłamek lodu, i drugim bladym, zepsutym i martwym. Nie dostrzegł w niej strachu.

– Czy jesteś żywą istotą – spytał – czy też trupem?

– Jestem wyłącznie sobą, Hel, córką Angrbody i Lokiego – odparła. – I najbardziej ze wszystkich lubię umarłych. To proste istoty, zwracają się do mnie z szacunkiem, choć żywi patrzą na mnie z odrazą.

Odyn dłuższą chwilę przyglądał się dziewczynie, wspominając swoje sny. W końcu rzekł:

– To dziecię zostanie władczynią najgłębszych z najmroczniejszych miejsc i umarłych ze wszystkich dziewięciu światów. Będzie królową owych nieszczęsnych dusz, które zmarły w niegodny sposób: złożone chorobą bądź starością, w wypadkach czy połogu. Wojownicy ginący w bitwie zawsze trafią do nas, do Walhalli, ale umarli, którzy odeszli w inny sposób, staną się poddanymi Hel i będą jej służyć w ciemnościach.

Po raz pierwszy, odkąd wyjęto ją z łona matki, dziewczynka Hel uśmiechnęła się połową ust.

Odyn zawiódł ją do bezświetlnego świata i pokazał olbrzymią salę, w której miała przyjąć poddanych. Patrzył też, jak nadaje imiona swojemu nowemu dobytkowi.

– Moją misę nazwę Głodem – oznajmiła Hel. Uniosła nóż. – Jego nazwę Łaknieniem, a moje łoże to Łoże Boleści.

I tak bogowie pozbyli się dwójki dzieci Lokiego z Angrbodą – jedno trafiło do oceanu, jedno w podziemne ciemności. Ale co począć z trzecim? Kiedy wyprowadzili trzecie i najmniejsze z dzieci Lokiego z krainy olbrzymów, miało ono rozmiar małego psiaka. Tyr czochrał je po szyi i głowie i bawił się z nim, najpierw zdejmując wierzbowy kaganiec. Było to wilcze szczenię, szaroczarne, o oczach barwy ciemnego bursztynu.

Wilczek pożerał mięso na surowo, przemawiał jednak ludzkim głosem w mowie ludzi i bogów i nosił się dumnie. Na imię miał Fenrir. On także rósł szybko – jednego dnia był wielkości wilka, następnego niedźwiedzia jaskiniowego, następnego rosłego łosia.

Bogowie lękali się go, prócz jednego Tyra. Ten nadal bawił się z Fenrirem i brykał z nim, on też co dzień karmił wilka mięsem. A każdego dnia bestia pożerała więcej niż dzień wcześniej. Każdego dnia rosła, stawała się coraz groźniejsza i silniejsza.

Odyn z obawą obserwował dorastanie wilczego dziecka, w jego snach bowiem wilk pojawiał się u kresu wszechrzeczy. Ostatnią rzeczą, jaką Wszechojciec widywał w swoich snach o przyszłości, były topazowe oczy i ostre białe kły Fenrira wilka.

Bogowie zatem zwołali naradę i postanowili, że uwiężą Fenrira.

W swych boskich kuźniach wykuli ciężkie łańcuchy i kajdany i zanieśli do niego.

– Weź je! – zawołali, jakby proponowali nową zabawę. – Tak szybko urosłeś, Fenrirze, że czas poddać próbie twoją siłę. Mamy tu najcięższe łańcuchy i kajdany. Sądzisz, że zdołasz je rozerwać?

– Tak myślę – odparł wilk. – Związcie mnie.

Owinęli go więc wielkimi łańcuchami i skuli mu łapy, Fenrir tymczasem czekał bez ruchu. Bogowie uśmiechali się do siebie, krępując olbrzymiego wilka.

– Teraz! – huknął Thor.

Fenrir napiął i rozciągnął mięśnie nóg i łańcuchy pękły niczym suche gałązki.

Wielki wilk zawył do księżyca, a w jego głosie dźwięczały tryumf i radość.

– Zerwałem wasze łańcuchy – rzekł. – Nie zapomnijcie o tym.

– Nie zapomnimy – odparli bogowie.

Następnego dnia Tyr poszedł zanieść wilkowi mięso.

– Zerwałem okowy – oznajmił Fenrir – i to z łatwością.

– Istotnie – przyznał Tyr.

– Myślisz, że znów poddadzą mnie próbie? Rosnę i z każdym dniem staję się coraz silniejszy.

– Wypróbują cię jeszcze, gotów jestem postawić na to prawą dłoń – odrzekł Tyr.

Wilk nadal rósł, a bogowie w swych kuźniach kuli nowy zestaw łańcuchów. Każde z ogniw było tak ciężkie, że zwykły człowiek nie zdołałby go unieść. Wykuto je z najmocniejszego metalu, jaki zdołali znaleźć bogowie: żelaza z ziemi zmieszanego z żelazem, które spadło z nieba. Łańcuch ten nazwali Dromi.

Bogowie zawlekli je w miejsce, gdzie sypiał Fenrir.

Wilk otworzył oczy.

– Znowu? – spytał.

– Jeśli zdołasz się wyzwolić z tych łańcuchów – odparli bogowie – we wszystkich światach będą sławić twoją siłę. Zyskasz wieczną chwałę. Jeśli takie łańcuchy nie zdołają cię utrzymać, to znaczy, że przewyższasz siłą wszystkich bogów i olbrzymów.

Słysząc to, Fenrir przytaknął i przyjrzał się łańcuchowi Dromi, większemu niż jakikolwiek łańcuch świata, silniejszemu niż najsilniejsze więzy.

– Nie ma chwały bez ryzyka – rzekł po chwili. – Wierzę, że zdołam zerwać te okowy. Zakujcie mnie.

Uczynili to.

Wielki wilk przeciągał się i napinał, ale łańcuch wciąż trzymał. Bogowie spojrzeli po sobie, w ich oczach rozbłysła już tryumfalna iskra, wówczas jednak wilk zaczął się zwijać i skręcać, kopać łapami i napinać wszystkie mięśnie i ścięgna. Jego oczy płonęły, zęby błyskały, z paszczy kapała piana.

Warczał, szarpiąc się, walczył całą mocą.

Bogowie mimo woli cofnęli się o krok i dobrze uczynili, bo łańcuchy pękły i rozpadły się tak gwałtownie, że ich kawałki poleciały daleko w powietrze i jeszcze przez lata bogowie znajdowali odłamki strzaskanych okowów powbijane w pnie wielkich drzew bądź zbocze góry.

– Tak! – huknął Fenrir i zawył zwycięsko, jak wilk i jak człowiek.

Zauważył jednak, iż bogowie najwyraźniej nie podzielają jego zachwytu, nawet Tyr. Fenrir, dziecię Lokiego, zaczął rozmyślać o tym i o innych sprawach.

I z każdym mijającym dniem rósł nadal, coraz większy i coraz bardziej głodny.

Odyn myślał, rozważał i rozsądzał, przywołał całą swą mądrość, mądrość ze studni Mimira, mądrość, którą zyskał, wisząc na drzewie świata w ofierze dla samego siebie. W końcu wezwał do swego boku jasnego elfa, Skirnira, posłańca Frejra, i opisał mu łańcuch zwany Gleipnirem. Skirnir dosiadł konia i pomknął tęczowym mostem do Swartalfheimu z instrukcjami dla karłów, jak stworzyć łańcuch niepodobny do żadnych innych.

Karły wysłuchały opisu zamówienia, zadrżały i wyznaczyły cenę. Skirnir, posłuszny rozkazom Odyna, zgodził się, choć była wysoka. Karły zatem zgromadziły wszystkie składniki, których potrzebowały do stworzenia Gleipnira.

Oto sześć rzeczy, które zebrały:

Po pierwsze, odgłos kroków kota.
Po drugie, brodę kobiety.
Po trzecie, korzenie góry.
Po czwarte, ścięgna niedźwiedzia.

Po piąte, oddech ryby.

Po szóste i ostatnie, plwocinę ptaka.

Z nich wszystkich powstał Gleipnir. (Mówicie, że nie widzieliście nigdy tych rzeczy? Oczywiście, że tak, karły zużyły je całe).

Kiedy skończyły, wręczyły Skirnirowi drewnianą skrzynkę. Wewnątrz leżało coś, co wyglądało jak długa jedwabna wstążka, gładka i miękka w dotyku. Była niemal przezroczysta i praktycznie nic nie ważyła.

Skirnir wrócił do Asgardu ze skrzynią u boku. Zjawił się późnym wieczorem, po zachodzie słońca, a kiedy pokazał bogom, co przywiózł z warsztatu karłów, zadziwił ich ten widok.

Ruszyli zatem razem na brzegi Jeziora Czarnego i zawołali Fenrira po imieniu. Podbiegł do nich jak przywołany pies i zdumieli się, widząc, jak wielki i potężny wyrósł.

– Co się dzieje? – spytał wilk.

– Zdobyliśmy najmocniejsze więzy ze wszystkich – odparli. – Nawet ty nie zdołasz ich zerwać.

Wilk nadął się.

– Potrafię zerwać każdy łańcuch – oznajmił z dumą.

Odyn otworzył dłoń, demonstrując mu Gleipnira, który zamigotał w promieniach księżyca.

– To? – zdumiał się wilk. – To przecież nic.

Bogowie zaczęli ciągnąć, demonstrując, jaki jest mocny.

– My nie umiemy go zerwać – oznajmili.

Wilk, mrużąc oczy, przyjrzał się jedwabistej wstążce, którą unosili przed nim, połyskującej niczym ślad pozostawiony przez ślimaka bądź promienie księżyca na falach, po czym odwrócił się wyraźnie niezainteresowany.

– Nie – rzekł. – Przynieście mi prawdziwe łańcuchy, kajdany, ciężkie, wielkie okowy i pozwólcie, bym zademonstrował swą siłę.

– To jest Gleipnir – odparł Odyn – mocniejszy od jakichkolwiek okowów czy kajdan. Boisz się, Fenrirze?

– Boję? Ależ nie, ale co się stanie, jeśli zerwę tę cienką wstążkę? Sądzicie, że zdobędę sławę i zaszczyty, że ludzie będą się gromadzić i powtarzać: „wiesz, jaki silny i potężny jest wilk Fenrir? Jest tak silny, że zerwał jedwabną wstążkę!”. Uwolnienie się z Gleipnira nie przyniesie mi chwały.

– Boisz się – stwierdził Odyn.

Wielki zwierz pociągnął nosem.

– Węszę tu zdradę i podstęp – rzekł, a jego bursztynowe oczy rozbłysły w blasku księżyca. – I choć uważam, że wasz Gleipnir to tylko wstęga, nie pozwolę się nią związać.

– Ty? Ty, który zerwałeś najsilniejsze, najcięższe łańcuchy? Czujesz strach przed tą szmatką? – wtrącił Thor.

– Nic nie budzi we mnie strachu – warknął wilk. – Mam raczej wrażenie, że to wy, małe istoty, boicie się mnie.

Odyn podrapał się po brodatym podbródku.

– Nie jesteś głupi, Fenrirze. Nie ma tu zdrady, ale rozumiem twoją niechęć. Trzeba dzielnego wojownika, by zgodził się na skrępowanie więzami, których być może nie zdoła rozerwać. Zapewniam cię zatem jako ojciec bogów, że jeśli nie uda ci się uwolnić z tych więzów – zwykłej jedwabnej wstążki, jak powiadasz – my, bogowie, nie będziemy mieli powodu, by się ciebie lękać, i uwolnimy cię, pozwalając, byś odszedł swobodnie.

Z pyska wilka dobył się długi warkot.

– Kłamiesz, Wszechojcze. Kłamiesz tak, jak inni oddychają. Gdybyście skrępowali mnie więzami, z których nie zdołałbym się wyrwać, nie wierzę, że byście mnie uwolnili. Sądzę, że

zostawilibyście mnie tutaj. Myślę, że zamierzacie mnie porzucić i zdradzić. Nie pozwolę się związać tą wstążką.

– Wspaniałe słowa i dzielne słowa – odrzekł Odyn. – Słowa, które mają ukryć twój strach. Okazałeś się tchórzem, Fenrirze wilku. Boisz się związania tą jedwabną wstążką. Nie musisz wyjaśniać nic więcej.

Język wilka wysunął się z pyska i wtedy Fenrir zaśmiał się, odsłaniając ostre zęby, każdy długości ludzkiej ręki.

– Rzucam ci zatem wyzwanie. Zamiast podważać moją odwagę, dowiedź, że nie planujesz zdrady. Możecie mnie związać, jeśli jeden z was włoży dłoń do mego pyska. Ostrożnie zacisnę na niej zęby, ale nie ugryzę. Jeżeli nie kryje się w tym podstęp, to gdy już wyrwę się ze wstążki, albo kiedy wy mnie uwolnicie, otworzę paszczę i ręka pozostanie nietknięta. Proszę. Przysięgam, jeśli włożycie mi rękę w pysk, pozwolę się związać. To co, kto ofiaruje swoją dłoń?

Bogowie popatrzyli po sobie. Balder spojrzał na Thora, Heimdall na Odyna, Hoenir na Freja, lecz żaden się nie zgłosił. W końcu Tyr, syn Odyna, westchnął i wystąpił naprzód, unosząc prawą dłoń.

– Ja włożę ci rękę do pyska, Fenrirze – rzekł.

Fenrir ułożył się na boku, a Tyr wsunął mu prawą dłoń między szczęki, tak jak to czynił, gdy Fenrir był ledwie szczenięciem i bawili się razem. Fenrir ostrożnie zacisnął zęby, tak że chwyciły dłoń Tyra w przegubie, nie kalecząc skóry, a potem zamknął oczy.

Bogowie związali go Gleipnirem. Błyszczący ślimaczy ślad lśnił wokół olbrzymiego wilka, krępując mu łapy i unieruchamiając.

– Proszę – rzucił Odyn. – A teraz, Fenrirze wilku, zerwij swe więzy. Pokaż nam, jaki jesteś silny.

Wilk napiął się i walczył, pchał i naciągał każdy nerw i mięsień, by zerwać opasującą go wstęgę. Jednakże z każdą próbą zadanie zdawało się coraz trudniejsze, z każdym wysiłkiem migotliwa wstążka nabierała mocy.

Z początku bogowie parskali, potem zaczęli chichotać. W końcu, gdy upewnili się, że bestia została unieruchomiona i nic im nie grozi, wybuchnęli śmiechem.

Jedynie Tyr milczał. Nie śmiał się. Czuł na przegubie ostre kły Fenrira wilka, wilgoć i ciepło jego języka na dłoni i palcach.

Fenrir przestał się szarpać. Legł bez ruchu. Jeśli bogowie zamierzali go uwolnić, mogli to uczynić właśnie teraz.

Ale bogowie tylko śmiali się coraz głośniej. Ogłuszające prychnięcia Thora, każde donośniejsze niż grom, mieszały się z suchym śmiechem Odyna, z dźwięcznym głosem Baldera...

Fenrir spojrzał na Tyra, ten odpowiedział śmiałym spojrzeniem, a potem zamknął oczy i skinął głową.

– Zrób to – szepnął.

Fenrir wgryzł się w przegub Tyra.

Ten nawet nie jęknął, jedynie przyłożył lewą dłoń do kikuta prawej ręki i ścisnął najmocniej jak mógł, by powstrzymać upływ krwi.

Fenrir patrzył, jak bogowie chwytają koniec Gleipnira i przewlekają go przez głaz wielki jak góra, zawiązując pod ziemią. Patrzył, jak biorą drugą skałę i z jej pomocą wbijają pierwszą w ziemię, głębiej, niż sięga najgłębszy ocean.

– Zdradziecki Odynie! – zawołał. – Gdybyś mnie nie okłamał, zostałbym przyjacielem bogów. Ale twój strach zwiódł cię i zdradził. Zabiję cię, ojcze bogów. Zaczekam do kresu wszechrzeczy, a potem pożrę słońce i księżyc. Ale największą radość sprawi mi zabicie ciebie.

Bogowie bardzo uważali, by nie podejść zbyt blisko szczęk Fenrira. Gdy jednak wbijali skałę głębiej, Fenrir przekręcił się

i kłapnął zębami. Stojący najbliżej bóg wykazał się wielkim refleksem i trzeźwością umysłu i wbił mu miecz w podniebienie. Rękojeść utknęła w żuchwie wilka, blokując pysk i na zawsze unieruchamiając szczęki.

Fenrir warknął ochryple i z jego paszczy pociekła ślina, tworząc rzekę. Gdybyście nie wiedzieli, że to wilk, moglibyście wziąć go za niewielką górę z jaskinią, z której wypływa struga.

Bogowie opuścili miejsce, w którym rzeka śliny wpadała do mrocznego jeziora. Odezwali się dopiero, gdy znaleźli się dość daleko. Wówczas znów śmiali się i poklepywali po plecach, radośni jak ludzie sądzący, że dokonali czegoś wielce przebiegłego.

Tyr nie uśmiechał się i nie okazywał radości. Owinął ciasno kikut tkaniną i wrócił z bogami do Asgardu, trzymając się na uboczu.

Oto historia dzieci Lokiego.

Niezwykły ślub Frei

Thor, bóg grzmotu, najmocarniejszy ze wszystkich Asów, najsilniejszy, najdzielniejszy i najodważniejszy w bitwie, nie ocknął się jeszcze do końca, ale miał wrażenie, że coś jest nie tak. Sięgnął zatem ręką po młot, który przed snem zawsze układał koło łóżka.

Zaczął macać z zamkniętymi oczami. Rozcapierzał palce, szukając wygodnego i jakże znajomgo trzonka.

Ani śladu młota.

Thor otworzył oczy. Usiadł. Wstał. Przeszedł się po komnacie.

Nigdzie nie było młota. Zniknął.

Młot Thora nosił miano Mjollnir. Wykuło go dla niego dwóch karłów, Brokk i Eitri. Był to jeden ze skarbów bogów. Kiedy Thor uderzał w coś młotem, niszczył to. Jeśli w coś nim rzucił, młot nigdy nie chybiał celu i zawsze frunął w powietrzu z powrotem do jego dłoni. Thor mógł zmniejszyć młot i ukryć pod koszulą, a potem znów powiększyć. Młot ów był doskonały pod każdym względem, prócz jednego: miał nieco za krótką rękojeść, co oznaczało, że Thor musiał brać zamach tylko jedną ręką.

Mjollnir chronił bogów Asgardu przed wszelkimi niebezpieczeństwami grożącymi im i światu. Lodowi olbrzymi i ogry, trolle i najróżniejsze potwory – wszystko, co żyło, bało się młota Thora.

Thor kochał swój młot. A teraz go tu nie było.

Kiedy coś szło nie tak, Thor zawsze robił parę rzeczy. Po pierwsze, zadawał sobie pytanie, czy to przypadkiem nie wina Lokiego. Teraz też zastanawiał się nad tym. Nie wierzył jednak,

by nawet Loki odważył się ukraść mu młot. Uczynił zatem następną rzecz, jaką robił, gdy coś poszło nie tak: udał się do Lokiego, by go spytać o radę.

Loki jest przebiegły. Loki powie mu, co ma robić.

– Nie mów nikomu – rzekł Thor – ale młot bogów został skradziony.

– To – Loki skrzywił się – niedobre wieści. Zobaczmy, czy zdołam się czegoś dowiedzieć.

Udał się do dworu Frei. Ta najpiękniejsza ze wszystkich bogów miała złote włosy opadające na ramiona i połyskujące w promieniach blasku. Jej dwie kotki krążyły po komnacie gotowe pociągnąć wóz bogini. Wokół jej szyi, złocisty i równie jasny jak włosy, lśnił naszyjnik Brisingów, wykuty dla Frei przez karły z podziemi.

– Chciałbym pożyczyć twój pierzasty płaszcz – oznajmił Loki. – Ten, który pozwala ci latać.

– Kategorycznie nie – odparła Freja. – Ten płaszcz to mój najcenniejszy skarb, wart więcej niźli złoto. Nie pozwolę, żebyś przywdział go i zaczął psocić.

– Skradziono młot Thora – wyjaśnił Loki. – Muszę go znaleźć.

– Przyniosę ci płaszcz – rzekła Freja.

Loki nałożył pierzasty płaszcz i wyprysnął w powietrze, przybierając postać sokoła. Pofrunął poza Asgard, daleko w głąb krainy olbrzymów, szukając czegoś nietypowego.

W końcu Loki ujrzał pod sobą wielki kurhan, a na nim największego, najpaskudniejszego ogra, jakiego kiedykolwiek oglądał. Ogr ów siedział i wyplatał obrożę dla psa. Kiedy ujrzał Lokiego pod postacią sokoła, wyszczerzył ostre zęby i pomachał ręką.

– Co słychać u Asów, Loki? Jakie przynosisz wieści od elfów? I dlaczego przybyłeś samotnie do krainy olbrzymów?

Loki wylądował obok niego.

– Z Asgardu przynoszę wyłącznie złe wieści i jednako złe od elfów.

– Czyżby? – Ogr zachichotał, jakby niezwykle ucieszyło go coś, co uczynił, i jakby miał się za wyjątkowo bystrego.

Loki rozpoznał ów śmiech. Czasami też się tak śmiał.

– Zaginął młot Thora – rzekł teraz. – Czy przypadkiem czegoś o tym nie wiesz?

Ogr podrapał się pod pachą i znów zachichotał.

– Możliwe – przyznał, po czym spytał: – Jak się miewa Freja? Czy jest tak piękna, jak powiadają?

– Jeśli lubisz ten typ – mruknął Loki.

– Och, ależ lubię – odparł ogr. – Lubię.

Zapadła kolejna krępująca cisza. Ogr odłożył obrożę na stertę innych i zaczął wyplatać kolejną.

– Mam młot Thora – poinformował Lokiego. – Ukryłem go tak głęboko pod ziemią, że nikt nigdy go nie znajdzie, nawet Odyn. Tylko ja mogę znów go wydobyć i zwrócę go Thorowi, jeśli dostarczysz mi to, czego pragnę.

– Mogę zapłacić okup za młot – odparł Loki – przynieść ci złoto i jantar, niezliczone skarby...

– Nie chcę ich – przerwał mu ogr. – Chcę poślubić Freję. Przyprowadź ją tu za osiem dni. W noc poślubną zwrócę bogom młot w darze dla Frei.

– Kim jesteś? – spytał Loki.

Ogr uśmiechnął się szeroko, wyszczerzając krzywe zęby.

– Ależ Loki, synu Laufey, jestem Thrym, władca ogrów.

– Nie wątpię, że zdołamy dojść do porozumienia, o wielki Thrymie. – Loki opatulił się ciasno pierzastym płaszczem Frei, rozłożył ręce i wyprysnął w niebo.

Świat w dole wydał mu się bardzo mały. Patrzył z góry na drzewa i góry, maleńkie jak dziecięce zabawki, i problemy bogów także wydały mu się małe i nieważne.

Thor czekał na niego we dworze bogów. Nim jeszcze Loki zdążył wylądować, pochwyciły go potężne ręce.

– I co? Coś wiesz, widzę to po twojej minie. Gadaj, co ci wiadomo, i to już! Nie ufam ci, Loki, chcę natychmiast wiedzieć to, co i ty, nim zdołasz obmyślić jakiś chytry plan.

Loki, który obmyślał chytre plany równie łatwo, jak inni oddychali, uśmiechnął się niewinnie w obliczu zagniewanego boga.

– Twój młot wykradł Thrym, władca wszystkich ogrów – odparł. – Przekonałem go, by zwrócił ci Mjollnira, ale domaga się zapłaty.

– To uczciwe – przyznał Thor. – Jaka jest cena?

– Domaga się ręki Frei.

– Chce tylko jej ręki? – rzucił z nadzieją Thor.

Ostatecznie miała dwie, może zdoła ją przekonać, by bez specjalnych sprzeciwów zrezygnowała z jednej. W końcu Tyr świetnie sobie radził.

– Jej całej – poprawił Loki. – Chce ją poślubić.

– Ach – mruknął Thor – to jej się nie spodoba. No dobrze, przekaż jej wieści. Lepiej ode mnie umiesz przekonywać ludzi, przynajmniej póki nie trzymam w dłoni młota.

Razem udali się do dworu Frei.

– Oto twój pierzasty płaszcz – oświadczył Loki.

– Dziękuję – odparła bogini. – Dowiedziałeś się, kto ukradł młot Thora?

– Thrym, władca ogrów.

– Słyszałam o nim. Paskudny typ. Czego chce w zamian?

– Ciebie – odrzekł Loki. – Chce cię poślubić.

Freja skinęła głową.

Thora uradowało to, że tak łatwo pogodziła się z faktami.

– Włóż ślubną koronę, Frejo, i spakuj swe rzeczy – powiedział. – Wyruszycie z Lokim do kraju olbrzymów. Musisz

wyjść za Thryma, nim ten zmieni zdanie. Chcę odzyskać młot.

Freja nawet nie drgnęła.

Thor zauważył, że ziemia się trzęsie, podobnie mury. Koty Frei zaczęły miauczeć i syczeć, umknęły pod skrzynię z futrami i nie chciały wyjść.

Dłonie Frei zacisnęły się w pięści. Naszyjnik Brisingów spadł z jej szyi na podłogę. Nawet tego nie zauważyła. Wbijała wzrok w Thora i Lokiego, jakby miała przed sobą najohydniejsze, najżałośniejsze robaki, jakie kiedykolwiek oglądała.

Thorowi niemal ulżyło, gdy w końcu przemówiła.

– Za kogo ty mnie masz? – spytała bardzo cicho. – Myślisz, że jestem aż tak głupia? Tak nieważna? Że jestem kimś, kogo możesz wydać za ogra, byle tylko rozwiązać swój kłopot? Sądzicie, że udam się do krainy olbrzymów, że przywdzieję ślubną koronę i welon i poddam się dotykowi i... i... żądzy tego ogra? Że go poślubię... że...

Urwała, ściany znów zadrżały i Thora ogarnęła obawa, że cały budynek zawali się im na głowy.

– Wynoście się! – rzuciła Freja. – Za jaką kobietę mnie bierzecie?

– Ale. Mój młot – wyjąkał Thor.

– Zamknij się, Thorze – warknął Loki.

Thor zamknął się. Wyszli.

– Jest bardzo piękna, kiedy się złości – zauważył Thor. – Można zrozumieć, czemu ogr chce ją poślubić.

– Zamknij się, Thorze – powtórzył Loki.

Zwołali naradę bogów, którzy zebrali się w wielkiej sali. Zjawili się wszyscy bogowie i boginie oprócz Frei, która odmówiła wyjścia z domu.

Cały dzień rozmawiali, dyskutowali i sprzeczali się. Nikt nie wątpił, że muszą odzyskać Mjollnira, ale jak? Każdy z bogów i bogiń czynił własne sugestie, a Loki odrzucał każdą z nich.

W końcu pozostał tylko jeden bóg, który nie przemówił: Heimdall, dalekowidzący, który czuwa nad całym światem. Nie dzieje się nic, czego by nie widział. Czasami dostrzega też rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły.

– I co? – spytał Loki. – Co z tobą, Heimdallu, masz jakiś pomysł?

– Mam – odparł Heimdall – ale wam się nie spodoba.

Thor rąbnął pięścią w stół.

– Nieważne, czy nam się spodoba, czy nie – huknął. – Jesteśmy bogami! Żadne z tu zebranych nie cofnie się przed niczym, byle tylko odzyskać Mjollnira, młot bogów. Zdradź nam swój pomysł, a jeśli uznamy go za dobry, spodoba się nam.

– Nie spodoba – odparł Heimdall.

– Ależ spodoba! – zaprotestował Thor.

– No cóż – rzekł Heimdall. – Uważam, że powinniśmy przebrać Thora za pannę młodą. Założyć mu na szyję naszyjnik Brisingów. Głowę ozdobić ślubną koroną. Wypchać suknię tak, by wyglądał jak kobieta. Zasłonić welonem twarz. Do paska przypniemy mu klucze brzęczące jak u kobiet, ozdobimy klejnotami...

– Nie podoba mi się ten pomysł – przerwał Thor. – Ludzie pomyślą... No, najpierw pomyślą, że przebieram się w kobiece stroje. Kategorycznie wykluczone. Nie podoba mi się ten pomysł. Z całą pewnością nie założę ślubnego welonu. Nikomu z was to nie odpowiada, prawda? Doprawdy okropny pomysł. Mam brodę, nie mogę jej zgolić.

– Zamknij się, Thorze – warknął Loki, syn Laufey. – To doskonały pomysł. Jeśli nie chcesz, by olbrzymi najechali Asgard, włożysz ślubny welon, pod którym ukryjesz twarz i brodę.

Najwyższy z bogów, Odyn, przemówił.

– W istocie, to znakomity pomysł. Dobra robota, Heimdallu. Musimy odzyskać młot, a to najlepszy sposób. Boginie, przyszykujcie Thora do nocy poślubnej.

Boginie przyniosły mu strój i ozdoby, Frigg i Fulla, Sif, Idunn i pozostałe, nawet Skadi, przybrana matka Frei, przybyły z pomocą. Odziały go w najpiękniejsze suknie, takie, jakie mogłaby przywdziać na swój ślub wysoko urodzona bogini. Frigg poszła do Frei i wróciła z naszyjnikiem Brisingów, zawiesiła go Thorowi na szyi.

Sif, żona Thora, przyczepiła mu do paska własne klucze.

Idunn przyniosła swe klejnoty – obwiesiła nimi Thora tak, że lśnił i połyskiwał w blasku świec, a palce ozdobiła setką pierścieni z czerwonego i białego złota.

Twarz przesłoniły Thorowi welonem, tak że widać było tylko oczy. War, bogini małżeństwa, nałożyła mu na głowę lśniącą tiarę: ślubną koronę, wysoką, szeroką i piękną.

– Nie jestem pewna co do oczu – rzekła z troską. – Nie wyglądają zbyt kobieco.

– Taką mam nadzieję – mruknął Thor.

War spojrzała na niego.

– Jeśli zsunę koronę niżej, ukryję je, ale przecież muszę widzieć.

– Postaraj się, jak możesz – wtrącił Loki, a potem rzekł: – Ja będę twoją służką, udam się z tobą do krainy olbrzymów. – Loki odmienił postać i z głosu i wyglądu stał się piękną, młodą dwórką. – Proszę, jak wyglądam?

Thor wymamrotał coś pod wąsem i może i dobrze, że nikt tego nie usłyszał.

Loki i Thor wgramolili się na wóz Thora, a ciągnące go kozły, Trzaskacz i Zgrzytacz, skoczyły w niebo pełne zapału. Pod ich kołami pękały góry, a z ziemi tryskały płomienie.

– Mam złe przeczucie – oznajmił Thor.

– Nic nie mów – upomniał go Loki pod postacią dziewoi. – Ja będę przemawiać za nas obu. Zapamiętasz to? Jeśli się odezwiesz, możesz wszystko zaprzepaścić.

Thor tylko mruknął w odpowiedzi.

Wylądowali na dziedzińcu obok stojących obojętnie olbrzymich, czarnych jak węgiel wołów. Każdy z nich przewyższał wzrostem dom; czubki ich rogów okuto złotem, a cały dziedziniec cuchnął ostro łajnem.

Z wnętrza wielkiego wyniosłego dworu powitał ich grzmiący głos:

– Szybciej, wy durnie! Rozrzućcie czystą słomę na ławach! Co wy wyprawiacie?! Pozbierajcie je albo zakryjcie słomą, nie zostawiajcie, żeby gniło! To Freja, najpiękniejsza istota na świecie, córka Njorda! Wkrótce tu przybędzie i nie zechce oglądać czegoś takiego.

Przez dziedziniec ciągnęła się ścieżka wysypana świeżą słomą. Zostawiwszy wóz, przebrany Thor i służka, będąca w istocie Lokim, ruszyli po niej, unosząc spódnice, by nie wlokły się w błocie.

Czekała na nich gigantyczna niewiasta. Przedstawiła się jako siostra Thryma, a potem wyciągnęła rękę i uszczypnęła palcami rumiany policzek Lokiego, a także trąciła Thora jednym ostrym paznokciem.

– A zatem to jest najpiękniejsza kobieta świata? Nie wygląda zbyt ciekawie, a kiedy uniosła spódnicę wydało mi się, że kostki ma grube jak pnie młodych drzew.

– Złudzenie wywołane światłem. To istotnie najpiękniejsza ze wszystkich bogów – rzekła gładko służka będąca Lokim. – Przyrzekam, że kiedy zrzuci welon, zastygniecie porażeni jej urodą. A teraz, gdzie pan młody? Gdzie uczta weselna? Freja tak bardzo się niecierpliwi, że ledwie mogę ją powstrzymać!

Słońce już zachodziło, gdy wprowadzono ich do wielkiej sali na weselisko.

– Co, jeśli zechce, żebym usiadł obok niego? – wyszeptał Thor do Lokiego.

– Będziesz musiał tam usiąść, to przecież miejsce panny młodej.

– Ale może spróbować położyć mi dłoń na nodze! – wyszeptał nerwowo Thor.

– Ja siądę między wami – obiecał Loki. – Wyjaśnię, że taki mamy zwyczaj.

Thrym usiadł u szczytu stołu, Loki obok niego na ławie, a dalej Thor.

Thrym klasnął w dłonie i olbrzymi służący wbiegli do sali, dźwigając pięć całych pieczonych wołów, dość, by nakarmić olbrzymów. Przynieśli też dwadzieścia całych pieczonych łososi, każdego wielkości dziesięciolatka, oraz dziesiątki tac placków, ciastek i przysmaków dla kobiet.

Za nimi szło kolejnych pięciu służących, każdy taszczył całą baryłkę miodu, beczkę dość dużą, by nawet olbrzymi uginali się pod ich ciężarem.

– To miód dla pięknej Frei! – oznajmił Thrym i może powiedziałby coś jeszcze, ale Thor zaczął już jeść i pić i nieuprzejmie byłoby, gdyby się odezwał podczas posiłku narzeczonej.

Przed Lokim i Thorem ustawiono tace ciast i placków. Loki starannie wybrał najmniejszy, Thor równie starannie zgarnął całą resztę, która zniknęła pod welonem do wtóru odgłosów chrupania.

Pozostałe kobiety, wpatrzone łakomie w smakołyki, jęknęły z zawodu, patrząc gniewnie na piękną Freję.

Ale piękna Freja jeszcze nawet nie zaczęła jeść.

Thor pochłonął sam całego wołu, zjadł siedem całych łososi, pozostawiając tylko ości. Za każdym razem, gdy przynoszono mu tacę ciastek, sam pożerał smakołyki, pozwalając kobietom głodować. Czasami Loki kopał go pod stołem, ale Thor nie zważał na to i jadł dalej.

Thrym poklepał Lokiego po ramieniu.

– Wybacz – rzekł – ale piękna Freja właśnie opróżniła trzecią beczkę miodu.

– Nie wątpię – odparło dziewczę będące Lokim.

– Zdumiewające. Nigdy nie spotkałem kobiety jedzącej tak łapczywie. Nigdy nie widziałem też, by niewiasta wypiła tak wiele miodu na jednym posiedzeniu.

– Istnieje – rzekł Loki – oczywiste wyjaśnienie.

Odetchnął głęboko, patrząc, jak Thor pochłania kolejnego łososia i wyciąga spod welonu jego ości. Przypominało to magiczną sztuczkę. Gorączkowo zastanawiał się, jakie jest owo wyjaśnienie.

– To już ósmy łosoś – zauważył Thrym.

– Osiem dni i osiem nocy! – rzucił nagle Loki. – Nie jadła od ośmiu dni i ośmiu nocy, tak bardzo pragnęła przybyć do krainy olbrzymów i kochać się ze swym nowym mężem. Teraz, w twojej obecności, w końcu znów zaczęła jeść. – Służka odwróciła się do Thora. – Jak dobrze widzieć, że znów jesz, moja droga! – zawołała.

Thor posłał Lokiemu gniewne spojrzenie spod welonu.

– Powinienem ją pocałować – powiedział Thrym.

– Nie radzę. Jeszcze nie – zaczął Loki, ale Thrym pochylił się już, cmokając głośno ustami.

Jedną wielką ręką sięgnął do welonu Thora. Dziewczę będące Lokim wyciągnęło rękę, by go powstrzymać, za późno jednak. Thrym przestał już cmokać miłośnie i odskoczył wstrząśnięty. Poklepał po ramieniu służkę będącą Lokim.

– Możemy porozmawiać? – spytał.

– Oczywiście.

Wstali i przeszli przez salę.

– Dlaczego oczy Frei są takie... takie przerażające? – spytał Thrym. – Mam wrażenie, jakby wewnątrz nich płonął ogień. To nie były oczy nadobnej niewiasty!

– Oczywiście, że nie – odparło gładko dziewczę będące Lokim. – I chyba tego nie oczekujesz? Nie spała przecież od ośmiu dni i ośmiu nocy, o potężny Thrymie. Do tego stopnia pochłonęła ją miłość do ciebie, że nie śmiała się położyć, tak bardzo łaknęła twej miłości. Trawi ją wewnętrzny ogień! To właśnie ujrzałeś w jej oczach, ognistą namiętność.

– Aa – mruknął Thrym. – Rozumiem. – Uśmiechnął się i oblizał wargi językiem większym niż ludzka poduszka. – Dobrze zatem.

Wrócili do stołu. Siostra Thryma zajęła miejsce Lokiego obok Thora i bębniła paznokciami o jego dłoń.

– Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, dasz mi swoje pierścienie – mówiła. – Wszystkie te śliczne, złote pierścienie. Jesteś obca w tym zamku, trzeba ci kogoś, kto się tobą zajmie, inaczej zrobi się nieprzyjemnie. Jesteś tak daleko od domu. Masz tyle pierścieni, daj mi część w podarku ślubnym. Są takie ładne, czerwone i złociste...

– Czy nie czas już na ślub? – spytał Loki.

– Najwyższy! – odparł Thrym, po czym zagrzmiał ogłuszająco. – Przynieście młot, by uświęcić pannę młodą! Chcę ujrzeć Mjollnira na kolanach pięknej Frei. Niechaj War, bogini przysiąg między mężczyznami i kobietami, pobłogosławi i uświęci naszą miłość!

Trzeba było czterech olbrzymów, by unieść młot Thora. Przydźwigali go z głębi sali, młot połyskiwał słabo w blasku ognia. Z trudem złożyli go na kolanach Thora.

– A teraz – rzekł Thrym – niechaj usłyszę twój piękny głos, o ukochana. Moja słodka, moja gołąbeczko, powiedz mi, że mnie kochasz. Powiedz, że zostaniesz moją żoną. Powiedz, że oddajesz mi się, tak jak niewiasty oddają się mężom, a mężowie niewiastom od zarania czasu. Co powiesz?

Thor ujął trzonek młota ręką lśniącą od złotych pierścieni, uścisnął go mocno. Trzonek leżał w jego dłoni jak ulał. I wtedy Thor zaczął się śmiać – głęboko, donośnie.

– Powiem tylko – rzekł głosem niczym grom – że nie trzeba było kraść mi młota.

Uderzył Thryma Mjollnirem; tylko raz, ale wystarczyło. Ogr runął na zasłaną słomą ziemię i więcej już nie wstał.

Wszyscy olbrzymi i ogry padli pod ciosami młota Thora: goście niedoszłego ślubu i wesela.

Nawet siostra Thryma dostała weselny dar, którego nie oczekiwała.

A kiedy w sali zapadła cisza, Thor zawołał:

– Loki?!

Loki w swej prawdziwej postaci wygramolił się spod stołu i rozejrzał po stertach trupów.

– No proszę – rzekł – najwyraźniej rozwiązałeś swój problem.

Thor zdarł już z siebie z ulgą kobiece spódnice, stał teraz odziany jedynie w koszulę w sali pełnej martwych olbrzymów.

– Nie było nawet tak źle, jak się obawiałem – przyznał wesoło. – Odzyskałem swój młot i zjadłem całkiem porządną kolację. Wracajmy do domu.

Miód poetów

Zastanawiacie się czasem, skąd bierze się poezja? Skąd bierzemy pieśni, które śpiewamy, opowiadane historie? Czy zadajecie sobie pytanie, jak to jest, że niektórzy potrafią snuć piękne, wspaniałe, wielkie sny i przekazywać je dalej światu w postaci poezji, by były śpiewane i powtarzane tak długo, póki słońce wschodzi i zachodzi, póki księżyc rośnie i maleje? Zastanawialiście się, dlaczego niektórzy tworzą piękne wiersze, pieśni i opowieści, a inni z nas nie? To długa historia i nikomu nie przysparza chwały: są w niej morderstwo i oszustwo, są kłamstwa i głupota, uwiedzenie i pościg. Posłuchajcie.

Zaczęło się niedługo po początkach czasu, w wojnie między bogami: Asowie walczyli z Wanami. Asowie to wojowniczy bogowie bitwy i podboju, Wanowie byli łagodniejsi, bracia i siostry, bogowie i boginie, czyniący ziemię żyzną, a plony bujnymi. Nie oznacza to jednak, że ich potęgę można lekceważyć.

Siły Wanów i Asów okazały się zbyt wyrównane, żadna ze stron nie mogła zwyciężyć w wojnie. A co więcej, podczas walki pojęli, że obie strony potrzebują siebie nawzajem: że nawet w najwspanialszej bitwie nie znajdziecie radości, jeśli potem zabraknie żyznych pól i farm, które nakarmią was podczas uczty.

Spotkali się zatem, by wynegocjować pokój, a po zakończonych rozmowach uczcili swój rozejm, spluwając kolejno, Asowie i Wanowie jednako, do kadzi. I gdy ich ślina się zmieszała, ugoda nabrała mocy.

Następnie zasiedli do uczty. Jedli strawę, pili miód, żartowali i figlowali, rozmawiali, przechwalali się i zaśmiewali, aż ognie przygasły, a słońce wzniosło się nad horyzont. Wówczas, kiedy Asowie i Wanowie powstali i ruszyli do wyjścia, by opatulić się w futra i tkaniny i wyjść na mroźny śnieg i poranną mgłę, Odyn rzekł.

– Szkoda byłoby zostawić tu naszą połączoną ślinę.

Frejr i Freja, brat i siostra, przewodzący tym z Wanów, którzy pragnęli zostać z Asami w Asgardzie według warunków rozejmu, pokiwali głowami.

– Moglibyśmy coś z niej zrobić – zaproponował Frejr.

– Powinniśmy zrobić człowieka – dodała Freja i sięgnęła do kadzi.

Ślina pod jej palcami odmieniła się i nabrała kształtu, po chwili wyglądała już jak stojący przed nimi nagi mężczyzna.

– Jesteś Kwasir – oznajmił Odyn. – Wiesz, kim ja jestem?

– Odynem najwyższym – odparł Kwasir – Grimnirem i Trzecim. Masz też inne imiona, zbyt wiele, by wymieniać je w tym miejscu, ja jednak znam je wszystkie, znam też towarzyszące im wiersze, pieśni i kenningi.

Kwasir, stworzony z połączenia Asów z Wanami, był najmędrszym z bogów, zarówno głową, jak i sercem. Bogowie przepychali się, by usiąść obok niego i zadawać mu pytania, zawsze bowiem udzielał mądrych odpowiedzi. Był bystrym obserwatorem i właściwie interpretował wszystko, co zobaczył.

Po niedługim czasie Kwasir zwrócił się do bogów.

– Teraz wyruszam w podróż – oznajmił. – Chcę zwiedzić dziewięć światów, obejrzeć Midgard. Znaleźć odpowiedzi na pytania, których jeszcze nie zadałem.

– Ale powrócisz do nas? – spytali.

– Powrócę – odparł Kwasir. – Bo przecież pozostaje wciąż jeszcze tajemnica sieci, którą pewnego dnia trzeba będzie

rozwiązać.

– Co takiego? – zdumiał się Thor.

Kwasir jednak uśmiechnął się tylko i zostawił bogów zadziwionych jego słowami, po czym przywdział płaszcz podróżny i opuścił Asgard, wędrując tęczowym mostem.

Chodził od miasta do miasta, od wioski do wioski, spotykał najróżniejszych ludzi, dobrze ich traktował i odpowiadał na pytania, a po jego odwiedzinach każde miejsce stawało się lepsze.

W owych dniach w fortecy nad morzem mieszkały dwa mroczne elfy. Zajmowały się tam magią i najwyższą alchemią i jak wszystkie karły budowały różne przedmioty, cudowne, wspaniałe przedmioty tworzone w warsztacie i kuźni. Ale istniały też rzeczy, których jeszcze nie stworzyły, i myśl o nich dręczyła je bezustannie. Elfy te były braćmi, nazywały się Fjalar i Galar. Gdy usłyszały, że Kwasir odwiedzi pobliskie miasto, ruszyły, by go spotkać. Fjalar i Galar znaleźli Kwasira we dworze – odpowiadał właśnie na pytania mieszczan, zadziwiając wszystkich słuchaczy. Wyjaśnił ludziom, jak oczyszczać wodę i jak zrobić tkaninę z pokrzyw. Jednej kobiecie wskazał dokładnie, kto ukradł jej nóż i dlaczego. Kiedy skończył i mieszczanie nakarmili go, podeszły doń karły.

– Chcemy ci zadać pytanie, którego nigdy wcześniej nie zadano – oznajmiły – ale musimy to uczynić na osobności. Zechcesz pójść z nami?

– Zechcę – rzekł Kwasir.

Ruszyli do fortecy. Mewy krzyczały, posępne szare chmury miały tę samą barwę, co szare fale. Karły zaprowadziły Kwasira do swego warsztatu, ukrytego głęboko za murami fortecy.

– Cóż to takiego? – spytał Kwasir.

– To kadzie. Nazywają się Son i Bodn.

– Rozumiem. A to tam?

– Jak możesz być tak mądry, skoro niczego nie wiesz? To kocioł. Nazywamy go Odrerirem – dawcą rozkoszy.

– Widzę też, że macie tu kubły własnoręcznie zebranego miodu. Jest płynny i dziewiczy.

– W istocie – przyznał Fjalar.

Galar pociągnął wzgardliwie nosem.

– Gdybyś był tak mądry, jak twierdzą, wiedziałbyś, jakie zadamy pytanie, nim jeszcze zdołamy je wymówić. I wiedziałbyś też, po co nam to wszystko.

Kwasir przytaknął z rezygnacją.

– Wydaje mi się – rzekł – że gdybyście byli obaj inteligentni i źli, moglibyście postanowić zabić swego gościa i spuścić mu krew do swych kadzi, zwanych Son i Bodn. A potem podgrzalibyście ją ostrożnie w swoim kotle, Odrerirze. Później zmieszalibyście z tą miksturą dziewiczy miód i pozwolili mu fermentować, póki nie zmieni się w miód pitny – najdoskonalszy z trunków, który upoiłby każdego, kto go skosztuje, ale też obdarzył go darem poezji i wiedzy.

– Jesteśmy inteligentni – przyznał Galar. – I może niektórzy uważają nas za złych.

To rzekłszy, poderżnął Kwasirowi gardło. Bracia zawiesili go za stopy nad kadziami i zaczekali, aż wypłynie z niego ostatnia kropla krwi. Potem podgrzali ją z miodem w kotle zwanym Odrerir i uczynili także inne rzeczy. Wrzucili do kotła jagody i zamieszali kijem. Miód z krwią najpierw bulgotał, potem przestał. Obaj bracia skosztowali go i roześmiali się i każdy odkrył w sobie wersety poezji, których nigdy nie wymówił.

Następnego ranka zjawili się bogowie.

– Kwasir – rzekli. – Ostatnio widziano go u was.

– Tak – przyznały karły – wrócił z nami, ale gdy pojął, że jesteśmy tylko niemądrymi karłami i brak nam rozumu,

zadławił się swą własną wiedzą. Gdybyśmy tylko zdołali zadać mu nasze pytania.

– Mówicie, że umarł?

– Tak – odparli Fjalar i Galar i oddali bogom bezkrwiste ciało Kwasira, by mogli zabrać je do Asgardu na boski pogrzeb i być może (bo bogowie nie przypominają innych i śmierć nie jest dla nich czymś trwałym i niezmiennym) ostatecznie boski powrót.

I tak karły zdobyły miód mądrości i poezji, a każdy, kto pragnął go spróbować, musiał najpierw ich ubłagać. Galar i Fjalar jednak częstowali miodem tylko tych, których lubili, a nie lubili nikogo prócz siebie samych.

Nadal jednak pozostawali ci, wobec których mieli zobowiązania. Na przykład olbrzym Gilling i jego żona: karły zaprosiły ich z wizytą do swej fortecy i pewnego zimowego dnia przybyli.

– Popływajmy łodzią – zaproponowały Gillingowi.

Ciężar olbrzyma sprawił, że łódź zanurzyła się głęboko, a karły poprowadziły ją na skały ukryte tuż pod powierzchnią. Zawsze wcześniej ich łódź unosiła się z wdziękiem nad nimi, lecz nie tym razem. Wpadła na skały i wywróciła się, wyrzucając olbrzyma do morza.

– Podpłyń z powrotem do łodzi! – zawołali bracia do Gillinga.

– Nie umiem pływać – odparł i były to jego ostatnie słowa, bo fala wypełniła mu otwarte usta słoną wodą, głową uderzył o skały i po chwili zniknął braciom z oczu.

Fjalar i Galar ustawili łódź z powrotem i wrócili do domu.

Żona Gillinga czekała na nich.

– Gdzie mój mąż? – spytała.

– On? – odparł Galar. – A, nie żyje.

– Utonął – dodał uczynnie Fjalar.

Słysząc to, żona olbrzyma zaczęła płakać i łkać, jakby każdy szloch wyrywał się prosto z jej duszy. Nawoływała nieżyjącego

męża, przysięgając, że zawsze będzie go kochała, i znów płakała, jęczała i łkała.

– Cicho już – rzucił Galar. – Twoje płacze i zawodzenia ranią mi uszy. Są bardzo głośne, pewnie dlatego, że jesteś olbrzymką.

Na te słowa żona olbrzyma zapłakała jeszcze donośniej.

– No już – dodał Fjalar. – Czy pomogłoby, gdybyśmy pokazali ci miejsce, w którym zginął twój mąż?

Olbrzymka pociągnęła nosem i przytaknęła, wciąż płacząc i zawodząc za mężem, który nigdy już do niej nie wróci.

– Stań o tam, a my ci je wskażemy. – Fjalar pokazał dokładnie, gdzie ma stanąć, że powinna przejść przez wielkie drzwi i zatrzymać się pod murem fortecy. Skinął głową na brata, który pomknął szybko schodami na szczyt umocnień.

Gdy żona Gillinga przeszła przez odrzwia, Galar zrzucił jej na głowę wielki głaz i runęła na ziemię ze zmiażdżoną czaszką.

– Dobra robota – pogratulował Fjalar. – Miałem już powyżej uszu tych strasznych hałasów.

Zepchnęli pozbawione życia ciało ze skał wprost do morza. Palce szarych fal pociągnęły je w głąb i Gilling ponownie połączył się z żoną po śmierci.

Karły wzruszyły ramionami w swej nadmorskiej fortecy i wierzyły, że postąpiły niezwykle przebiegle.

Co wieczór piły miód poezji, deklamując sobie wspaniałe, piękne strofy, tworzyły cudowne sagi o śmierci Gillinga i jego żony, które deklamowały ze szczytu dachu swej fortecy. Aż w końcu co noc padały bez zmysłów i budziły się rankiem w miejscu, w którym siedziały poprzedniego wieczoru.

Pewnego dnia ocknęły się jak zwykle, ale nie w swojej fortecy.

Obudziły się na dnie łodzi, a olbrzym, którego nie rozpoznały, siedział przy wiosłach, wiozący ich po falach. Niebo było ciemne, zasnute sztormowymi burzami, morze czarne. Spienione

grzywacze wznosiły się wysoko, słona woda bryzgała przez burty łodzi karłów, przemaczając braci do suchej nitki.

– Kim jesteś? – spytali olbrzyma.

– Mam na imię Suttung – odparł. – Słyszałem, jak przechwalacie się wiatrowi, falom i światu, że zabiliście mojego ojca i matkę.

– Ach – mruknął Galar – czy to wyjaśnia, czemu nas związałeś?

– W rzeczy samej – odrzekł Suttung.

– Może zabierasz nas we wspaniałe miejsce – wtrącił z nadzieją Fjalar – gdzie nas rozwiążesz i razem zasiądziemy do uczty, będziemy się zaśmiewać i zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi?

– Nie przypuszczam – odparł Suttung.

Był właśnie odpływ, z wody sterczały ostre skały, te same, na których podczas przypływu wywróciła się łódź karłów i na których utonął Gilling. Suttung podniósł kolejno braci z dna łodzi i położył na skałach.

– Podczas odpływu zaleje je woda – przypomniał Fjalar. – Ręce mamy związane za plecami, nie możemy pływać. Jeśli nas tu zostawisz, bez wątpienia utoniemy.

– I właśnie taki mam plan – odparł Suttung, po czym uśmiechnął się po raz pierwszy. – A kiedy będziecie tonąć, ja, siedząc w łodzi, waszej łodzi, będę patrzył, jak morze zabiera was obu. A potem powrócę do domu, do Jotunheimu i opowiem mojemu bratu Baugiemu i córce Gunnlod, jak umarliście, i będziemy mogli radować się świadomością, że matka i ojciec zostali stosownie pomszczeni.

Morze zaczęło przybierać, woda zakryła stopy karłów, a potem sięgnęła im do pępków. Wkrótce ich brody unosiły się wśród piany, a w oczach lśniła panika.

– Litości! – zawołali.

– Takiej jak litość, którą okazaliście mojej matce i ojcu?

– Zapłacimy ci za ich śmierć! Wynagrodzimy ją! Wyrównamy rachunki!

– Wątpię, byście mieli u siebie cokolwiek, co mogłoby mi wynagrodzić śmierć moich rodziców. Jestem bogatym olbrzymem, mam w górskim majątku wiele sług i wszelkie bogactwa, o których mógłbym zamarzyć. Złoto mam i drogie kamienie, a także dość żelaza, by wykuć tysiąc mieczy. Władam też potężną magią, cóż zatem moglibyście mi dać, czego jeszcze nie mam? – spytał Suttung.

Karły milczały. Fale wciąż się wznosiły.

– Mamy miód, miód poezji! – wykrztusił Galar, gdy woda musnęła im usta.

– Zrobiony z krwi Kwasira, najmądrzejszego z bogów! – krzyknął Fjalar. – Dwie kadzie i kocioł pełne miodu! Nie ma go nikt prócz nas, nikt na całym świecie!

Suttung podrapał się po głowie.

– Muszę się zastanowić. Muszę to przemyśleć i wszystko rozważyć.

– Nie trać czasu i nie myśl! Jeśli zaczniesz myśleć, utoniemy! – wrzasnął Fjalar, przekrzykując ryk fal.

Przypływ wciąż trwał, fale zalewały już głowy karłów i bracia z trudem chwytali powietrze, oczy mieli okrągłe ze strachu, gdy olbrzym Suttung wyciągnął rękę i uniósł z toni najpierw Fjalara, a potem Galara.

– Miód poezji to stosowna zapłata. Uczciwa cena, jeśli tylko dorzucicie jeszcze kilka rzeczy, a z pewnością wy, karły, macie ich wiele. Wówczas was oszczędzę.

Wrzucił ich, wciąż związanych i przemoczonych na dno łodzi, gdzie niczym para brodatych homarów wiercili się w niewygodzie, i machając wiosłami, przybił do brzegu.

Suttung zabrał miód zrobiony przez karły z krwi Kwasira. Wziął też od nich inne rzeczy, po czym opuścił ich domostwo, porzucając braci, którzy – wziąwszy pod uwagę okoliczności – mogli się cieszyć, że uszli z życiem.

Fjalar i Galar opowiadali ludziom przechodzącym obok ich fortecy, jak paskudnie wykorzystał ich Suttung. Powtarzali to na targu, gdzie wybrali się na handel, opowiadali, gdy w pobliżu kręciły się kruki.

W Asgardzie Odyn zasiadał na swym tronie, jego kruki Huginn i Muninn szeptały do niego, powtarzając wszystko, co widziały i słyszały, wędrując po świecie. Jedyne oko boga błysnęło, gdy usłyszał historię miodu Suttunga.

Ludzie, którzy poznali tę historię, nazywają miód poezji „statkiem karłów", bo dzięki niemu Fjalar i Galar bezpiecznie opuścili skały i trafili do domu; zwali też go miodem Suttunga, trunkiem z Odreriru, Bodna bądź Sona.

Odyn wysłuchał słów kruków, potem kazał przynieść sobie płaszcz i kapelusz. Posłał po bogów i polecił, by przygotowali trzy olbrzymie drewniane kadzie, największe, jakie zdołają zbudować, i by czekały na niego przy bramach Asgardu. Oznajmił, że opuszcza bogów, by wędrować po świecie, i może go nie być jakiś czas.

– Dwie rzeczy zabiorę ze sobą – rzekł. – Potrzebna mi osełka do ostrzenia noża. Najlepsza, jaką mamy. Chcę też wziąć świder, wiertło zwane Rati.

Rati oznacza „świder", a Rati był najlepszym świdrem, jakim dysponowali bogowie. Potrafił wwiercić się głęboko, i to w najtwardszą skałę.

Odyn cisnął osełkę w powietrze i chwycił ją, chowając do sakwy obok świdra. Potem odszedł.

– Ciekawe, co planuje – rzekł Thor.

– Kwasir by wiedział – odparła Frigg. – Wiedział wszystko.

– Kwasir nie żyje – przypomniał Loki. – Co do mnie, nie obchodzi mnie, dokąd wybiera się Wszechojciec, ani po co.

– Idę pomóc budować drewniane kadzie, których zażądał – oświadczył Thor.

Suttung oddał cenny miód swojej córce, Gunnlod, aby strzegła go wewnątrz góry zwanej Hnitbjorg w sercu krainy olbrzymów. Odyn nie poszedł jednak na ową górę, zamiast tego udał się wprost na pola należące do brata Suttunga, Baugiego.

Nastała wiosna, na polach szumiały wysokie trawy czekające na sianokosy. Baugi miał dziewięciu niewolników, olbrzymów jak on sam, i niewolnicy ci żęli trawę na siano wielkimi kosami, każdą rozmiarów małego drzewka.

Odyn przyglądał im się. Kiedy słońce zawisło wysoko na nieboskłonie, a oni przerwali pracę, by się posilić, podszedł do nich lekkim krokiem.

– Patrzyłem, jak pracujecie – oznajmił. – Wyjaśnijcie mi, czemu pan pozwala wam kosić trawę tak tępymi kosami?

– Nasze kosy nie są tępe – zaprotestował jeden z robotników.

– Czemu tak mówisz? – spytał drugi. – To najostrzejsze kosy, jakie mamy.

– Pozwólcie, że wam pokażę, co potrafi dobrze naostrzona kosa – rzekł Odyn.

Wyjął z sakwy osełkę i przesunął nią najpierw wzdłuż jednego ostrza, a potem drugiego, tak że zalśniły w promieniach słońca. Olbrzymi stali wokół w niezgrabnych pozach, patrząc, jak pracuje.

– A teraz – rzucił – wypróbujcie je.

Potężni niewolnicy zamachnęli się kosami wśród wysokich traw i jęknęli z zachwytu i radości. Klingi były tak ostre, że koszenie trawy nie wymagało żadnego wysiłku, cięły nawet najtwardsze źdźbła bez cienia oporu.

– To cudowne! – rzekli do Odyna. – Czy możemy kupić twoją osełkę?

– Kupić? – odparł Wszechojciec. – Kategorycznie nie. Zróbmy coś sprawiedliwszego i zabawniejszego. Chodźcie tu wszyscy, stańcie w grupie, każdy niech chwyci mocno kosę. Stańcie bliżej.

– Nie możemy stanąć bliżej – wyjaśnił jeden z niewolników – bo kosy są bardzo ostre.

– Mądry jesteś. – Odyn uniósł osełkę. – Oto co wam powiem. Ten z was, który ją złapie, dostanie ją.

To rzekłszy, cisnął osełkę w powietrze.

Dziewięć olbrzymów skoczyło jednocześnie ku opadającej nagrodzie, każdy sięgnął wolną ręką, nie zwracając uwagi na trzymaną kosę (kosę naostrzoną osobiście przez Wszechojca, lśniącą i idealnie ostrą).

Skoczyły i sięgnęły, klingi błysnęły w promieniach słońca.

W powietrzu zamigotała krwawa mgiełka, a potem bryznęła czerwień i trupy niewolników, wstrząsane drgawkami, runęły kolejno na świeżo skoszoną trawę. Odyn przekroczył ciała olbrzymów, podniósł osełkę bogów i schował z powrotem do sakwy.

Każdy z dziewięciu niewolników zginął z gardłem poderżniętym kosą jednego ze współbraci.

Odyn pomaszerował do dworu Baugiego, brata Suttunga, i poprosił o nocleg.

– Zwą mnie Bolwerkrem – oznajmił.

– Bolwerkr – powtórzył Baugi. – Paskudne to imię, oznacza „czyniący straszliwe dzieła”.

– Tylko moim wrogom – wyjaśnił przybysz zwący siebie Bolwerkrem. – Przyjaciele doceniają wszystko, co robię. Potrafię wykonać robotę dziewięciu ludzi, pracuję niestrudzenie i nigdy nie narzekam.

– Dostaniesz na noc dach nad głową – rzekł Baugi z westchnieniem. – Ale przybywasz do mnie w mroczny dzień. Wczoraj byłem bogaczem, miałem wiele pól i dziewięciu niewolników, którzy obsiewali je i zbierali plony, pracowali i budowali. Dziś nadal mam swoje pola i zwierzęta, ale wszyscy słudzy nie żyją, bo pozabijali się nawzajem. Nie wiem dlaczego.

– Zaiste, mroczny to dzień – przyznał Bolwerkr będący w istocie Odynem. – Nie możesz zatrudnić innych robotników?

– Nie w tym roku. – Baugi westchnął. – Już jest wiosna, wszyscy dobrzy robotnicy pracują u mojego brata, Suttunga, a zresztą odwiedzają nas tylko nieliczni goście. Jesteś pierwszym podróżnym, który od wielu lat poprosił mnie o nocleg i gościnę.

– I wielkie szczęście, że to uczyniłem. Potrafię bowiem wykonać pracę dziewięciu ludzi.

– Nie jesteś olbrzymem – przypomniał Baugi – tylko małym, cherlawym kurczakiem. Jak mógłbyś wykonać pracę choćby jednego z moich sług, nie mówiąc o dziewięciu?

– Jeśli nie zdołam zastąpić wszystkich dziewięciu – odparł Bolwerkr – nie będziesz musiał mi płacić. Ale jeśli mi się uda...

– Tak?

– Nawet w najdalszych krainach słyszeliśmy opowieści o niezwykłym miodzie twego brata, Suttunga. Powiadają, że każdy, kto go skosztuje, uzyskuje dar poezji.

– To prawda. Kiedy byliśmy mali, Suttung nigdy nie wykazywał talentu do poezji, w rodzinie to mnie uważano za poetę. Ale odkąd powrócił z miodem karłów, stał się poetą i marzycielem.

– Jeśli zatrudnię się u ciebie, będę dla ciebie siał, sadził, budował i zbierał plony i wykonam pracę za wszystkie martwe sługi, chciałbym skosztować miodu twojego brata Suttunga.

– Ale... – Baugi zmarszczył czoło. – Ale nie ja nim dysponuję. Należy do Suttunga.

– Szkoda – rzekł Bolwerkr. – Zatem życzę ci powodzenia w tegorocznych żniwach.

– Zaczekaj! Faktycznie, nie do mnie należy, ale jeśli zrobisz to, co obiecujesz, pójdę z tobą do mojego brata Suttunga i dołożę wszelkich starań, żeby pomóc ci skosztować miodu.

– W takim razie – oznajmił Bolwerkr – umowa stoi.

Nigdzie na świecie nie znaleźlibyście nikogo, kto by pracował ciężej od Bolwerkra. Harował na polach niczym dwudziestu mężów, nie dziewięciu. W pojedynkę opiekował się zwierzętami. W pojedynkę zbierał plony, uprawiał pola, a ziemia odpłacała mu po tysiąckroć.

– Bolwerkrze – rzekł Baugi, gdy z gór spłynęły pierwsze mgły zimy. – Źle cię nazwano. Czyniłeś tu bowiem wyłącznie dobro.

– Czy wykonałem pracę dziewięciu mężów?

– O tak, i kolejnych dziewięciu.

– W takim razie pomożesz mi skosztować miodu Suttunga?

– Pomogę!

Następnego ranka wstali wcześnie i ruszyli w długą drogę. Szli tak i szli, i szli, aż pod wieczór opuścili ziemie Baugiego i dotarli do pól Suttunga na skraju gór. Zapadła noc, nim ujrzeli przed sobą wielki dwór olbrzyma.

– Witaj, bracie Suttungu! – zawołał Baugi. – To jest Bolwerkr, mój sługa od lata i przyjaciel. – I opowiedział Suttungowi o umowie zawartej z Bolwerkrem. – Widzisz zatem – rzekł – że muszę prosić, byś dał mu skosztować miodu poezji.

Oczy Suttunga były zimne niczym odłamki lodu.

– Nie – uciął stanowczo.

– Nie? – powtórzył Baugi.

– Nie, nie oddam nawet kropli tego miodu. Ani kropelki. Przechowuję go bezpiecznie w kadziach Bodn i Son i w kotle

Odrerir. Kadzie ukryłem głęboko wewnątrz góry Hnitbjorg, która otwiera się wyłącznie na mój rozkaz. Strzeże jej Gunnlod, moja córka. Twój sługa nie może go skosztować, ty także.

– Ale – zaprotestował Baugi – to przecież zapłata krwi za śmierć naszych rodziców. Czy nie zasługuję na odrobinę miodu, by pokazać Bolwerkrowi, że jestem uczciwym i honorowym olbrzymem?

– Nie – uciął Suttung. – Nie zasługujesz.

Wyszli ze dworu.

Baugi był niepocieszony, szedł zgarbiony, unosząc wysoko ramiona, ze zwieszoną szczęką. Co parę kroków przepraszał Bolwerkra.

– Nie sądziłem, że mój brat okaże się tak nierozsądny – powtarzał.

– W istocie jest nierozsądny – przytaknął Bolwerkr będący w istocie Odynem w przebraniu. – Ale ty i ja możemy spłatać mu figla czy dwa, by w przyszłości nie zachowywał się tak władczo i wyniośle. Następnym razem wysłucha swojego brata.

– Owszem, moglibyśmy to zrobić. – Olbrzym Baugi wyprostował ramiona, a kąciki jego warg uniosły się w grymasie niemal przypominającym uśmiech. – Co zatem zrobimy?

– Najpierw – powiedział Bolwerkr – wdrapiemy się na Hnitbjorg, Bijącą Górę.

Razem wspięli się na Hnitbjorg. Olbrzym szedł pierwszy, Bolwerkr, w porównaniu z nim maleńki jak lalka, nigdy nie zostawał w tyle. Wdrapywali się ścieżkami wydeptanymi przez górskie owce i kozy, gramolili po skałach, aż w końcu znaleźli się wysoko. Na lód, który nie stopniał od poprzedniej zimy, spadły właśnie pierwsze śniegi. Baugi i Bolwerkr słyszeli wiatr świszczący wokół góry. Słyszeli krzyki ptaków daleko w dole. I słyszeli też coś jeszcze. To był dźwięk podobny do ludzkiego

głosu, zdawało się, że dobiega z kamieni na szczycie, ale zawsze pozostawał odległy, jakby dochodził ze środka góry.

– Co to za hałas? – spytał Bolwerkr.

Baugi zmarszczył brwi.

– Brzmi jak śpiew mojej bratanicy, Gunnlod.

– W takim razie zatrzymamy się tutaj.

Ze skórzanej sakwy Bolwerkr wyjął świder zwany Ratim.

– Proszę – rzekł – jesteś olbrzymem, wielkim i silnym, może zatem spróbujesz wwiercić się w zbocze góry?

Baugi wziął świder, pchnął nim kamień i zaczął obracać. Czubek świdra wwiercił się w górę niczym korkociąg w miękki korek. Baugi kręcił nim raz po raz, i znowu.

– Gotowe – rzekł w końcu i wyciągnął wiertło.

Bolwerkr pochylił się nad dziurą pozostawioną przez świder i dmuchnął w nią. Ze środka wyleciały odłamki kamienia i skalny pył.

– Właśnie dowiedziałem się dwóch rzeczy – rzekł.

– Jakichże to? – spytał Baugi.

– Że nie przebiliśmy się jeszcze przez górę – odparł Bolwerkr. – Musisz wiercić dalej.

– To tylko jedna rzecz – zauważył Baugi.

Jednakże Bolwerkr nie mówił nic więcej na owym wysokim zboczu, gdzie szarpały ich i smagały mroźne wiatry. Baugi wepchnął z powrotem świder Rati w dziurę i znów zaczął kręcić.

Robiło się ciemno, kiedy wyciągnął go z dziury.

– Przebił się do wnętrza góry – oznajmił.

Bolwerkr nie odpowiedział, dmuchnął jednak delikatnie i przekonał się, że tym razem odłamki skały poleciały do środka.

A kiedy tak dmuchał, uświadomił sobie, że coś mknie ku niemu od tyłu, odmienił zatem postać – przemienił się w węża

i ostry świder wbił się w miejsce, gdzie przed sekundą tkwiła jego głowa.

– Drugą rzeczą, jaką odkryłem, gdy mnie okłamałeś – syknął wąż do Baugiego, który stał zdumiony, unosząc świder niczym broń – było to, że mnie zdradzisz.

To rzekłszy, wąż machnął ogonem i zniknął w dziurze ziejącej w górskim zboczu.

Baugi ponownie uderzył świdrem, ale wąż zdążył już uciec. Odrzucił zatem gniewnie wiertło i usłyszał, jak z brzękiem odbija się od skał w dole. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do dworu Suttunga i nie uprzedzić brata, iż pomógł potężnemu magowi wspiąć się na Hnitbjorg, a nawet dostać do wnętrza góry. Wyobraził sobie reakcję Suttunga na te wieści.

A potem, zgarbiwszy ramiona, ze zwieszoną szczęką Baugi ruszył w dół zbocza i podreptał do domu, do swego własnego dworu i paleniska. Cokolwiek spotka w przyszłości jego brata albo bezcenny miód brata, nie będzie przecież miało nic wspólnego z jego osobą.

Bolwerkr pod postacią węża prześliznął się przez dziurę w zboczu góry i w końcu ujrzał olbrzymią grotę.

Oświetlały ją kryształy rozsiewające wokół zimny blask. Odyn ponownie z węża przemienił się w człowieka, ale nie zwykłego, lecz rosłego, wzrostu olbrzyma i wielce zgrabnego. Następnie ruszył naprzód, kierując się dźwiękami pieśni.

Gunnlod, córka Suttunga, stała w grocie przed zamkniętymi drzwiami, za którymi kryły się kadzie zwane Son i Bodn oraz kocioł Odrerir. W dłoniach dzierżyła ostry miecz i śpiewała sobie, pełniąc straż.

– Bądź pozdrowione, o dzielne dziewczę! – zakrzyknął Odyn.

Gunnlod spojrzała na niego.

– Nie wiem, kim jesteś – odparła. – Przedstaw się, przybyszu, i wyjaśnij, czemu miałabym darować ci życie. Jestem Gunnlod,

strażniczka tego miejsca.

– Ja jestem Bolwerkr – odrzekł Odyn – i wiem, że zasłużyłem na śmierć, odważywszy się przybyć tutaj. Ale wstrzymaj rękę i pozwól mi na siebie spojrzeć.

– Mój ojciec Suttung – rzekła Gunnlod – postawił mnie tu na warcie, bym strzegła miodu poezji.

Bolwerkr wzruszył ramionami.

– A cóż mnie obchodzi miód poezji? Przybyłem tu wyłącznie dlatego, że usłyszałem o urodzie, odwadze i cnocie Gunnlod, córki Suttunga. Powiedziałem sobie: „gdyby tylko pozwoliła ci na siebie spojrzeć, warto będzie. Jeżeli oczywiście jest tak piękna, jak głoszą opowieści". Tak właśnie pomyślałem.

Gunnlod przyglądała się stojącemu przed nią nadobnemu olbrzymowi.

– I co, czy było warto, o Bolwerkrze, który zaraz zginiesz?

– Bardziej niż warto – oznajmił. – Jesteś bowiem piękniejsza niż jakakolwiek opowieść, którą słyszałem, czy pieśń ułożona przez bardów. Piękniejsza niźli górski szczyt, piękniejsza niźli lodowiec, piękniejsza niźli pole świeżego śniegu o brzasku.

Gunnlod spuściła wzrok, jej policzki poczerwieniały.

– Mogę usiąść obok ciebie? – spytał Bolwerkr.

Skinęła głową bez słowa.

Miała wewnątrz góry strawę i napoje, toteż usiedli, zjedli i napili się.

A po posiłku pocałowali się czule w ciemności.

Po tym, jak się kochali, Bolwerkr przemówił ze smutkiem:

– Chciałbym móc skosztować łyk miodu z kadzi zwanej Son. Wówczas mógłbym ułożyć prawdziwą pieśń o twoich oczach i wszyscy mężowie powtarzaliby ją, kiedy pragnęliby opiewać piękno.

– Jeden łyk? – spytała.

– Łyczek tak mały, że nikt by nie zauważył. Ale nie śpieszy mi się, ty jesteś ważniejsza. Pozwól, że ci pokażę, ile dla mnie znaczysz.

I przyciągnął ją do siebie.

Kochali się w ciemności. Kiedy skończyli i leżeli przytuleni razem, nagą skórą dotykając skóry i szepcząc czułe słówka, Bolwerkr westchnął żałośnie.

– Co się stało? – spytała Gunnlod.

– O, jakże chciałbym umieć opiewać twe usta, to, jakie są miękkie, o ile lepsze od ust każdej innej dziewczyny. Myślę, że byłaby to wspaniała pieśń.

– To istotnie niefortunne – zgodziła się Gunnlod – bo usta mam rzeczywiście bardzo nadobne. Często myślę, że to mój największy atut.

– Być może, ale masz tyle doskonałych atutów, że trudno byłoby wybrać najlepszy. Gdybym jednak mógł pociągnąć najmniejszy łyczek z kadzi zwanej Bodn, poezja wniknęłaby mi w duszę i potrafiłbym ułożyć poemat na temat twych ust, który przetrwałby, póki wilk nie pożre słońca.

– Ale tylko najmniejszy łyczek – odparła. – Bo ojciec wpadłby w gniew, gdyby wiedział, że oddaję jego miód każdemu przystojnemu nieznajomemu, który przeniknął do górskiej twierdzy.

Przeszli przez grotę, trzymając się za ręce i od czasu do czasu całując czule.

Gunnlod pokazała Bolwerkrowi drzwi i okna, które mogła otwierać z wnętrza góry i przez które Suttung przesyłał jej na dół strawę i napoje. Bolwerkr jakby nie zwracał na nie najmniejszej uwagi; wyjaśnił, że nie interesuje go nic, co nie jest Gunnlod, jej oczami, wargami, palcami czy włosami. Gunnlod roześmiała się, mówiąc, że to tylko miłe, czcze słowa i niemożliwe przecież, by znów chciał się z nią kochać.

On zaś uciszył jej usta swymi i ponownie się kochali.

Kiedy do końca zaspokoili swe żądze, Bolwerkr rozpłakał się w ciemności.

– Co się stało, ukochany? – spytała Gunnlod.

– Zabij mnie – wyszlochał Bolwerkr. – Zabij mnie teraz! Nigdy bowiem nie zdołam ułożyć wiersza o doskonałości twoich włosów i skóry, o dźwięku twego głosu, dotyku palców. Nie da się opisać piękna Gunnlod.

– Cóż – ona na to – przypuszczam, że istotnie niełatwo ułożyć podobny wiersz. Ale wątpię, by to było niemożliwe.

– Może...

– Tak?

– Może najmniejszy łyczek z kadzi Odrerir dałby mi dość talentu lirycznego, bym zdołał opisać twoją urodę dla pokoleń, które dopiero nadejdą – zaproponował i przestał szlochać.

– Może faktycznie, ale musiałby to być najmniejszy z najmniejszych łyczków...

– Pokaż mi kocioł, a ja ci pokażę, jak mały łyk umiem wypić.

Gunnlod otworzyła kluczem drzwi i po chwili stanęli z Bolwerkrem przed kotłem i dwiema kadziami. W powietrzu wisiał ciężki zapach miodu poezji.

– Tylko malutki łyczek – upomniała – na trzy wiersze, które odbiją się echem i powtarzane będą przez stulecia.

– Oczywiście, najdroższa. – Bolwerkr uśmiechnął się szeroko w ciemności. Gdyby Gunnlod patrzyła na niego, zrozumiałaby, że coś jest nie tak.

Pierwszym łykiem opróżnił co do kropli kocioł Odrerir.

Drugim wysączył kadź zwaną Bodn.

Trzecim wysuszył kadź zwaną Son.

Gunnlod nie była głupia – pojęła, że została zdradzona, i zaatakowała go. Była silna i szybka, ale Odyn nie stawił jej

czoła, zamiast tego wybiegł stamtąd, zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął ją w środku.

W mgnieniu oka zamienił się w wielkiego orła, zaskwirczał, bijąc skrzydłami, i drzwi góry otwarły się, pozwalając mu wzbić się w niebo.

Krzyki Gunnlod rozdarły poranną ciszę.

W swym dworze Suttung przebudził się i wybiegł na dwór. Uniósł głowę i ujrzawszy orła, natychmiast pojął, co musiało się stać. On też odmienił swą postać i stał się orłem.

Dwa ptaki szybowały tak wysoko, że z ziemi wydawały się jedynie malutkimi punkcikami na niebie. Mknęły tak szybko, iż ich lot brzmiał niczym ryk huraganu.

W Asgardzie Thor uniósł głowę.

– Już czas – powiedział.

Wywlókł na dziedziniec trzy wielkie drewniane kadzie.

Bogowie Asgardu patrzyli, jak orły z rykiem mkną ku nim przez niebo. Pościg wydawał się bardzo wyrównany – Suttung mknął szybko tuż za Odynem, niemal muskając dziobem pióra Odynowego ogona – gdy dotarli do Asgardu.

Kiedy Odyn zbliżył się do dworu, zaczął pluć. Z jego dzioba wytrysnęły ku kadziom trzy fontanny miodu. Był niczym ptasi ojciec przynoszący strawę pisklętom.

Od tego czasu wiemy, że ludzie, którzy z pomocą słów tworzą magię, który układają wiersze i sagi, snują wątki opowieści, skosztowali miodu poezji. Kiedy słyszymy świetnego poetę, mówimy, że zakosztował daru Odyna.

Proszę, oto historia miodu poezji i tego, jak trafił na ten świat. To historia pełna oszustw i czynów niegodnych, morderstw i podstępów. Ale nie usłyszeliście jeszcze całej, pozostaje jeszcze coś do powiedzenia. Co wrażliwsi z was winni teraz zatkać uszy albo nie czytać dalej.

Zostało bowiem jeszcze jedno, to sprawa wielce wstydliwa. Kiedy Wszechojciec pod postacią orła dotarł już niemal do kadzi, a Suttung mknął tuż za nim, Odyn wyrzucił część miodu swym tylnym otworem, w mokrym, donośnym, cuchnącym pierdnięciu, prosto w twarz Suttunga. Śmierdzący miód oślepił olbrzyma, tak że zgubił Odyna.

Nikt, ani wówczas, ani teraz, nie chciał pić miodu, który wyleciał z Odynowego zadka. Ale odtąd, gdy usłyszycie złych poetów deklamujących swoje kiepskie wiersze, pełne niemądrych porównań i paskudnych rymów, będziecie wiedzieć, jakiego miodu skosztowali.

Wyprawa Thora do krainy olbrzymów

I

Thialfi i jego siostra Roskwa mieszkali z ojcem Egilem i matką w gospodarstwie na skraju dziczy. Za ich polami można było spotkać potwory, olbrzymów i wilki, a Thialfi po wielokroć pakował się w kłopoty i musiał przed nimi uciekać. Umiał biec szybciej niż ktokolwiek i cokolwiek na świecie. Życie na skraju dzikich krain oznaczało, że Thialfi i Roskwa przywykli do cudów i niezwykłych wydarzeń tego świata.

Nic jednak nie mogło się równać z dniem, kiedy w gospodarstwie zjawiło się dwóch gości z Asgardu. Loki i Thor przybyli do nich wozem zaprzężonym w dwa rosłe kozły, które Thor nazywał Trzaskaczem i Zgrzytaczem. Bogowie oczekiwali noclegu i wieczerzy, a byli wielcy i potężni.

– Brak nam strawy dla takich gości – rzekła przepraszająco Roskwa. – Mamy tylko warzywa, ale zima była ciężka i nie zostały nam nawet żadne kury.

Thor sapnął w odpowiedzi, potem dobył noża i zabił oba swoje kozły. Oskórował je szybko i włożył do wielkiego kotła wiszącego nad ogniem, a tymczasem Roskwa i jej matka pokroiły zimowe zapasy warzyw i wrzuciły do wody.

Loki wezwał na bok Thialfiego. Chłopaka onieśmielało spojrzenie zielonych oczu, widok pokrytych bliznami warg Lokiego, jego uśmiech.

– Wiesz – rzekł Loki – szpik z kości tych kozłów to najwspanialszy przysmak dla młodzieńca. Wielka szkoda, że Thor zawsze zatrzymuje go dla siebie. Gdybyś chciał urosnąć tak silny jak on, powinieneś spróbować ich szpiku.

Gdy posiłek był już gotowy, Thor wziął dla siebie całego jednego kozła, pozostawiając mięso drugiego dla pozostałej piątki.

Skóry kozłów rzucił na ziemię i jedząc, ciskał na jedną z nich kości.

– Ułóżcie swoje kości na drugiej skórze – polecił. – Nie łamcie i nie rozgryzajcie żadnej z nich, zjedzcie tylko mięso.

Sądzicie, że umiecie jeść szybko? Trzeba było widzieć, jak Loki pochłaniał swój posiłek. W jednej chwili jedzenie stało przed nim, w drugiej zniknęło bez śladu, a on ocierał wargi grzbietem dłoni.

Reszta posilała się znacznie wolniej. Thialfi jednak nie mógł zapomnieć słów Lokiego i kiedy Thor wstał od stołu, odpowiadając na zew natury, Thialfi wziął nóż i rozszczepił jedną kozią piszczel, zgarniając nieco szpiku. Złamaną kość złożył z powrotem na skórze i przykrył innymi, nieuszkodzonymi, tak by nikt się nie zorientował.

Tej nocy wszyscy spali razem w największej izbie.

Rankiem Thor przykrył kości skórami, potem chwycił swój młot Mjollnir i uniósł wysoko.

– Trzaskaczu, bądź cały – rzekł.

Błysnęło i kozioł przeciągnął się, zameczał, a potem zaczął skubać trawę. Thor rzekł:

– Zgrzytaczu, bądź cały.

I Zgrzytacz uczynił to samo. Wówczas jednak zachwiał się i kuśtykając niezgrabnie, podszedł do Trzaskacza. Beczał piskliwie, jakby cierpiał.

– Zgrzytacz ma złamaną tylną nogę – zauważył Thor. – Przynieście mi drewno i tkaninę!

Szybko sporządził łubki i mocno zabandażował. Kiedy skończył, spojrzał na rodzinę i Thialfi pomyślał, że nigdy w życiu nie widział niczego tak strasznego jak płonące, czerwone oczy Thora. Jego palce dzierżyły mocno trzonek młota.

– Ktoś z tu obecnych złamał tę kość – oznajmił głosem niczym grom. – Dałem wam strawę, w zamian prosząc tylko o jedno, a jednak mnie zdradziliście.

– Ja to zrobiłem – oznajmił Thialfi. – Ja złamałem kość.

Loki starał się zachować poważną minę, ale mimo wszystko uśmiechał się kącikami ust. I nie był to uśmiech dodający otuchy.

Thor zważył w dłoni młot.

– Powinienem zniszczyć całe to sioło – wymamrotał i Egil spojrzał na niego ze zgrozą, a jego żona wybuchnęła płaczem. – Podajcie choć jeden powód, dla którego miałbym nie zamienić waszego domu w gruzy?

Egil milczał. Thialfi wstał z miejsca.

– To nie ma nic wspólnego z moim ojcem – rzekł. – Nie wiedział, co zrobiłem. Ukarz mnie, nie jego. Spójrz na mnie: umiem bardzo szybko biegać. Potrafię się też uczyć. Zostaw w spokoju moich rodziców, a zostanę twoim sługą.

Jego siostra Roskwa też wstała.

– Nie odejdzie beze mnie – oświadczyła. – Jeśli weźmiesz jego, weź nas oboje.

Thor zastanowił się.

– Doskonale – rzekł w końcu. – Na razie, Roskwo, zostaniesz tutaj i zajmiesz się Trzaskaczem i Zgrzytaczem, podczas gdy noga tego drugiego będzie się zrastać. Kiedy wrócę, zabiorę

waszą trójkę. – Odwrócił się do Thialfiego. – A ty możesz pójść ze mną i z Lokim. Wybieramy się do Utgardu.

II

Poza gospodarstwem rozciągała się głusza. Thor, Loki i Thialfi wędrowali na wschód, w stronę Jotunheimu, ojczyzny olbrzymów, i morza.

Im dalej wędrowali na wschód, tym zimniej się robiło. Wiał mroźny wiatr pozbawiający ich wszelkiego ciepła. Tuż przed zachodem słońca, gdy wciąż pozostało dość światła, by mogli widzieć, zaczęli rozglądać się za kryjówką na noc. Thor i Thialfi nie znaleźli niczego, Loki natomiast nie wracał najdłużej. Kiedy wreszcie się zjawił, minę miał zdumioną.

– Z tamtej strony stoi bardzo osobliwy dom – rzekł.

– Jak osobliwy? – spytał Thor.

– Ma tylko jedną wielką izbę, żadnych okien i olbrzymie wejście pozbawione drzwi. Przypomina wielką jaskinię.

Zimny wiatr odbierał czucie w palcach i palił policzki.

– Lepiej go sprawdźmy – zaproponował Thor.

Główna izba ciągnęła się bardzo daleko.

– Być może w głębi kryją się bestie bądź potwory – zauważył Thor. – Lepiej ułóżmy się przy wejściu.

Tak właśnie uczynili. Miejsce to wyglądało tak, jak opisał Loki – wielki budynek, jedna obszerna sala i długie pomieszczenie z boku. Rozpalili ogień w wejściu i przespali tam godzinę czy dwie, potem jednak obudził ich hałas.

– Co to takiego? – spytał Thialfi.

– Trzęsienie ziemi? – podsunął Thor.

Grunt pod nogami dygotał. Coś ryknęło. To mógł być wulkan albo lawina wielkich skał, albo może setka wściekłych bestii.

– Nie sądzę – mruknął Loki. – Przenieśmy się do bocznego pomieszczenia. Na wszelki wypadek.

Loki i Thialfi zasnęli w bocznej izbie, a wstrząsające budynkiem ryki i łoskoty trwały aż do świtu. Thor całą noc pełnił straż w drzwiach domu, trzymając w dłoni młot. Z każdą chwilą wpadał w coraz większy gniew: pragnął już tylko odszukać i zaatakować cokolwiek, co tak bardzo hałasowało i trzęsło ziemią. Gdy tylko niebo zaczęło jaśnieć, nie budząc towarzyszy, pomaszerował do lasu na poszukiwanie źródła dźwięków.

Kiedy się zbliżył, pojął, że dźwięki różnią się od siebie i następują w określonej kolejności. Najpierw grzmiący ryk, potem pomruk, a potem łagodniejszy świst, tak przeszywający, że Thora bolała głowa i zęby za każdym razem, gdy go słyszał.

Dotarł na szczyt wzgórza i spojrzał na rozciągający się w dole świat.

W dolinie pod nim leżał największy osobnik, jakiego kiedykolwiek Thor oglądał. Włosy i brodę miał czarniejsze od węgla, skórę białą jak śnieżne pole. Oczy olbrzyma skrywały powieki, chrapał miarowo i to właśnie były owe grzmoty i gwizdy, których słuchał Thor. Za każdym razem, gdy olbrzym chrapnął, trzęsła się ziemia – to właśnie te wstrząsy Thor czuł całą noc. Olbrzym był tak wielki, że w porównaniu z nim Thor przypominał żuka bądź mrówkę.

Thor sięgnął do swego pasa siły, Megingjorda, i zapiął go ciaśniej, podwajając własne siły, by mieć pewność, że wystarczy mu ich do walki z największym z olbrzymów.

I kiedy tak patrzył, olbrzym otworzył oczy barwy przeszywającego, lodowatego błękitu. W gruncie rzeczy nie wydawał się aż taki groźny.

– Witaj! – zawołał Thor.

– Dzień dobry! – odkrzyknął czarnowłosy olbrzym głosem niczym lawina. – Nazywają mnie Skrymir. Oznacza to „wielkolud”: co za złośliwcy z moich krewniaków, nazwać takiego mikrego cherlaka wielkoludem. Ale gdzie się podziała moja rękawica? Zeszłej nocy miałem dwie, lecz jedną upuściłem. – Uniósł ręce. Prawą dłoń okrywała wielka, skórzana rękawica z jednym palcem, lewa była goła. – O, tam jest.

Sięgnął na drugą stronę wzgórza, na którym stał Thor, i podniósł przedmiot niewątpliwie będący rękawicą.

– Dziwne, coś jest w środku – rzekł i potrząsnął nią.

W tym momencie Thor rozpoznał ich kryjówkę z zeszłej nocy, bo z wylotu jaskini wypadli Thialfi i Loki, lądując w śniegu w dole.

Skrymir włożył lewą rękawicę i z zadowoleniem przyjrzał się swoim dłoniom.

– Możemy podróżować razem – zagrzmiał – jeśli chcecie.

Thor spojrzał na Lokiego, a Loki na Thora. Obaj popatrzyli na młodego Thialfiego, który wzruszył ramionami.

– Dotrzymam wam kroku – rzekł pewien swojej szybkości.

– Zgoda! – zawołał Thor.

Śniadanie zjedli z olbrzymem: wyciągnął z worka z zapasami całe krowy i owce, po czym zmiażdżył je zębami; trzech towarzyszy posilało się oszczędniej. Po śniadaniu Skrymir powiedział:

– Dajcie, poniosę wasze zapasy w swoim worku. Będziecie mieli mniej do dźwigania, a kiedy wieczorem rozbijemy obóz, znów się razem posilimy.

Schował ich prowiant do worka, zaciągnął rzemienie i pomaszerował na wschód.

Thor i Loki pędem ruszyli za olbrzymem nieznającym zmęczenia. Thialfi biegał szybciej niźli jakikolwiek człowiek,

lecz nawet jemu trudno było nie zostać zbyt daleko w tyle. Mijały godziny i czasami zdawało się, że olbrzym to tylko góra na horyzoncie, z głową skrytą wśród chmur.

Dogonili Skrymira, kiedy zapadł wieczór. Znalazł już dla nich obóz pod wielkim starym dębem i usadowił się wygodnie obok, wspierając głowę na olbrzymim głazie.

– Nie jestem głodny – oznajmił. – Nie przejmujcie się mną, chyba już się zdrzemnę. Wasze zapasy są w moim worku pod drzewem. Dobranoc.

Zaczął chrapać, a gdy drzewami wstrząsnęły znajome grzmoty, pomruki i świsty, Thialfi wspiął się na worek olbrzyma. Po chwili wezwał Thora i Lokiego.

– Nie mogę rozwiązać rzemieni. Są dla mnie za mocno splątane, zupełnie jakby wykuto je z żelaza.

– Ja umiem zginać żelazo – odparł Thor i wskoczywszy na worek, zaczął szarpać rzemienie.

– I co? – spytał Loki.

Thor sapał i ciągnął, sapał i ciągnął, w końcu wzruszył ramionami.

– Raczej nie zjemy dziś kolacji – rzekł. – Chyba że ten przeklęty olbrzym sam rozwiąże worek.

Spojrzał na niego, potem na Mjollnira, swój młot. Szybko zjechał z worka i wdrapał się na czubek głowy śpiącego Skrymira. Uniósł młot i rąbnął nim olbrzyma w czoło.

Skrymir otworzył sennie jedno oko.

– Zdaje mi się, że spadł mi na głowę liść i mnie obudził – rzekł. – Skończyliście już jeść? Jesteście gotowi do łóżek? Wcale by mnie to nie zdziwiło, to był długi dzień. – Przekręcił się na bok, zamknął oczy i znów zaczął chrapać.

Mimo hałasu Loki i Thialfi zdołali zasnąć, ale Thor nie mógł spać, dręczyły go gniew i głód. Poza tym nie ufał olbrzymowi, zwłaszcza tu, na wschodnich rubieżach. O północy wciąż

doskwierał mu głód, poza tym miał już powyżej uszu chrapania. Znów wgramolił się na głowę olbrzyma i ustawił się między jego brwiami.

Thor splunął w dłonie, poprawił pas mocy. Uniósł nad głowę Mjollnira i zamachnął się z całych sił. Był pewien, że młot wbije się w czoło Skrymira.

Było za ciemno, by dostrzec kolor oczu olbrzyma, ale przynajmniej się otworzyły.

– Ojej – powiedział Skrymir. – Thorze? Jesteś tam? Chyba żołądź spadł z drzewa i uderzył mnie w głowę. Która to godzina?

– Północ – odparł Thor.

– Cóż, zatem do zobaczenia rano.

Ziemią znów zatrzęsło ogłuszające chrapanie, czubki drzew zadygotały.

Świtało już, choć dzień wciąż nie nastał, gdy Thor, jeszcze głodniejszy, bardziej rozgniewany i wciąż nie mogąc zasnąć, postanowił zadać ostatni cios, który na zawsze uciszy chrapanie. Tym razem wycelował w skroń olbrzyma i uderzył Skrimira z całych swych sił – nigdy wcześniej nie zadał podobnego ciosu, jego echo odbiło się od szczytów gór.

– Wiesz – mruknął Skrymir – chyba spadł mi na głowę kawałek ptasiego gniazda. Gałązki. Sam nie wiem. – Ziewnął i przeciągnął się, potem wstał z ziemi. – Cóż, skończyłem już ze spaniem, czas ruszać w drogę. Czy wy trzej zmierzacie do Utgardu? Dobrze się tam wami zaopiekują, gwarantuję, że czeka was wspaniała uczta, rogi pełne piwa, a potem zapasy, wyścigi i próby sił. W Utgardzie lubią się tak zabawić. Znajdziecie go na wschodzie: zmierzajcie prosto w stronę, z której jaśnieje niebo. Co do mnie, ruszam na północ – obdarzył ich szczerbatym uśmiechem, który mógł wydawać się

niemądry i pusty, gdyby nie jego oczy, bardzo głębokie i bardzo przenikliwe.

Następnie pochylił się i przyłożył dłonie do ust, jakby nie chciał, by go podsłuchano, który to efekt osłabił nieco jego szept, dość gromki, by ogłuszyć słuchacza.

– Niechcący podsłuchałem waszą rozmowę, gdy mówiliście, jaki jestem wielki. Pewnie sądziliście, że to dla mnie komplement. Ale gdybyście dotarli kiedyś na północ, spotkalibyście prawdziwych olbrzymów, tych naprawdę wielkich. Wówczas przekonalibyście się, jaki ze mnie kurczak.

Skrymir uśmiechnął się ponownie i odszedł na północ, tupiąc głośno, a ziemia dygotała mu pod stopami.

III

Przez wiele dni podróżowali na wschód w stronę Jotunheimu, wciąż kierując się wschodzącym słońcem.

Z początku sądzili, że cel ich podróży to zwykła forteca, leżąca dość blisko, pośpieszyli zatem ku niej, ale forteca nie rosła, nie zmieniała się ani nie zdawała ani trochę bliższa. W miarę upływających dni pojęli, jaka jest wielka i odległa.

– Czy to Utgard? – spytał Thialfi.

Loki wydawał się niemal poważny.

– Owszem – odparł. – Stąd właśnie pochodzi moja rodzina.

– Byłeś tam już kiedyś?

– Nie.

Podeszli do bramy fortecy. Nie dostrzegli nikogo, ze środka dobiegały jednak odgłosy zabawy. Brama wznosiła się wyżej niż jakakolwiek katedra, pokrywała ją metalowa krata o prętach tak grubych, że mogły powstrzymać wszelkich nieproszonych olbrzymów.

Thor krzyknął, ale nikt nie odpowiedział na jego wezwanie.

– Wejdziemy do środka? – spytał Lokiego i Thialfiego.

Pochylili się i prześliznęli pod prętami bramy. Szybko przeszli przez dziedziniec do dworu. Stały tam ławy wysokie jak najwyższe drzewa, a na nich siedzieli olbrzymi. Thor wmaszerował do środka. Thialfi, choć przerażony, stąpał u jego boku, Loki szedł tuż za nimi.

Teraz widzieli króla olbrzymów zasiadającego na najwyższym tronie na końcu sali. Podeszli do niego i skłonili się nisko.

Król miał pociągłą bystrą twarz i włosy rude jak ogień, jego oczy jaśniały lodowatym błękitem. Przyjrzał się podróżnym i uniósł brew.

– Wielkie nieba – rzekł – to inwazja malutkich dzieci. Nie, mój błąd, ty musisz być słynnym Thorem z Asów, co oznacza, że ty to pewnie Loki, syn Laufey. Znałem trochę twoją matkę. Witaj, maleńki krewniaku, jestem Utgardaloki, Loki z Utgardu. A ty to kto?

– Thialfi – wyjaśnił Thialfi. – Sługa Thora.

– Witajcie wszyscy w Utgardzie! – huknął Utgardaloki. – To najwspanialsze miejsce na świecie dla wyjątkowych osób. Przyjmujemy serdecznie każdego, kto swą zręcznością lub sprytem przewyższa innych na tym świecie. Czy któryś z was potrafi robić coś wyjątkowego? Może ty, maleńki krewniaku? Umiesz coś, co cię wyróżnia?

– Potrafię jeść szybciej niż ktokolwiek – oznajmił Loki i nie były to przechwałki.

– Ciekawe. Mam tu sługę, nazywa się, co zabawne, Logi. Chciałbyś stanąć z nim w szranki w konkursie jedzenia?

Loki wzruszył ramionami, jakby nie miało to dla niego znaczenia. Utgardaloki klasnął w dłonie i do sali wniesiono długi drewniany stół pełen najróżniejszych pieczonych

zwierząt: gęsi, wołów i owiec, kóz, królików i jeleni. Gdy ponownie klasnął, Loki zaczął jeść, zaczynając od dalszego końca stołu i zmierzając do środka.

Jadł z zapałem, w skupieniu, jadł jakby miał w życiu tylko jeden cel: pochłonąć wszystko najszybciej, jak potrafi. Jego dłonie i usta zamieniły się w rozmyte plamy.

Loki i Logi spotkali się pośrodku stołu.

Utgardaloki spojrzał ze swego tronu.

– Cóż – rzekł – obaj jedliście równie szybko. Brawo! Ale Logi pożarł też kości zwierząt i najwyraźniej drewniany stół, na którym je podano. Loki zjadł tylko mięso, ledwie tknął kości i nie próbował nawet nadgryźć stołu. Tę rundę wygrywa zatem Logi.

Władca olbrzymów spojrzał na Thialfiego.

– Ty – rzekł. – Chłopcze, co potrafisz?

Thialfi wzruszył ramionami. Był najszybszym znanym sobie człowiekiem, biegał szybciej niż spłoszone króliki, szybciej niż ptaki w locie.

– Umiem biegać – oznajmił.

– W takim razie – zadecydował Utgardaloki – pobiegniesz.

Wyszli na dwór i tam na płaskim kawałku ziemi ujrzeli ścieżkę idealną do wyścigów. Przy ścieżce stała grupa olbrzymów zacierających dłonie i chuchających w nie, by się rozgrzać.

– Jesteś ledwie chłopcem, Thialfi – powiedział Utgardaloki. – Nie każę ci zatem ścigać się z dorosłym mężem. Gdzie nasz mały Hugi?

Z grupy wystąpiło dziecko olbrzymów tak drobne, że niemal go tam nie było, niewiele wyższe od Lokiego i Thora. Chłopczyk spojrzał na Utgardalokiego i uśmiechnął się. Thialfi nie był pewien, czy widział go wcześniej, zanim go wezwano, ale teraz stał przed nimi.

Hugi i Thialfi zajęli miejsca obok siebie na starcie. Czekali.

– Już! – huknął Utgardaloki głosem niczym grom, a oni puścili się biegiem.

Thialfi pędził jak nigdy wcześniej, widział jednak, jak Hugi wyprzedza go i dociera do mety, gdy on pokonał zaledwie połowę drogi.

– Zwyciężył Hugi! – zawołał Utgardaloki, a potem przykucnął obok Thialfiego. – Jeśli chcesz pokonać Hugiego – dodał – będziesz musiał pobiec znacznie szybciej. Mimo wszystko nie widziałem, by jakiekolwiek ludzkie dziecko pędziło tak chyżo. Biegnij szybciej, Thialfi.

Thialfi ponownie stanął obok Hugiego na starcie. Dyszał ciężko, serce waliło mu w piersi. Wiedział, jak szybko pobiegł, a jednak Hugi pomknął szybciej. W dodatku teraz wydawał się zupełnie odprężony, oddychał spokojnie. Syn olbrzymów spojrzał na Thialfiego i znów się uśmiechnął. Coś w Hugim przypominało Thialfiemu Utgardalokiego; zastanawiał się, czy to może jego syn.

– Już!

Pobiegli. Thialfi mknął jak nigdy wcześniej, pędząc tak szybko, że cały świat składał się jedynie z niego samego i Hugiego. Jednak Hugi przez całą drogę znów go wyprzedzał i dotarł do mety, gdy Thialfiego dzieliło od niej pięć, może nawet dziesięć sekund.

Thialfi wiedział, że tym razem był bliski zwycięstwa, że musi po prostu dać z siebie absolutnie wszystko.

– Daj nam pobiec jeszcze raz – wydyszał.

– Doskonale – zgodził się Utgardaloki. – Możesz znów pobiec. Jesteś szybki, młodzieńcze, ale nie wierzę, byś zdołał wygrać. Mimo to pozwolimy, by to ostatni wyścig rozstrzygnął zawody.

Hugi podszedł do linii startowej, Thialfi stanął obok niego. Nie słyszał nawet oddechu przeciwnika.

– Powodzenia! – rzucił.

– Tym razem – odparł Hugi głosem, który jakby dźwięczał wewnątrz głowy Thialfiego – zobaczysz, jak biegnę.

– Już! – huknął Utgardaloki.

Thialfi pobiegł, jak nie biegł nigdy żaden człowiek, biegł jak sokół wędrowny w locie, jak podmuch sztormowego wiatru, jak Thialfi, a nikt nigdy poza nim nie biegał jak Thialfi – ani wcześniej, ani później.

Ale Hugi z łatwością go wyprzedził, pędząc szybciej niż kiedykolwiek.

Nim Thialfi pokonał choć pół drogi, Hugi dotarł do końca ścieżki i zawrócił.

– Wystarczy! – zawołał Utgardaloki.

Wrócili do dworu. Wśród olbrzymów zapanował bardziej jowialny, mniej nerwowy nastrój.

– No cóż – powiedział władca. – Klęskę pierwszej dwójki być może da się zrozumieć, teraz jednak z pewnością zobaczymy coś, co nam zaimponuje. Nadeszła bowiem kolej Thora, boga gromu, najpotężniejszego z herosów. Thora, którego czyny opiewają na całym świecie. Bogowie i śmiertelni powtarzają historie o twych wyczynach. Zechcesz nam zademonstrować, co potrafisz?

Thor spojrzał na niego.

– Po pierwsze, umiem pić – oznajmił. – Nie ma trunku, którego nie zdołałbym wychylić.

Utgardaloki zastanawiał się chwilę.

– Oczywiście – rzekł w końcu. – Gdzie mój podczaszy?

Podczaszy wystąpił naprzód.

– Przynieś mój najlepszy róg do picia.

Tamten skinął głową i odszedł, po chwili powracając z długim rogiem. I choć Thor natychmiast dostrzegł, że jest on dłuższy od wszystkich, jakie dotąd zdarzyło mu się oglądać, nie

zaniepokoiło go to. Ostatecznie był Thorem i nie istniał żaden róg, którego nie zdołałby opróżnić. Na ściankach rogu wyryto runy i wzory, ustnik okuto srebrem.

– To nasz zamkowy róg – oznajmił Utgardaloki. – Wszyscy tu obecni w swoim czasie go opróżnili, najsilniejsi i najpotężniejsi z nas jednym haustem. Niektórzy, przyznaję, potrzebowali dwóch podejść, z dumą jednak stwierdzam, że nie znalazł się tu nikt tak słaby i żałosny, by potrzebował aż trzech łyków.

Róg był długi, ale Thor, jak to Thor, uniósł pełne naczynie do ust i zaczął pić. Miód olbrzymów okazał się zimny i słony, Thor jednak pił dalej, opróżniając róg. Pił, póki nie zabrakło mu tchu i nie mógł przełknąć ni łyku więcej.

Spodziewał się, że ujrzy pusty róg, ten jednak okazał się równie pełny jak wówczas, gdy Thor zaczynał pić, albo prawie.

– Mówiono mi, że potrafisz lepiej pić – rzucił sucho Utgardaloki. – Wiem jednak, że poradzisz sobie drugim łykiem, tak jak my wszyscy.

Thor nabrał głęboko tchu, przyłożył usta do rogu i zaczął pić wielkimi haustami. Wiedział, że tym razem musi opróżnić róg, a jednak kiedy oderwał od niego wargi, poziom miodu w środku opadł zaledwie o długość kciuka.

Olbrzymi spojrzeli na Thora i zaczęli szydzić, on jednak zmiażdżył ich spojrzeniem i umilkli.

– Ach – mruknął Utgardaloki. – Zatem historie o potężnym Thorze to tylko bajeczki. Mimo wszystko jednak pozwolimy ci opróżnić róg trzecim haustem. W końcu niewiele już w nim zostało.

Thor uniósł róg do ust i zaczął pić. Pił, jak potrafią to tylko bogowie, tak długo i tak zachłannie, że Loki i Thialfi patrzyli na niego ze zdumieniem.

Kiedy jednak opuścił róg, miód opadł zaledwie o kolejną piędź.

– Skończyłem z tym – rzucił. – I jakoś nie wierzę, że to tylko odrobina miodu.

Utgardaloki polecił podczaszemu wynieść róg.

– Czas na próbę sił. Potrafisz unieść kota? – spytał Thora.

– Co to niby za pytanie? Oczywiście, że umiem unieść kota.

– Cóż – odparł Utgardaloki – wszyscy widzieliśmy, że nie jesteś tak silny, jak przypuszczaliśmy. Tu, w Utgardzie, młodzicy ćwiczą swe siły, podnosząc domowego kota. Ostrzegam cię, jesteś mniejszy od nas wszystkich, a moja kotka to kotka olbrzyma, więc zrozumiem, jeśli nie zdołasz jej dźwignąć.

– Podniosę twoją kotkę! – warknął Thor.

– Pewnie śpi przy ogniu – powiedział Utgardaloki. – Chodźmy do niej.

Kotka spała, lecz kiedy weszli, wstała i skoczyła na środek komnaty. Była szara, wielkością dorównywała rosłemu mężowi, lecz Thor przewyższał siłą wszystkich mężów, chwycił ją zatem pod brzuch i dźwignął oburącz, zamierzając unieść wysoko nad głowę. Na kotce najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia: wygięła grzbiet w łuk, zmuszając Thora, by wspiął się na palce.

Nie zamierzał dać się pokonać w zwykłej zabawie w podnoszenie kota. Pchał zatem i wysilał się, aż w końcu oderwał od ziemi jedną z kocich łap.

Thor, Thialfi i Loki usłyszeli dobiegający z daleka hałas, jakby wielkich skał trących o siebie, grzmot pośród górskich szczytów.

– Dosyć – rzucił Utgardaloki. – To nie twoja wina, że nie możesz podnieść mojej kotki, Thorze. Zwierzę jest duże, a z ciebie taki mały cherlak w porównaniu z naszymi olbrzymami. – Uśmiechnął się szeroko.

– Mały cherlak? – powtórzył Thor. – Stanę do zapasów z każdym z was.

– Po tym, co dotąd widzieliśmy – przerwał mu Utgardaloki – okazałbym się doprawdy okropnym gospodarzem, gdybym

pozwolił ci walczyć z prawdziwym olbrzymem. Mógłbyś zostać ranny. Lękam się też, że żaden z moich ludzi nie zgodziłby się stanąć do pojedynku z kimś, kto nie zdołał opróżnić mego rogu, kto nie podniósł nawet domowej kotki. Ale powiem ci, co zrobimy. Jeśli pragniesz zapasów, pozwolę ci się zmierzyć z moją stara mamką.

– Twoją mamką? – powtórzył z niedowierzaniem Thor.

– Owszem, jest stara, ale sama dawno temu nauczyła mnie siłować się i wątpię, by zapomniała. Zmalała ze starości, więc będzie bliższa twojemu wzrostowi. Przywykła do zabaw z dziećmi. – Widząc wyraz twarzy Thora, dodał pośpiesznie: – Na imię ma Elli i widziałem nieraz, jak pokonuje mężów z pozoru silniejszych od ciebie. Nie bądź zbyt pewny siebie, Thorze.

– Wolałbym zmierzyć się z twoimi mężczyznami – odparł Thor. – Ale stanę do walki z twoją starą nianią.

Posłali po staruszkę i wkrótce się zjawiła: tak krucha, tak siwa, wychudzona i pomarszczona, że zdawało się, że wywróci ją nawet lekki powiew. Owszem, była olbrzymką, ale jedynie odrobinę wyższą od Thora. Ze stareńkiej głowy wyrastały rzadkie, cienkie włosy i Thor zastanawiał się, ile właściwie ma lat, bo sprawiała wrażenie starszej od wszystkich, których poznał. Nie chciał jej skrzywdzić.

Stanęli razem naprzeciw siebie. Wygrać miało pierwsze, które padnie na ziemię. Thor pchnął staruszkę i pociągnął, spróbował ją poruszyć, wywrócić, zmusić siłą, równie dobrze jednak mogła być wykuta z kamienia. Cały czas patrzyła na niego bezbarwnymi starymi oczami i milczała.

A potem wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła nogi Thora, który poczuł, jak w miejscu, gdzie go musnęła, noga mięknie. Pchnął ponownie, ona jednak zarzuciła mu ramiona na szyję

i pociągnęła ku ziemi. Choć opierał się najmocniej, jak mógł, nic to nie dało i wkrótce odkrył, że opada na kolano...

– Stać! – rzucił Utgardaloki. – Dość już widzieliśmy, o wielki Thorze. Nie umiesz nawet pokonać mojej starej mamki. Wątpię, by którykolwiek z moich ludzi zechciał się z tobą siłować.

Thor zerknął na Lokiego, obaj popatrzyli na Thialfiego. Usiedli przy wielkim palenisku. Olbrzymi okazali im gościnność – strawa była smaczna, wino mniej słone niż miód z gigantycznego rogu – ale cała trójka mówiła mniej niż zazwyczaj podczas wieczerzy.

Towarzysze milczeli. Czuli się niezręcznie upokorzeni wcześniejszą porażką.

Opuścili fortecę Utgardu o świcie, a król Utgardaloki we własnej osobie odprowadził ich do bramy.

– I co? – spytał. – Jak wam się podobało w moim domu?

Popatrzyli na niego posępnie.

– Niezbyt – przyznał Thor. – Zawsze szczyciłem się swoją siłą, a w tej chwili czuję się, jakbym był nikim i niczym.

– Myślałem, że umiem szybko biegać – dodał Thialfi.

– A ja nigdy nie przegrałem konkursu jedzenia – zakończył Loki.

Przeszli przez bramy wyznaczające granice twierdzy Utgardalokiego.

– Wiecie – powiedział olbrzym – nie jesteście nikim. Ani niczym. Szczerze mówiąc, gdybym zeszłej nocy wiedział to, co teraz, nigdy nie zaprosiłbym was do swego domu i dołożę wszelkich starań, aby nie przyjąć was tam więcej. Bo widzicie, oszukałem was wszystkich, zwiodłem złudzeniami.

Podróżni spojrzeli na olbrzyma, który uśmiechnął się do nich z góry.

– Pamiętacie Skrymira? – spytał.

– Tego olbrzyma? Oczywiście.

– To byłem ja. Za pomocą iluzji sprawiłem, że zdawałem się wielki i odmieniłem swój wygląd. Rzemienie mojego worka związałem nierozerwalnym żelaznym drutem, można je było rozplątać tylko z pomocą magii. Kiedy uderzyłeś mnie swoim młotem, Thorze, gdy udawałem, że śpię, wiedziałem, że nawet najlżejszy z ciosów przyniósłby mi śmierć. Toteż z pomocą magii uniosłem górę i niewidzialną umieściłem między młotem a moją głową. Popatrz tam.

W oddali wznosiła się góra w kształcie siodła, przecięta trzema dolinami: trzema kwadratowymi dolinami, z których ostatnia wyglądała na najgłębszą.

– Oto góra, którą się posłużyłem – wyjaśnił Utgardaloki. – Te doliny to twoje ciosy.

Thor milczał, ale zacisnął mocniej usta, jego nozdrza się rozszerzyły, a ruda broda zjeżyła.

– Opowiedz mi o zeszłej nocy w zamku – wtrącił Loki. – Czy to także było złudzenie?

– Oczywiście, że tak. Widziałeś kiedyś, jak pożar schodzi w dolinę, pochłaniając wszystko na swej drodze? Sądzisz, że potrafisz jeść równie szybko? Nigdy nie zdołasz dorównać Logiemu, bo Logi to ogień wcielony i pożarł nie tylko strawę, ale i drewniane koryto. Nigdy nie widziałem, by ktoś jadł tak szybko jak ty.

W zielonych oczach Lokiego błysnął gniew i podziw, Loki bowiem, choć nie cierpiał, gdy go nabierano, uwielbiał dobre sztuczki.

Utgardaloki odwrócił się do Thialfiego.

– Jak szybko potrafisz myśleć, chłopcze? – spytał. – Sądzisz, że myślisz szybciej, niż biegniesz?

– Oczywiście – odpowiedział Thialfi. – Moja myśl prześciga wszystko.

– I właśnie dlatego kazałem ci się ścigać z Hugim, czyli myślą. Nieważne, jak szybko biegłeś – a nikt z nas nie widział podobnego biegu, Thialfi – nawet ty nie potrafisz wyprzedzić myśli.

Thialfi nie odpowiedział. Chciał coś rzec, zaprotestować, zadać pytanie, ale w tym momencie Thor odezwał się niskim, grzmiącym głosem, głosem niczym grom odbijający się echem od dalekich górskich szczytów.

– A ja? Co tak naprawdę zrobiłem zeszłej nocy?

Utgardaloki już się nie uśmiechał.

– Dokonałeś cudu – odparł. – Niemożliwego. Choć tego nie dostrzegałeś, koniec rogu tkwił w największej głębi morza. Wypiłeś dość, by obniżyć poziom oceanu, wywołać odpływ. Przez ciebie, Thorze, woda morska już zawsze będzie wznosić się i opadać. Ulżyło mi, gdy nie pociągnąłeś czwartego łyku, bo mogłeś wypić ocean do sucha.

Kotka, którą próbowałeś podnieść, nie była w istocie kotką. To Jormungundr, wąż Midgardu, gad, który oplata cały świat. Nie da się podnieść węża Midgardu, a jednak ty to zrobiłeś. Poluzowałeś nawet jeden jego zwój, gdy oderwałeś łapę od ziemi. Pamiętasz tamten hałas? To był dźwięk poruszającej się ziemi.

– A staruszka? – spytał Thor. – Twoja dawna mamka, czym była w istocie? – Przemawiał bardzo łagodnie, ale palcami chwycił trzonek swego młota.

– To była Elli, starość. Nikt nie zdoła pokonać starości, bo w końcu zabierze każdego z nas, sprawi, że będziemy coraz słabsi i słabsi, aż w końcu na dobre zamknie nam oczy. To znaczy my wszyscy prócz ciebie, Thorze. Ty siłowałeś się ze starością, a my z podziwem patrzyliśmy, że wciąż stoisz; nawet kiedy nad tobą zapanowała, osunąłeś się tylko na jedno kolano. Nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego, jak twe wyczyny

z zeszłej nocy, Thorze. Nigdy. A teraz, gdy obejrzeliśmy już twoją moc, wiemy, jak bardzo byliśmy niemądrzy, pozwalając ci dotrzeć do Utgardu. Zamierzam w przyszłości bronić swej fortecy, a najlepszą obroną jest dopilnowanie, by żaden z was już nigdy jej nie znalazł i nie zobaczył. By zyskać pewność, że cokolwiek się wydarzy w przyszłości, żaden z was już tu nie powróci.

Thor uniósł młot wysoko nad głowę, nim jednak zdążył uderzyć, Utgardaloki zniknął.

– Spójrzcie! – zawołał Thialfi.

Forteca także zniknęła. Nie pozostał nawet ślad po twierdzy Utgardalokiego ani okalających ją ziemiach. Teraz trójka podróżnych stała na mroźnym pustkowiu pozbawionym wszelkich oznak życia.

– Wracajmy do domu – zaproponował Loki, a potem dodał: – To było naprawdę niezłe. Wspaniale użyte złudzenia. Myślę, że wszyscy czegoś się dziś nauczyliśmy.

– Opowiem siostrze, że ścigałem się z myślą. Powiem Roskwie, że dobrze biegłem.

Ale Thor milczał. Rozmyślał o poprzednim wieczorze, o zmaganiach ze starością, o piciu morza. Rozmyślał o wężu Mitgardu.

Jabłka nieśmiertelności

I

Działo się to innym razem, gdy trzech bogów zwiedzało górzyste pustkowia na skraju Jotunheimu, ojczyzny olbrzymów. Tym razem ową trójkę tworzyli Thor, Loki oraz Hoenir. (Hoenir był starym bogiem, przekazał ludziom dar rozumu).

W owych górach trudno było o strawę i trzej bogowie z każdą chwilą stawali się coraz głodniejsi.

W końcu usłyszeli dźwięk – odległe muczenie bydła – i spojrzeli po sobie, uśmiechając się uśmiechem zgłodniałych ludzi, których tego wieczoru czeka posiłek. Wkrótce dotarli do zielonej doliny pełnej życia, w której rozłożyste dęby i wysokie sosny porastały brzegi łąk i strumieni. I tam właśnie ujrzeli stado krów, wielkich i tłustych, upasionych wysoką trawą.

Wykopali zatem dół i rozpalili w nim podsycany drewnem ogień, a potem zabili wołu i zasypali w rozgrzanych węglach, czekając, aż się upiecze.

Gdy otworzyli jamę, okazało się, że mięso jest wciąż surowe i krwiste.

Znów rozpalili ogień. Ponownie czekali. I raz jeszcze żar ogniska nie rozgrzał nawet mięsa.

– Słyszeliście coś? – spytał Thor.

– Co? – zdziwił się Hoenir. – Ja niczego nie słyszałem.

– Ja tak – wtrącił Loki. – Uważajcie.

Wytężyli słuch i natychmiast rozpoznali ów dźwięk. Ktoś gdzieś śmiał się z nich, donośnie i z rozbawieniem.

Trzech bogów rozejrzało się dokoła, ale w dolinie nie było nikogo, jedynie oni i bydło.

I wtedy Loki uniósł głowę.

Na najwyższej gałęzi najwyższego drzewa siedział orzeł. Był to największy orzeł, jakiego kiedykolwiek widzieli, olbrzym wśród orłów, i śmiał się z nich.

– Czy wiesz, dlaczego nasz ogień nie chce upiec kolacji? – spytał Thor.

– Może i wiem – odparł orzeł. – Ależ wyglądacie na głodnych. Dlaczego nie zjecie mięsa na surowo? Tak właśnie postępują orły. Rozszarpujemy je dziobami. Ale wy nie macie dziobów, prawda?

– Jesteśmy głodni – przyznał Hoenir. – Możesz nam pomóc przyrządzić posiłek?

– Moim zdaniem – rzekł orzeł – wasz ogień musiała skazić jakaś magia, pozbawiając go mocy i gorąca. Jeśli obiecacie oddać mi część mięsa, zwrócę moc ogniowi.

– Przyrzekamy – oznajmił Loki. – Możesz poczęstować się swoją porcją, gdy tylko dostaniemy upieczony posiłek.

Orzeł raz jeden okrążył łąkę, uderzając skrzydłami tak mocno, że węgle w dole pojaśniały i stanęły w płomieniach, a bogowie musieli przytrzymać się nawzajem, żeby podmuch nie zwalił ich z nóg. Potem wrócił na miejsce wysoko na drzewie.

Tym razem bogowie z nadzieją zakopali mięso w dole i czekali. Działo się to latem, gdy słońce w krainach północy ledwie zachodzi i dni trwają bez końca, toteż wciąż było jasno jak w dzień, gdy późną nocą otworzyli jamę i nozdrza wypełnił im cudowny zapach upieczonej wołowiny, miękkiej i gotowej na przyjęcie noży i zębów.

Kiedy otwarli dół, orzeł śmignął z drzewa i pochwycił w szpony dwie zadnie nogi wołu, a także łopatkę, po czym zaczął szarpać je łapczywie dziobem. Loki wpadł we wściekłość, widząc, że zaraz zniknie spora część jego wieczerzy. Pchnął zatem orła włócznią, licząc, że tamten upuści uchwyconą zdobycz.

Orzeł załopotał mocno skrzydłami, wzbudzając wiatr tak silny, że omal nie powalił bogów, i upuścił mięso. Loki nie zdążył jednak nacieszyć się swym tryumfem, bo odkrył, że włócznia uwięzła w boku wielkiego ptaka i gdy ten wystartował, poniósł go ze sobą.

Loki bardzo chciał wypuścić z rąk włócznię, ale dłonie przywarły mu do drzewca. Nie mógł się uwolnić.

Ptak leciał nisko, toteż stopy boga dotykały ziemi, wlokąc się po kamieniach i żwirze, zboczach gór i drzewach. Działała tu magia, i to potężniejsza niż wszystko, nad czym Loki mógł zapanować.

– Proszę! – krzyknął. – Przestań! Powyrywasz mi ramiona ze stawów. Zniszczyłeś już buty, zabijesz mnie!

Orzeł wzbił się nad górskie zbocze i zatoczył łagodnie krąg, od ziemi dzieliło ich tylko czyste, rześkie powietrze.

– Może faktycznie cię zabiję – rzekł.

– Zrobię wszystko, byleś tylko posadził mnie na ziemi – wysapał Loki. – Co tylko zechcesz. Proszę.

– Chcę – odparł orzeł – dostać Idunn. I jej jabłka. Jabłka nieśmiertelności.

Loki wisiał w powietrzu, od ziemi dzieliła go bardzo daleka droga.

Idunn, żona Bragiego, była słodka, łagodna i życzliwa. Nosiła przy sobie skrzynkę zrobioną z jesionowego drewna pełną złotych jabłek. Kiedy bogowie czuli na sobie dotknięcie starości, gdy ich włosy pokrywał szron, a stawy zaczynały boleć,

przychodzili do Idunn, ona zaś otwierała skrzynkę i pozwalała bogu bądź bogini zjeść jedno jabłko. W miarę jedzenia powracały do nich młodość i siła. Bez jabłek Idunn bogowie przestaliby być bogami...

– Chyba nic nie mówisz – rzucił orzeł. – Powlokę cię jeszcze po skałach i górskich szczytach, a może tym razem też po głębokich rzekach.

– Zdobędę dla ciebie jabłka! – zawołał Loki. – Przysięgam. Tylko posadź mnie na ziemi.

Orzeł nie odpowiedział, machnął jednak skrzydłem i zaczął opadać ku zielonej łące, z której wzbijał się słup dymu. Po chwili znalazł się nad miejscem, w którym Thor i Hoenir stali z otwartymi ustami, spoglądając na nich. Gdy orzeł przelatywał nad ogniskiem, Loki odkrył, że spada. Wciąż ściskał w dłoni włócznię, gdy runął na trawę. Ptak z krzykiem załopotał skrzydłami i wzbił się wysoko, po chwili był już tylko małym punkcikiem na niebie.

– Ciekawe, o co w tym wszystkim chodziło? – mruknął Thor.

– Kto wie? – odparł Loki.

– Zostawiliśmy ci trochę jedzenia – rzekł Hoenir.

Loki jednak stracił apetyt, co przyjaciele przypisali powietrznej wycieczce.

W drodze do domu nie spotkało ich już nic ciekawego ani niezwykłego.

II

Następnego dnia Idunn spacerowała po Asgardzie, witając napotykanych bogów i patrząc im w twarze, by sprawdzić, czy któryś nie wygląda staro. Minęła Lokiego. On zwykle nie

zwracał na nią uwagi, lecz tego ranka uśmiechnął się i pozdrowił ją.

– Idunn! Jak miło cię widzieć! Czuję na sobie dotknięcie starości – oznajmił. – Muszę skosztować jednego z twych jabłek.

– Nie wyglądasz, jakbyś zaczynał się starzeć – zauważyła.

– Dobrze to ukrywam – wyjaśnił Loki. – Och! Moje zbolałe plecy! Starość to straszna rzecz, Idunn.

Bogini otworzyła jesionową skrzynkę i dała Lokiemu złote jabłko.

Spałaszował je z entuzjazmem, pochłaniając całe, łącznie z pestkami. Potem skrzywił się.

– Ojej – mruknął – myślałem, że, no cóż, masz smaczniejsze jabłka.

– Cóż za niezwykła uwaga – zdumiała się Idunn. Nigdy dotąd nikt nie zareagował tak na jej owoce. Zazwyczaj bogowie mówili jedynie o doskonałości smaku i tym, jak dobrze poczuć się znów młodo. – Loki, to przecież jabłka bogów. Jabłka nieśmiertelności.

Loki nie wydawał się przekonany.

– Możliwe – mruknął. – Ale w lesie widziałem jabłka pod każdym względem piękniejsze od twoich. Wyglądały ładniej, pachniały ładniej, smakowały lepiej niż te. Pewnie to też jabłka nieśmiertelności. Może lepszej odmiany nieśmiertelności niż twoja.

Patrzył, jak twarz Idunn zmienia wyraz – najpierw odbiło się na niej niedowierzanie, potem zdumienie, w końcu troska.

– To jedyne takie jabłka na całym świecie – rzekła.

Loki wzruszył ramionami.

– Mówię tylko, co widziałem.

Idunn podeszła do niego.

– Gdzie są te jabłka? – spytała.

– Tam. Chyba nie umiem tego opisać, ale mogę poprowadzić cię przez las. To niedaleko.

Skinęła głową.

– Kiedy jednak zobaczymy jabłoń – dodał – jak zdołasz porównać jej owoce z tymi, które zostawisz w jesionowej skrzynce w Asgardzie? No wiesz, mógłbym przecież rzec: „to jeszcze lepsze jabłka niż twoje", a ty na to: „bzdura, Loki, w porównaniu z moimi to pomarszczone rajskie jabłuszka". I jak byśmy to rozstrzygnęli?

– Nie bądź niemądry – rzuciła Idunn. – Zabiorę ze sobą jabłka. Po prostu je porównamy.

– Ach! – Loki westchnął. – Co za świetny pomysł! Ruszajmy.

Poprowadził ją do lasu. Idunn ściskała mocno jesionową skrzynkę pełną jabłek nieśmiertelności.

Po półgodzinie marszu odezwała się pierwsza.

– Loki, zaczynam sądzić, że nie ma żadnych innych jabłek ani jabłoni.

– To bardzo niemiłe i krzywdzące z twojej strony – zaprotestował Loki. – Jabłoń rośnie na szczycie tamtego wzgórza.

Wspięli się na wzgórze.

– Nie ma tu jabłoni – zauważyła Idunn. – Tylko wysoka sosna, a na niej orzeł.

– To orzeł? – zdumiał się Loki. – Jest bardzo duży.

W tym momencie orzeł, jakby usłyszał, rozpostarł skrzydła i runął ku nim.

– Nie jestem orłem – oznajmił – ale olbrzymem Thiazim pod postacią orła. Przybywam tu po piękną Idunn. Zostaniesz towarzyszką mojej córki, Skadi, i może z czasem mnie pokochasz. Cokolwiek się jednak stanie, dla bogów Asgardu czas i nieśmiertelność dobiegły kresu. To mówię ja, Thiazi!

Pochwycił Idunn jedną szponiastą łapą, a jesionową skrzynkę z jabłkami drugą, wzbił się w powietrze nad Asgardem i zniknął.

– A zatem nim właśnie był – rzekł do siebie Loki. – Wiedziałem, że to niezwykły orzeł.

To rzekłszy, wrócił do domu z mętną nadzieją, że nikt nie zauważy nieobecności Idunn i jej jabłek. A jeśli nawet, minie sporo czasu, zanim ktokolwiek skojarzy jej zniknięcie z tym, że Loki zabrał boginię do lasu.

III

– Ty widziałeś ją ostatni. – Thor pomasował kostki prawej dłoni.

– Nieprawda – zaprotestował Loki. – Czemu w ogóle tak twierdzisz?

– I nie zestarzałeś się tak jak reszta z nas – dodał Thor.

– Jestem stary, ale mam szczęście. Starość mi sprzyja.

Thor mruknął pod nosem, kompletnie nieprzekonany. Jego ruda broda była teraz śnieżnobiała, pozostało w niej tylko kilka bladopomarańczowych włosów, niczym resztki niegdyś dumnego ognia pośród białych popiołów.

– Uderz go jeszcze raz – wtrąciła Freja. Włosy miała długie i siwe, bruzdy na twarzy głębokie i liczne. Wciąż pozostała piękna, ale pięknością dojrzałego wieku, nie złocistowłosego dziewczęcia. – On wie, gdzie jest Idunn. I wie, gdzie są jabłka.

Naszyjnik Brisingów nadal okalał jej szyję, ale zaśniedział i zmatowiał, tracąc swój blask.

Odyn, ojciec bogów, wciąż dzierżył laskę w sękatych, reumatycznych palcach, powykręcanych i pokrytych siatką

niebieskich żył. Jego głos, zwykle donośny i władczy, brzmiał teraz sucho i ochryple.

– Nie bij go, Thorze – wyrzęził.

– Widzicie? Wiedziałem, że ty przynajmniej zachowałeś rozsądek, Wszechojcze – rzucił Loki. – Nie miałem z tym nic wspólnego! Po co Idunn miałaby gdziekolwiek ze mną chodzić? Nawet mnie nie lubiła!

– Nie bij go – powtórzył Odyn i zerknął na Lokiego swym jednym zdrowym okiem, obecnie powleczonym zaćmą i poszarzałym. – Chcę, żeby na torturach pozostał cały i zdrów. Rozpalają już ognie, ostrzą klingi i zbierają głazy. Może i jesteśmy starzy, ale umiemy torturować i zabijać jak wówczas, gdy pozostawaliśmy w pełni sił, a jabłka Idunn przywracały nam młodość.

Nos Lokiego wychwycił swąd płonących węgli.

– Gdybym... – zaczął. – Gdybym zdołał ustalić, co spotkało Idunn, i gdyby w jakiś sposób udało mi się sprowadzić ją i jej jabłka bezpiecznie z powrotem do Asgardu, czy moglibyśmy zapomnieć o torturach i śmierci?

– To twoja jedyna szansa przeżycia – odparł Odyn głosem tak starym i trzeszczącym, że Loki nie potrafił określić, czy należy on do sędziwego mężczyzny, czy też do kobiety. – Przywiedź Idunn z powrotem do Asgardu. Ją i jabłka nieśmiertelności.

Loki skinął głową.

– Zdejmijcie mi łańcuchy – rzekł. – Zrobię to, ale będę potrzebował płaszcza Frei z sokolich piór.

– Mojego płaszcza? – zdumiała się Freja.

– Niestety tak.

Freja odeszła sztywno i po chwili powróciła z płaszczem pokrytym piórami sokoła. Lokiemu zdjęto łańcuchy, sięgnął po płaszcz.

– Nie sądź, że będziesz mógł stąd odlecieć i nigdy nie wrócisz – uprzedził Thor, gładząc znacząco swą białą brodę. – Może i jestem stary, ale jeśli nie wrócisz, mimo starości ruszę na łowy i znajdę cię, gdziekolwiek się skryjesz, a wówczas mój młot przyniesie ci śmierć. Nadal bowiem pozostaję Thorem! I wciąż jestem silny.

– I niezwykle irytujący – dodał Loki. – Oszczędź tchu i użyj tej siły, by usypać stertę trocin za murami Asgardu. Jak największą stertę trocin. Będziesz musiał ściąć wiele drzew i porąbać je na drobinki. Potrzebny mi wysoki stos wzdłuż muru, więc zacznij od razu.

To rzekłszy, Loki owinął się ciasno jastrzębim płaszczem i pod postacią ptaka uderzył skrzydłami, wzbijając się wysoko, szybciej nawet niż orzeł. Po chwili zniknął, mknąc na północ ku krainie lodowych olbrzymów.

IV

Loki-sokół leciał bez przerwy, aż w końcu znalazł się daleko w głębi kraju lodowych olbrzymów i dotarł do twierdzy olbrzyma Thiaziego. Tam przysiadł na wysokim dachu, obserwując wszystko, co działo się w dole. Widział, jak Thiazi, już jako olbrzym, ciężkim krokiem wychodzi ze swej twierdzy i maszeruje po żwirze do wiosłowej łodzi, większej niż największy wieloryb. Thiazi powlókł łódź przez cieśninę na lodowate wody północnego oceanu i wypłynął w morze, mocno machając wiosłami. Wkrótce zniknął Lokiemu z oczu.

Wówczas Loki, wciąż jako sokół, okrążył twierdzę, zaglądając po drodze do każdego z okien. W najdalszej komnacie ujrzał za zakratowanym okienkiem Idunn, siedzącą tam i płaczącą. Przysiadł na jednym z prętów.

– Przestań płakać! – rzekł. – To ja, Loki, przybywam ci z pomocą.

Idunn posłała mu gniewne spojrzenie czerwonych od łez oczu.

– To przecież ty byłeś źródłem moich problemów – odparła.

– Może i tak, ale upłynęło już wiele czasu. To był wczorajszy Loki. Dzisiejszy Loki przybył, by cię uratować i zabrać do domu.

– Jak? – spytała.

– Masz ze sobą jabłka?

– Jestem boginią z Asów – oznajmiła. – Gdziekolwiek się znajdę, będą też jabłka. – Pokazała mu skrzynkę pełną owoców.

– To upraszcza sprawę – mruknął Loki. – Zamknij oczy.

Posłuchała, a on zamienił ją w orzech laskowy w skorupce wciąż otoczony zieloną łupiną. Loki zacisnął szpony na orzechu, przeskoczył między prętami okna i ruszył w drogę do domu.

Thiazi miał kiepski dzień, ryby w ogóle nie brały. Postanowił zatem, że lepiej spożytkuje czas, wracając do twierdzy i zalecając się do Idunn. Zacznie się z nią droczyć, mówiąc, jak straciwszy ją i jej jabłka, wszyscy bogowie są pomarszczeni i krusi – zasinione, wstrząsane drgawkami skorupy ociężałe na umyśle, okaleczone na ciele. Powiosłował zatem do domu i pobiegł wprost do komnaty Idunn.

Zastał ją pustą.

Thiazi ujrzał na ziemi sokole pióro i natychmiast pojął, gdzie jest Idunn i kto ją zabrał.

Wyprysnął w niebo, przybierając postać orła jeszcze większego i potężniejszego niż kiedykolwiek wcześniej. Uderzając skrzydłami, pomknął szybciej, coraz szybciej w stronę Asgardu.

Świat przesuwał się pod nim, wokół wiał wiatr, a Thiazi frunął tak szybko, że samo powietrze grzmiało, gdy przez nie

przelatywał.

Thiazi leciał dalej. Zostawił za sobą ziemie olbrzymów i znalazł się w krainie bogów. Kiedy dostrzegł przed sobą sokoła, z dzioba wyrwał mu się wrzask wściekłości, a sam Thiazi jeszcze przyśpieszył.

Bogowie Asgardu usłyszeli ów wrzask, a także huk skrzydeł, i podeszli do wysokiego muru, by sprawdzić, co się dzieje. Ujrzeli mknącego ku nim maleńkiego sokoła, za którym pędził gigantyczny orzeł. Sokół był tak blisko...

– Teraz? – spytał Thor.

– Teraz – odparła Freja.

Thor podpalił trociny. Potrzebowały chwili, by się zająć – chwili dość długiej, by sokół przeleciał nad nimi i wylądował w zamku. A potem z ogłuszającym łoskotem stanęły w płomieniach. Przypominało to wybuch wulkanu: eksplozja płomieni wyższych niż mury Asgardu, przerażających i niewyobrażalnie gorących.

Thiazi pod postacią orła nie mógł się zatrzymać, nie mógł zwolnić lotu ani zmienić kierunku. Wleciał w płomienie. Pióra olbrzyma zajęły się ogniem, koniuszki jego skrzydeł spłonęły, a potem bezpióry orzeł runął z nieba i uderzył o ziemię z łoskotem i hukiem tak wielkim, że wstrząsnął posadami twierdzy bogów.

Poparzony, oszołomiony, ogłupiały i nagi orzeł nie mógł stawić czoła nawet postarzałym bogom. Nim zdołał powrócić do postaci olbrzyma, już został ranny, a gdy się zmieniał, cios młota Thora pozbawił go życia.

V

Idunn z radością powróciła do męża. Bogowie zjedli jabłka nieśmiertelności i odzyskali młodość. Loki miał nadzieję, że to koniec sprawy.

Ale nie. Córka Thiaziego, Skadi, przywdziała zbroję, chwyciła broń i przybyła do Asgardu, by pomścić ojca.

– Ojciec był dla mnie wszystkim – oznajmiła – a wy go zabiliście. Jego śmierć wypełniła mi życie łzami i rozpaczą, nie znajduję już w nim radości. Przybywam po zemstę albo rekompensatę.

I tak Asowie i Skadi zaczęli się targować. W owych dniach każde życie miało swoją cenę, a życie Thiaziego ceniono wysoko. Gdy negocjacje dobiegły końca, bogowie i Skadi zgodzili się, że na trzy sposoby wynagrodzą jej śmierć ojca.

Po pierwsze, miała dostać męża, by zajął miejsce nieżyjącego Thiaziego. (Wszyscy bogowie i boginie widzieli wyraźnie, że Skadi zadurzyła się w Balderze, najpiękniejszym ze wszystkich bogów. Wciąż mrugała do niego porozumiewawczo i zerkała, póki Balder nie odwrócił wzroku zarumieniony i zawstydzony).

Po drugie, bogowie mieli sprawić, że znów się zaśmieje, bo odkąd zabili jej ojca, nie uśmiechnęła się ani razu.

I wreszcie mieli coś zrobić, by jej ojciec nigdy nie został zapomniany.

Bogowie pozwolili jej wybrać męża spośród swego grona, pod jednym wszakże warunkiem: oznajmili, że nie będzie mogła kierować się jego twarzą. Wszyscy mężczyźni mieli stanąć za zasłoną ukazującą tylko stopy. Skadi musiała dokonać wyboru, kierując się wyglądem stóp.

Wszyscy kolejno przechodzili za zasłoną, a ona patrzyła im na nogi.

– Paskudne stopy – mówiła, gdy mijała ją kolejna para.

Nagle zamarła i wykrzyknęła radośnie:

– Oto stopy mojego przyszłego męża! To najpiękniejsze ze stóp! Muszą należeć do Baldera, bo żadna część jego ciała nie mogłaby być brzydka.

Choć Balder istotnie jaśniał urodą, gdy podniesiono zasłonę, Skadi odkryła, że wybrane przez nią stopy należą do Njorda, boga rydwanów, ojca Freja i Frei.

Poślubiła go bezzwłocznie, lecz podczas uczty weselnej twarz miała najsmutniejszą ze wszystkich oglądanych przez Asów.

Thor szturchnął Lokiego.

– No dalej – rzekł – rozbaw ją. To przecież twoja wina.

Loki westchnął.

– Serio?

Thor przytaknął i znacząco postukał palcami w trzonek młota.

Loki pokręcił głową, potem wyszedł z sali do zagród, w których trzymano zwierzęta, i wrócił na ucztę, prowadząc za sobą wielkiego, niezwykle rozdrażnionego kozła. Loki rozwścieczył go jeszcze bardziej, obwiązując sznurem jego brodę.

Następnie okręcił drugim końcem sznura swoje prywatne narządy.

Szarpnął dłonią sznur. Kozioł zabeczał donośnie, czując bolesny ucisk na brodzie i odskoczył. Sznur pociągnął mocno prywatne narządy Lokiego. Loki krzyknął i znów złapał linę, ciągnąc z powrotem.

Bogowie zaśmiali się. Owszem, nietrudno ich rozbawić, lecz to była najzabawniejsza rzecz, jaką od dawna oglądali. Zaczęli się zakładać, co odpadnie pierwsze – broda kozła czy narządy Lokiego. Wyśmiewali się z jego krzyków.

– Jak lis zawodzący nocą – huknął Balder, dławiąc się ze śmiechu.

– Loki brzmi jak płaczące dziecko! – zawołał brat Baldera, Hod, który choć ślepy, nadal zaśmiewał się za każdym wrzaskiem Lokiego.

Skadi nie śmiała się, choć w kącikach jej warg pojawił się cień uśmiechu. Za każdym razem, gdy kozioł wrzeszczał albo Loki zawodził jak cierpiące dziecko, jej uśmiech stawał się nieco szerszy.

Loki ciągnął. Kozioł ciągnął. Loki krzyczał i szarpał sznur. Kozioł ryczał i zapierał się jeszcze mocniej.

W końcu sznur pękł.

Loki wystrzelił w powietrze, przyciskając dłonie do krocza i wylądował prosto na kolanach Skadi, jęczący i załamany.

Skadi zaśmiała się niczym lawina w górzystej krainie. Śmiała się tak głośno niczym ryk odpadającego lodowca. Śmiała się tak długo i mocno, że łzy radości zalśniły jej w oczach, i gdy tak się radowała, po raz pierwszy wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń swego nowego męża Njorda.

Loki zsunął się z kolan Skadi i odkuśtykał na bok, przyciskając ręce do miejsca między nogami i wykrzywiając się z przesadną złością w stronę bogów i bogiń, którzy w odpowiedzi zaśmiali się jeszcze głośniej.

– A zatem zrobione – rzekł Odyn Wszechojciec do Skadi, córki olbrzyma, kiedy uczta weselna dobiegła końca. – Albo prawie zrobione.

Gestem nakazał jej wyjść za nim w noc. Razem z Odynem opuścili salę. U boku Skadi stąpał jej świeżo poślubiony małżonek. Obok stosu pogrzebowego, który bogowie usypali dla szczątków olbrzyma, spoczywały dwie wielkie kule pełne światła.

– Te kule – oznajmił Odyn, zwracając się do Skadi – były oczami twego ojca.

A potem Wszechojciec ujął dwoje oczu i cisnął w nocne niebo, gdzie rozbłysły i zapłonęły obok siebie.

Spójrzcie na niebo w środku zimy, a ujrzycie je tam, dwie bliźniacze gwiazdy płonące obok siebie. Te dwie gwiazdy to oczy Thiaziego. Nadal tam świecą.

Historia Gerd i Freja

I

Frejr, brat Frei, był najpotężniejszym z Wanów. Piękny i szlachetny, wojownik i kochanek, czuł jednak, że czegoś brakuje w jego życiu, i nie wiedział czego.

Śmiertelnicy z Mitgardu oddawali mu cześć. Powiadali, że to on stworzył pory roku. Frejr sprawiał, że pola rodziły plony, a z martwej ziemi rodziło się życie. Ludzie czcili Freja i kochali go, ale nie zapełniało to jego wewnętrznej pustki.

Frejr zatem przyjrzał się swemu dobytkowi.

Miał miecz tak potężny i niezwykły, że sam umiał walczyć. Miecz jednak nie uszczęśliwiał Freja.

Miał Gullinburstiego, dzika o złotej szczecinie stworzonego przez karła Brokka i jego brata Eitriego. Gullinbursti ciągnął wóz Freja. Pędził po niebie i po wodzie szybciej niż najszybszy z koni, biegł nawet najczarniejszą nocą, bo jego złota szczecina świeciła jasno. Ale Gullinbursti nie uszczęśliwiał Freja.

Miał Skidbladnira, okręt zrobiony dla niego przez trzech karłów zwanych synami Iwaldiego. Nie był to może największy ze statków (to zaszczytne miano przypada Naglfarowi, statkowi śmierci zrobionemu z nieprzyciętych paznokci umarłych), ale na pokładzie mieścili się wszyscy Asowie. Gdy postawiono żagle Skidbladnira, wiatr zawsze mu sprzyjał, a statek wiózł właściciela, gdzie tylko ten pragnął dotrzeć. A choć był to drugi

największy z istniejących statków i mieścił wszystkich Asów, Frejr mógł go złożyć niczym tkaninę i schować do torby. Jednakże i Skidbladnir, ten najlepszy ze statków, nie uszczęśliwiał Frejra.

Frejr miał też najwspanialszą siedzibę niebędącą Asgardem. To Alfheim, ojczyzna jasnych elfów, gdzie zawsze witano go i uznawano za pana. Żadne miejsce nie może się równać z Alfheimem, a jednak i on go nie uszczęśliwiał.

Sługa Freja, Skirnir, należał do jasnych elfów. Był najwspanialszym sługą, o pięknym obliczu, i zawsze mądrze radził swemu panu.

Frejr polecił Skirnirowi, by zaprzągł Gullinburstiego, i razem ruszyli do Asgardu.

Kiedy dotarli na miejsce, skierowali się do Walhalli, wielkiego dworu poległych. W Walhalli Odyna mieszkają Einherjarowie, „ci, którzy walczą samotnie” – wszyscy mężowie, którzy zginęli szlachetnie w boju od zarania dziejów. Ich dusze zbierają z pól bitew walkirie, kobiety-wojowniczki, którym Odyn polecił sprowadzać do miejsca ostatecznej nagrody dusze szlachetnych umarłych poległych w bitwie.

– Musi ich być całe mnóstwo – zauważył Skirnir, który wcześniej nie odwiedzał tego miejsca.

– W istocie – odparł Frejr. – Ale przybędzie jeszcze więcej. A będzie trzeba jeszcze więcej, nim staniemy do walki z wilkiem.

Zbliżając się do pól wokół Walhalli usłyszeli odgłosy bitwy, brzęk metalu uderzającego o metal, łoskot metalu uderzającego o ciało. Po chwili ujrzeli potężnych wojowników w najróżniejszym wieku i z wszelkich nacji odzianych w zbroje i pancerze. Każdy walczył ze wszelkich sił, wkrótce połowa leżała martwa w trawie.

– Dosyć – zagrzmiał głos. – Dzisiejsza bitwa dobiegła końca!

Słysząc to, ci, którzy wciąż stali, pomogli martwym podnieść się z dziedzińca. Na oczach Frejra i Skirnira ich rany się zamknęły i z powrotem wgramolili się na konie. Wszyscy żołnierze walczący tego dnia, nieważne: zwycięzcy czy pokonani, powrócili do Walhalli, dworzyszcza szlachetnie poległych.

Walhalla była olbrzymia. Miała pięćset czterdzieścioro drzwi, a w każdych drzwiach mieściło się naraz ośmiuset wojów. Wewnątrz mogła pomieścić więcej ludzi, niż potrafi ogarnąć umysł.

W środku wojownicy wiwatem powitali rozpoczęcie uczty. Posilali się mięsem dzika nakładanym z olbrzymiego kotła. Mięso to pochodziło z dzika Saerimnira: co noc podawano je na wieczerzę, a każdego ranka potworny stwór ożywał, gotów wkrótce zginąć i oddać życie i ciało szlachetnie poległym. Nieważne, jak wielu ich było, mięsa wystarczyło dla wszystkich.

Do picia przyniesiono im miód.

– Tak wiele miodu dla tylu wojowników – mruknął Skirnir. – Skąd on się bierze?

– Pochodzi od kozy zwanej Heidrun – wyjaśnił Frejr. – Stoi ona na szczycie Walhalli i zjada liście drzewa zwanego Lerad, będącego w istocie gałęzią Yggdrasilla, drzewa świata. Z jej wymion płynie najwspanialszy miód. Nigdy go nie zabraknie dla żadnego wojownika.

Podeszli do najwyższego stołu, przy którym zasiadał Odyn. Miał przed sobą misę z mięsiwem, ale go nie jadł. Od czasu do czasu nabijał kawałek na nóż i ciskał na ziemię, gdzie natychmiast chwytał go jeden z jego wilków, Geri bądź Freki.

Na ramionach Odyna siedziały dwa kruki – je także częstował skrawkami mięsa, a one szeptem opowiadały mu o wszystkim, co dzieje się daleko.

– On nie je – wyszeptał Skirnir.

– Nie musi – odparł Frejr. – Tylko pije, wystarczy mu wino, nic więcej. Chodź. Zrobiliśmy, co trzeba.

– Po co tu przyszliśmy? – spytał Skirnir, gdy wyszli jednymi z pięciuset czterdziestu drzwi Walhalli.

– Bo chciałem się upewnić, że Odyn jest tutaj, z wojownikami, a nie we własnym dworze na Hlidskjalfie, punkcie obserwacyjnym.

Przekroczyli próg dworu Odyna.

– Zaczekaj tutaj – polecił Frejr.

Sam wszedł do środka i wspiął się na Hlidskjalf, tron, z którego Odyn widział wszystko, co dzieje się w dziewięciu światach.

Frejr spojrzał ponad światami. Patrzył na południe, na wschód i na zachód, ale nie ujrzał tego, czego szukał.

A potem spojrzał na północ i zobaczył to, czego brakowało mu w życiu.

Skirnir czekał przy drzwiach, gdy jego pan powrócił z dworu. Twarz Frejra miała wyraz, jakiego sługa nigdy wcześniej nie oglądał, i Skirnir poczuł lęk.

Bez słowa opuścili to miejsce.

II

Frejr skierował wóz ciągnięty przez Gullinburstiego z powrotem do dworu swego ojca. Gdy tam dotarli, nie odezwał się do nikogo, ani do ojca, Njorda, pana wszystkich, którzy żeglują po morzach, ani do macochy, Skadi, przybyłej z gór. Z obliczem mrocznym jak niebo o północy udał się do swojej komnaty i tam pozostał.

Trzeciego dnia Njord posłał po Skirnira.

– Frejr siedzi w zamknięciu trzy dni i trzy noce – oznajmił. – Przez ten czas niczego nie jadł, nie wypił też ani kropelki.

– To prawda – przyznał Skirnir.

– Co uczyniliśmy, by tak go rozgniewać? – dopytywał się Njord. – Mój syn, zawsze taki łagodny i pełen życzliwych, mądrych słów, teraz milczy i tylko patrzy na nas z wściekłością. Co takiego zrobiliśmy, by go rozzłościć?

– Nie wiem – odparł Skirnir.

– W takim razie – rzekł Njord – musisz udać się do niego i spytać, co się dzieje. Zapytaj, czemu jest tak rozgniewany, że nie odzywa się do nikogo z nas.

– Wolałbym nie – odparł Skirnir – ale nie mogę ci odmówić, panie. Jest w tak dziwnym, mrocznym nastroju, że lękam się, co uczyni, jeśli go spytam.

– Spytaj go – nalegał Njord. – I zrób dla niego, co tylko zdołasz. To twój pan.

Skirnir z jasnych elfów udał się w miejsce, gdzie Frejr stał, spoglądając w morze. Twarz miał zachmurzoną i udręczoną i sługa zawahał się, nim się zbliżył.

– Frejrze? – zagadnął.

Frejr milczał.

– Frejrze? Co się stało? Jesteś rozgniewany. Albo przygnębiony. Coś się wydarzyło. Musisz mi wyjaśnić, co się z tobą dzieje.

– Ponoszę karę – odparł Frejr głosem głuchym i odległym. – Zasiadłem na uświęconym tronie Wszechojca i wyjrzałem na świat. Za swą arogancję, za wiarę, że mam prawo zasiąść w miejscu obserwacyjnym, na zawsze pozbawiono mnie szczęścia. Zapłaciłem za swoją zbrodnię i wciąż płacę.

– Panie mój – wtrącił Skirnir – cóż takiego zobaczyłeś?

Frejr milczał i Skirnir sądził już, że z powrotem pogrążył się w znękanej ciszy. Po jakimś czasie jednak przemówił.

– Spojrzałem na północ. Ujrzałem tam siedzibę, wspaniałe domostwo i kobietę podchodzącą do tego domu. Nigdy nie widziałem podobnej niewiasty. Nikogo, kto tak wygląda. Kto się tak porusza. Kiedy uniosła ręce, by otworzyć drzwi domu, światło odbiło się od nich i zdawało się, że rozjaśniło powietrze i rozświetliło morze, a jej obecność opromieniła świat, czyniąc go piękniejszym miejscem. Gdy odwróciłem wzrok i już jej nie widziałem, mój świat stał się mroczny, pozbawiony nadziei i pusty.

– Kim ona jest? – spytał Skirnir.

– Olbrzymką. Jej ojciec to Gymir, ziemny olbrzym, matka to górska olbrzymka Aurboda.

– A czy ta piękna istota ma jakieś imię?

– Nazywa się Gerd. – Frejr znów umilkł.

– Ojciec martwi się o ciebie – oznajmił Skirnir. – Wszyscy się martwimy. Czy mogę coś zrobić?

– Jeśli pójdziesz do niej i poprosisz ją o rękę, oddam ci wszystko. Nie mogę bez niej żyć. Sprowadź ją do mnie, by została mą żoną, nieważne, co powie jej ojciec. Zapłacę, ile zechcesz.

– Prosisz o wiele, mój panie – mruknął Skirnir.

– Oddam wszystko – powtórzył gorączkowo Frejr i zadrżał.

Skirnir przytaknął.

– Zrobię to panie. – Zawahał się. – Frejrze, czy mógłbym spojrzeć na twój miecz?

Frejr dobył go i uniósł, demonstrując Skirnirowi.

– Nie ma na świecie drugiego takiego. Walczy sam, bez kierującej nim dłoni. Zawsze broni swego właściciela. Żaden inny miecz, nieważne, jaki potężny, nie zdoła przeniknąć tej obrony. Powiadają, że miecz ten zwyciężyłby nawet w starciu z ognistym mieczem Surtra, demona ognia.

Skirnir wzruszył ramionami.

– To wspaniały miecz. Jeśli chcesz, żebym sprowadził ci Gerd, przyjmę go jako zapłatę.

Frejr skinął głową. Oddał Skirnirowi miecz i konia, by mógł go dosiąść.

Skirnir ruszył na północ i w końcu dotarł do domu Gymira. Wszedł doń jako gość i wyjaśnił, kim jest i kto go przysyła. Opowiedział pięknej Gerd o swym panu, Frejrze.

– To najwspanialszy ze wszystkich bogów – rzekł. – Włada deszczem, pogodą i słońcem, zsyła mieszkańcom Midgardu obfite plony, pogodne dni i noce. Czuwa nad dostatkiem ludzkości, wszyscy ludzie kochają go i oddają mu cześć.

Opowiedział Gerd o urodzie Frejra i o jego mocy. Opowiedział o mądrości Frejra. A w końcu opisał jej miłość, jaką darzył ją Frejr, to, jak poraziła go jej wizja, jak przestał jeść i spać, pić i mówić, póki nie zgodzi się zostać jego żoną.

Gerd uśmiechnęła się, jej oczy zajaśniały radością.

– Powiedz mu: tak – rzekła. – Za dziewięć dni od dzisiaj spotkam się z nim na wyspie Barri i poślubię go. Idź i mu powiedz.

Skirnir powrócił do dworu Njorda.

Nim zdążył zeskoczyć z konia, Frejr już tam był, jeszcze bledszy i słabszy niż wtedy, gdy się rozstali.

– Jakie przynosisz wieści? – spytał. – Mam się radować czy rozpaczać?

– Pojmie cię za męża za dziewięć dni na wyspie Barri – oznajmił Skirnir.

Frejr spojrzał na sługę bez cienia radości.

– Noce bez niej w mym życiu trwają wieki – odparł. – Jedna noc jest tak długa, dwie noce jeszcze dłuższe. Jak zdołam wytrzymać trzy noce? Cztery dni zdają mi się miesiącem, a ty każesz mi czekać dziewięć?

Skirnir spojrzał na swego pana z litością.

Dziewięć dni później na wyspie Barri Frejr i Gerd spotkali się po raz pierwszy i wzięli ślub pośród łanów falującego jęczmienia. Była tak piękna, jak sobie wymarzył, a jej dotyk tak delikatny, pocałunek tak słodki, jak miał nadzieję. Ich małżeństwo zostało pobłogosławione, a niektórzy twierdzą, że spłodzony przez nich syn, Fjolnir, stał się pierwszym królem Szwecji. (Pewnej nocy utonął w kadzi miodu, szukając w ciemności miejsca, gdzie mógłby się wysikać).

Skirnir wziął miecz, miecz Frejra, który walczył sam z siebie, i powrócił z nim do Alfheimu.

Piękna Gerd wypełniła pustkę w życiu Frejra i w jego sercu. Frejr nie tęsknił za mieczem, nie zastąpił go nowym. Kiedy walczył z olbrzymem Belim, zabił go rogiem jelenia. Był silny; mógł zabić olbrzyma gołymi rękami.

Mimo wszystko nie powinien był oddawać swego miecza.

Zbliża się Ragnarök. Kiedy słońce pęknie, a ciemne moce Muspellu pomaszerują do walki, Frejr pożałuje, że nie ma swego miecza.

Wyprawa rybacka Hymira i Thora

Bogowie przybyli do wielkiego dworu Egira na brzegu morza.

– Jesteśmy! – zawołał Thor, maszerujący na czele kompanii. – Szykuj dla nas ucztę!

Egir był największym z morskich olbrzymów. Poślubił Ran, w której sieci wpadają wszyscy tonący w morzu. Ich dziewięć córek to morskie fale.

Egir nie miał wcale ochoty karmić bogów, ale także wolał z nimi nie walczyć, spojrzał zatem Thorowi prosto w oczy.

– Przyrządzę bankiet i będzie to najwspanialsza uczta, do jakiej kiedykolwiek zasiadaliście – rzekł. – Mój sługa, Fimafeng, zakrzątnie się żwawo wokół każdego z was, podając tyle strawy, ile tylko pomieszczą brzuchy, i tyle piwa, ile zdołacie wypić. Stawiam tylko jeden warunek! Wyprawię ucztę, ale najpierw musicie przynieść mi kocioł dość duży, bym mógł uwarzyć piwo dla was wszystkich. Jest was bowiem wielu i macie wielki apetyt.

Egir wiedział doskonale, że bogowie nie dysponują podobnym kotłem. A bez kotła nie musiałby szykować uczty.

Thor poprosił innych bogów o radę, lecz każdy zapytany uważał, że podobny kocioł nie istnieje. W końcu zwrócił się do Tyra, boga bitew, boga wojny. Tyr podrapał się lewą ręką – swoją jedyną – po brodzie.

– Na skraju morza świata – rzekł – mieszka król olbrzymów, Hymir. Ma on kocioł głęboki na trzy mile, największy, jaki kiedykolwiek stworzono.

– Wiesz to na pewno? – naciskał Thor.

Tyr skinął głową.

– Hemir to mój ojczym. Poślubił moją matkę – wyjaśnił. – To olbrzymka. Na własne oczy widziałem ów gigantyczny kocioł, a jako syn mej matki zawsze jestem mile widziany w jego dworze.

Tyr i Thor wsiedli na wóz Thora, zaprzężony w kozły Trzaskacza i Zgrzytacza, i pomknęli szybko do ogromnej fortecy Hymira. Tam Thor uwiązał kozły do drzewa i obaj wmaszerowali do środka.

W kuchni olbrzymka kroiła cebule wielkie jak głazy i kapusty rozmiaru łodzi. Thor zagapił się na nią: starucha miała dziewięćset głów, a każdą paskudniejszą i okropniejszą niż poprzednia. Cofnął się o krok. Jeśli nawet ów widok poruszył Tyra, nie pokazał tego po sobie. Zamiast tego zawołał:

– Witaj, babko! Przychodzimy spytać, czy możemy pożyczyć kocioł Hymira, by uwarzyć w nim piwo.

– Co za maleństwa! Wzięłam was za myszy – odparła babka Tyra, a gdy przemówiła, brzmiało to niczym krzyki tłumu ludzi. – Ale to nie ze mną chcesz rozmawiać, wnuku; powinieneś zwrócić się do matki. Mamy gości! – zawołała. – Jest tu twój syn z przyjacielem. – I po chwili do środka weszła druga olbrzymka.

To była żona Hymira, matka Tyra, odziana w złotą suknię i równie piękna, jak jej teściowa była złowroga; przyniosła ze sobą dwa najmniejsze naparstki olbrzymów, które napełniła piwem. Thor i Tyr chwycili owe naczynia rozmiaru wiader i z entuzjazmem wychylili trunek.

Piwo smakowało wyśmienicie.

Olbrzymka spytała Thora o imię. Już się miał przedstawić, lecz nim zdążył cokolwiek rzec, Tyr go ubiegł.

– Nazywa się Weor, matko. To mój przyjaciel i wróg wrogów Hymira i olbrzymów.

Nagle usłyszeli serię odległych huków, grzmiących niczym pioruny pośród szczytów albo walące się góry czy też wielkie

fale uderzające o brzeg. Z każdym kolejnym ziemia trzęsła im się pod stopami.

– Mój mąż wraca do domu – oznajmiła olbrzymka. – Słyszę w dali jego lekkie kroki.

Łoskoty stawały się coraz wyraźniejsze i zbliżały się bardzo szybko.

– Po powrocie do domu mąż często wpada w gniew i ma posępny nastrój. Źle wtedy traktuje gości – uprzedziła olbrzymka. – Może zatem schowajcie się pod kociołkiem i zostańcie tam, póki nie poweseleje na tyle, byście mogli wyjść.

Ukryła ich pod kociołkiem na podłodze kuchni. W środku było ciemno.

Ziemia zadygotała, trzasnęły drzwi i Thor i Tyr pojęli, że Hymir musiał wrócić do domu. Usłyszeli, jak olbrzymka mówi mężowi, że mają gości, jej syna z przyjacielem, i że powinien koniecznie zachowywać się jak przystało serdecznemu gospodarzowi i ich nie zabić.

– Dlaczego? – spytał nadąsanym tonem olbrzym.

– Ten malec to nasz syn, Tyr. Pamiętasz go przecież. Większy nazywa się Weor. Bądź dla nich miły.

– Thor? Thor, nasz nieprzyjaciel? Thor, który zabił więcej olbrzymów niż ktokolwiek inny, nawet inni olbrzymi? Thor, którego poprzysiągłem ubić, jeśli kiedykolwiek go spotkam? Thor…

– Weor – poprawiła żona, uspokajając go. – Nie Thor, Weor. To druh naszego syna i wróg twoich wrogów, więc musisz przyjąć go miło.

– Humor mi dziś nie dopisuje, a w duszy kipi gniew. Nie mam ochoty przyjmować serdecznie nikogo – odparł gromkim głosem olbrzym. – Gdzie się schowali?

– Och, za tamtą belką – odparła żona.

Thor i Tyr usłyszeli trzask, gdy belka, którą wskazała, pękła i rozpadła się w drzazgi. Po nim nastąpiła kolejna seria łomotów, to Hymir kolejno wywracał wszystkie garnki, zrzucał z powały i niszczył rondle.

– Skończyłeś już tłuc nasze rzeczy? – spytała matka Tyra.

– Chyba tak – odrzekł niechętnie Hymir.

– W takim razie zajrzyj pod ten kociołek. Ten jedyny na podłodze, którego nie rozbiłeś.

Kocioł, pod którym ukrywali się Tyr i Thor, uniósł się i nagle ujrzeli nad sobą gigantyczną twarz o rysach wykrzywionych w nadąsany grymas. Thor wiedział, że to Hymir, król olbrzymów. Jego broda przypominała las oblodzonych drzew w środku zimy, brwi – pole ostów, oddech cuchnął niczym gnijące śmieci na bagnie.

– Witaj, Tyrze – rzekł Hymir bez entuzjazmu.

– Witaj, ojcze – odparł Tyr z, jeśli to możliwe, jeszcze mniejszą radością.

– Jako goście zjecie z nami obiad. – Hymir klasnął w dłonie.

Drzwi sali otwarły się i do środka wprowadzono gigantycznego wołu o lśniącej sierści, jasnych oczach i ostrych rogach. Za nim podążał następny, jeszcze piękniejszy, a dalej trzeci, wspanialszy od obu poprzednich.

– To najdoskonalsze woły, jakie istnieją, znacznie większe i tłustsze niźli bydło z Midgardu bądź Asgardu. Przyznam – dodał Hymir – że jestem ogromnie dumny ze swego stada bydła. To mój skarb i radość mych oczu, traktuję je jak własne dzieci.

I na moment jego wykrzywiona twarz jakby złagodniała.

Babka o dziewięciuset głowach zabiła każdego wołu, oskórowała i wrzuciła do przepastnego garnka. Jego zawartość wrzała i bulgotała nad ogniem, który syczał i pryskał, a ona mieszała w nim łyżką wielką niczym dąb. Gotując, nuciła sobie

głosem tysiąca staruszek śpiewających jednocześnie ze wszystkich sił.

Wkrótce wieczerza była gotowa.

– Jesteście tu gośćmi, nie przejmujcie się ceremoniami, nabierzcie z garnka, ile tylko zjecie! – huknął wylewnie Hymir. Ostatecznie przybysze byli mali – ile mogliby zjeść? Zwłaszcza z tak wielkich wołów.

Thor odparł, że bardzo chętnie, i sam pochłonął dwa z nich, jednego za drugim, pozostawiając jedynie obgryzione do czysta kości. Potem beknął zadowolony.

– To mnóstwo strawy, Weorze – rzucił Hymir. – Miała dla nas wystarczyć na kilka dni. Nigdy nie widziałem, by ktokolwiek zdołał zjeść na jedno posiedzenie dwa moje woły, nawet olbrzym.

– Byłem głodny – odparł Thor – i trochę mnie poniosło. Posłuchaj, może jutro popłyniemy na ryby? Słyszałem, że świetny z ciebie rybak.

Hymir szczycił się swoją umiejętnością łowienia ryb.

– Jestem doskonałym rybakiem – odparł. – Możemy złapać jutrzejszą kolację.

– Ja też słynę jako świetny rybak – oznajmił Thor. W istocie nigdy nie łapał ryb, ale uznał, że to nie może być trudne.

– Spotkamy się jutro o pierwszym brzasku na pomoście – oświadczył Hymir.

Tej nocy w wielkiej sypialni Tyr zwrócił się do Thora.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

– Oczywiście, że wiem – odparł Thor, ale nie wiedział. Po prostu robił to, na co miał ochotę; to w końcu jego specjalność.

W szarym świetle przedświtu Thor spotkał się z Hymirem na pomoście.

– Powinienem cię ostrzec, mały Weorze – rzekł olbrzym – że wypłyniemy daleko na lodowate wody. Zapuszczam się dalej

w mroźne morze i zostaję dłużej, niż mogłoby tam przetrwać takie maleństwo jak ty. Włosy i brodę pokryją ci sople, ty sam posiniejesz z zimna. Zapewne umrzesz.

– To mi nie wadzi – odparł Thor. – Lubię zimno. Działa ożywczo. Co nam posłuży za przynętę?

– Ja mam już przynętę – oznajmił Hymir. – Ty musisz sam jej poszukać. Sprawdź na polu, na którym pasą się woły, w ich łajnie znajdziesz mnóstwo tłustych robaków. Przynieś stamtąd, co tylko zechcesz.

Thor spojrzał na Hymira. Miał ochotę uderzyć go młotem, ale wiedział, że wówczas nigdy nie dostanie kotła, nie bez walki. Wrócił zatem na brzeg.

Na łące ujrzał stado pięknego bydła Hymira. Na ziemi walały się gigantyczne placki łajna, ale Thor ominął je wszystkie. Zamiast tego podszedł do największego, najbardziej majestatycznego i najtłustszego z byków, uniósł pięść i rąbnął go między oczy, zabijając na miejscu.

Thor oderwał bykowi łeb, schował do worka i zaniósł nad morze.

Hymir czekał już w łodzi, odrzucił cumę i zaczął wiosłować.

Thor skoczył do zimnej wody i popłynął, wlokąc za sobą worek. Złapał się rufy odrętwiałymi palcami, a potem podciągnął na pokład, ociekając wodą morską, z rudą brodą pokrytą lodem.

– Ach – mruknął. – To bardzo przyjemne. Nic nie obudzi cię tak zimnego ranka, jak porządna rześka kąpiel.

Hymir nie odpowiedział. Thor chwycił drugą parę wioseł i zaczęli wiosłować razem. Wkrótce ziemia zniknęła im z oczu i pozostali sami pośród przestworu północnego morza. Ocean miał szary kolor, fale były wzburzone i wysokie, wokół nich zawodził wiatr, a na niebie krzyczały mewy.

Hymir przestał wiosłować.

– Tutaj będziemy łowić – oznajmił.

– Tu? – zdziwił się Thor. – Przecież ledwo wypłynęliśmy w morze. – Mocniej ujął wiosła i skierował ich na głębiny.

Łódź pomknęła po falach.

– Stój! – zagrzmiał Hymir. – Te wody są niebezpieczne! To tutaj można znaleźć Jormungundra, węża Midgardu.

Thor przestał wiosłować.

Hymir podniósł z dna łodzi dwie duże ryby, wypatroszył je ostrym rybackim nożem, flaki cisnął do morza, a potem nabił ryby na haczyki swojej linki. Wrzucił linkę do wody, zaczekał, aż zaczęła szarpać się mu w dłoniach, po czym ją wyciągnął: na końcu wisiały dwa potworne wieloryby, największe, jakie Thor kiedykolwiek oglądał. Hymir wyszczerzył zęby z dumą.

– Nieźle – przyznał Thor.

Wyjął z worka głowę wołu. Gdy Hymir ujrzał martwe oczy swego ulubieńca, jego twarz stężała.

– Mam przynętę – rzekł usłużnie Thor – przyniosłem z pola z bydłem, jak mówiłeś.

Po wielkiej twarzy Hymira przebiegały kolejne grymasy – wstrząsu, zgrozy i gniewu – ale olbrzym milczał.

Thor wziął linkę Hymira, nadział głowę wołu na hak i wrzucił do oceanu. Poczuł, jak opada na dno. Czekał.

– Łowienie ryb – zwrócił się do Hymira – polega chyba na nauce cierpliwości. Trochę to nudne, nieprawdaż? Ciekawe, co złapię na naszą wieczerzę.

I wtedy morze eksplodowało. Jormungundr, wąż Midgardu, wgryzł się w wielki łeb wołu i haczyk wbił mu się głęboko w podniebienie. Wąż zwijał się w wodzie, próbując się uwolnić.

Thor nie wypuszczał linki.

– Wciągnie nas w głębinę! – huknął ze zgrozą Hymir. – Puść tę linę!

Thor pokręcił głową. Naciągnął ją jeszcze mocniej zdecydowany nie puszczać.

Bóg gromu przebił stopami dno łodzi i zaparł się o samo dno morza, po czym zaczął ściągać Jormungundra na pokład.

Wąż pluł fontannami czarnej trucizny. Thor uskoczył i jad chybił. Bóg ciągnął dalej.

– To wąż Midgardu, głupcze! – wrzasnął Hymir. – Wypuść tę linę, bo obaj zginiemy!

Thor nie odpowiedział, nadal jednak wybierał linę ręka za ręką, wbijając wzrok w nieprzyjaciela.

– Zabiję cię – wyszeptał do węża pośród huku fal, skowytu wiatru i plusków i szarpań bestii. – Albo ty zabijesz mnie. To ci przysięgam.

Powiedział to cicho, ale mógłby przysiąc, że wąż Midgardu usłyszał, bo przygwoździł go wzrokiem, a następny strumień jadu trafił tak blisko, że Thor poczuł jego smak w morskim powietrzu. Trucizna obryzgała mu ramię, paląc wszystko, czego dotknęła.

Thor tylko zaśmiał się i znów pociągnął.

Zdawało mu się, że gdzieś w dali Hymir bełkocze coś, jęczy i krzyczy o potwornym wężu i o morzu wdzierającym się do łodzi przez dziury w dnie, i o tym, jak obaj tu zginą, w zimnym, mroźnym oceanie, jakże daleko od suchego lądu. Thora to nie obchodziło – walczył z wężem, igrał z nim, pozwalał, by wyczerpał siły, szarpiąc się i zwijając.

Zaczął wciągać linę do łodzi.

Łeb węża Midgardu znalazł się już niemal w odległości ciosu. Nie odrywając wzroku, Thor sięgnął w dół i zacisnął palce na drzewcu młota. Wiedział dokładnie, gdzie musi uderzyć, żeby zabić węża. Jeszcze jedno szarpnięcie i...

Nóż rybacki Hymira błysnął przed nim, przecinając linę. Wąż Jormungundr uniósł łeb wysoko nad łódź, a potem runął w głąb

morza.

Thor cisnął w niego młotem, ale potwór już zniknął w szarej lodowatej toni. Młot powrócił i Thor go złapał. Skupił uwagę z powrotem na tonącej łodzi. Jego towarzysz rozpaczliwie wybierał wodę z dna.

Hymir czerpał wodę, a Thor wiosłował do brzegu. Dwa złowione wcześniej przez olbrzyma wieloryby utrudniały sprawę, spowalniając go bardziej niż zwykle.

– Jest brzeg – wysapał Hymir – ale do mojego domu zostało wciąż wiele mil.

– Możemy tu wylądować.

– Tylko jeśli zgodzisz się ponieść łódź, mnie i dwa złapane przeze mnie wieloryby aż do dworu – wydyszał wyczerpany Hymir.

– Mm. No dobrze.

Thor przeskoczył przez burtę łodzi i kilka chwil później Hymir poczuł, jak ta wznosi się w powietrze. Thor dźwigał ich na grzbiecie: łódź, wiosła, Hymira i wieloryby, maszerując po żwirowej plaży.

Kiedy dotarli do dworu Hymira, opuścił łódź na ziemię.

– Proszę – rzekł. – Przyniosłem cię do domu, tak jak prosiłeś. W zamian ja także poproszę o przysługę.

– O co takiego? – spytał Hymir.

– O twój kocioł, ten wielki, w którym warzysz piwo. Chcę go pożyczyć.

– Wspaniały z ciebie rybak – odparł Hymir – i mocno wiosłujesz, ale prosisz o najlepszy piwny kocioł na świecie. Warzone w nim magicznie piwo jest najlepsze ze wszystkich piw. Mogę go pożyczyć tylko komuś, kto zdoła strzaskać kielich, z którego pijam.

– To nie wydaje się trudne – mruknął Thor.

Tego wieczoru jedli pieczone mięso wieloryba w sali pełnej olbrzymów o wielu głowach. Wszyscy krzyczeli, zaśmiewali się radośnie, a większość była pijana.

Po posiłku Hymir wysączył resztę piwa z kielicha i krzykiem nakazał ciszę, potem wręczył go Thorowi.

– Stłucz go – rzekł. – Strzaskaj kielich, a kocioł, w którym warzę piwo, będzie twój, mój dar dla ciebie. Jeśli ci się nie uda, zginiesz.

Thor skinął głową.

Olbrzymi przestali śpiewać i żartować, obserwowali go czujnie.

Fortecę Hymira wzniesiono z kamienia. Thor ujął oburącz kielich, zważył go w dłoniach, a potem cisnął z całych sił w granitowy filar, jeden z wielu podtrzymujących sklepienie sali bankietowej. Rozległ się ogłuszający huk, powietrze wypełniły kłęby oślepiającego kurzu.

Kiedy pył osiadł, Hymir wstał i podszedł do tego, co zostało z granitowego filara. Puchar przeleciał przez pierwszy, potem drugi, strzaskując je na drobniutkie kamienne odłamki. W rumowisku trzeciego filara spoczywało naczynie, nieco przykurzone, lecz nietknięte.

Hymir uniósł swój kielich nad głowę, a olbrzymi zaczęli śmiać się, wiwatować i krzywić do Thora wszystkimi twarzami, wykonując nieprzystojne gesty.

Hymir znów usiadł przy stole.

– Widzisz – powiedział do Thora. – Nie sądziłem, że starczy ci sił, byś mógł strzaskać mój puchar. – Uniósł go, a żona nalała mu piwa. Hymir pociągnął łyk. – Nie ma smaczniejszego piwa. Hej, żono, nalej go jeszcze swojemu synowi i jego przyjacielowi Woerowi. Niech skosztują najlepszego piwa, jakie istnieje, i smucą się, że nie będą mogli zabrać ze sobą mojego kotła i że nigdy już nie spróbują równie dobrego trunku. Winni się też

smucić, bo muszę zabić Weora, jako że mój puchar pozostał nietknięty.

Thor usiadł przy stole obok Tyra i podniósł bryłkę przypalonego wielorybiego mięsa, żując ją z niechęcią. Olbrzymi zaśmiewali się i krzyczeli, nie zwracając na niego uwagi.

Matka Tyra pochyliła się, by napełnić piwem puchar Thora.

– Wiesz – powiedziała cicho – mój mąż ma bardzo twardą głowę. Jest uparty i zawzięty.

– To samo mówią o mnie – odparł Thor.

– Nie – rzekła, jakby zwracała się do małego dziecka. – On ma bardzo twardą głowę. Dość twardą, by strzaskać nawet najmocniejszy kielich.

Thor wysączył piwo. Istotnie, było to najlepsze piwo, jakiego kiedykolwiek kosztował. Wstał i podszedł do Hymira.

– Mogę spróbować jeszcze raz? – spytał.

Olbrzymi zebrani w sali wybuchnęli śmiechem, a żaden z nich nie śmiał się głośniej od Hymira.

– Oczywiście, że możesz – odparł król.

Thor chwycił puchar, odwrócił się twarzą do kamiennej ściany, ponownie zważył kielich w dłoniach raz, drugi, po czym odwrócił się szybko na pięcie i roztrzaskał naczynie o czoło gospodarza.

Odłamki pucharu posypały się deszczem na kolana Hymira.

I wtedy w sali zapadła cisza, cisza, którą zakłócił jedynie dziwny dźwięk. Thor rozejrzał się, sprawdzając, co go wydaje, a kiedy znów skupił wzrok na gospodarzu, odkrył, że trzęsą mu się ramiona. Olbrzym płakał, szlochając głośno, donośnie.

– Mój największy skarb już do mnie nie należy – wykrztusił. – Zawsze mogłem polecić, by uwarzył mi piwo, i kocioł wypełniał się magicznym trunkiem. Nigdy już nie powiem: nawarz mi piwa, mój kotle.

Thor milczał.

Hymir odwrócił się do Tyra.

– Jeśli go chcesz, pasierbie – rzucił z goryczą – to zabierz go sobie. Jest wielki i ciężki. Żeby go ponieść, trzeba ponad tuzina olbrzymów. Myślisz, że starczy ci sił?

Tyr podszedł do kotła, spróbował go podnieść raz, drugi, ale nawet dla niego okazał się zbyt ciężki. Popatrzył na Thora. Ten wzruszył ramionami, chwycił kocioł za krawędź i odwrócił tak, że znalazł się wewnątrz, a uchwyty brzęczały mu przy stopach. A potem kocioł z Thorem w środku zaczął sunąć wprost do drzwi, podczas gdy w całej sali olbrzymi gapili się na niego, rozdziawiając usta.

Hymir już nie płakał. Tyr zerknął na niego.

– Dziękuję za kocioł – powiedział, a potem, pilnując, by ów ciężar cały czas oddzielał go od króla olbrzymów, on także wymknął się z sali.

Thor i Tyr bez przeszkód opuścili razem zamek, odwiązali kozły Thora i wsiedli do wozu. Thor wciąż dźwigał na grzbiecie kocioł. Kozły biegły najszybciej, jak mogły, ale o ile Trzaskacz mknął chyżo i prosto mimo wielkiego ciężaru, to Zgrzytacz kuśtykał i chwiał się. Niegdyś złamano mu nogę, by wyjeść szpik. Thor ją nastawił, ale kozioł nigdy nie odzyskał już pełni sił.

Teraz w biegu meczał z bólu.

– Nie możemy jechać szybciej? – spytał Tyr.

– Spróbujmy – odparł Thor i zaczął chłostać kozły, tak że jeszcze przyśpieszyły.

Tyr obejrzał się za siebie.

– Nadchodzą – oznajmił. – Olbrzymi nadchodzą.

Istotnie, zbliżali się z Hymirem zamykającym pochód i poganiającym ich naprzód: wszyscy olbrzymi z tej części świata, stado gigantów o wielu głowach, stworów z pustkowi,

pokręconych i morderczo groźnych. Olbrzymia armia zdecydowana odzyskać swój kocioł.

– Szybciej! – rzucił Tyr.

To wtedy kozioł zwany Zgrzytaczem potknął się i upadł, wyrzucając ich z wozu.

Thor dźwignął się z ziemi, potem zrzucił z grzbietu kocioł i wybuchnął śmiechem.

– Dlaczego się śmiejesz? – zdumiał się Tyr. – Są ich setki.

Thor zważył w dłoni Mjollnira, swój młot.

– Nie złapałem i nie zabiłem węża. Nie tym razem. Ale setka olbrzymów niemal mi to wynagradza.

Metodycznie, z entuzjazmem, Thor zaczął kolejno zabijać olbrzymów z pustkowi, aż w końcu ziemia spłynęła czernią i czerwienią ich krwi. Tyr walczył jedną ręką, ale spisywał się dzielnie i tego dnia wielu olbrzymów padło pod jego ciosami.

Kiedy skończyli i wszyscy olbrzymi zginęli, Thor przykucnął obok Zgrzytacza, swojego rannego kozła i pomógł mu wstać. Zwierzę pokuśtykało naprzód, a bóg przeklął Lokiego, bo kalectwo kozła było jego sprawką. Nie znaleźli Hymira wśród poległych i Tyr poczuł ulgę, nie chciał bowiem przydawać kolejnych trosk swojej matce.

Thor zaniósł kocioł do Asgardu, na miejsce spotkań bogów.

Razem zabrali go do Egira.

– Proszę – rzekł Thor – kocioł dość duży dla nas wszystkich.

Morski olbrzym westchnął.

– Istotnie, to dokładnie to, o co prosiłem. Doskonale, wkrótce w moim dworze odbędzie się jesienna uczta dla wszystkich bogów.

I rzeczywiście dotrzymał słowa. Od tego czasu co roku po zakończeniu żniw bogowie piją jesienne piwo, najlepsze ze wszystkich piw świata, we dworze morskiego olbrzyma.

Śmierć Baldera

I

Nie ma na tym świecie niczego, co nie kochałoby słońca. Słońce daje nam ciepło i życie; topi mordercze śniegi i lody zimy; sprawia, że wzrastają rośliny i kwitną kwiaty. To słońcu zawdzięczamy długie letnie wieczory, kiedy ciemność nigdy nie zapada. Słońce ratuje nas przed mroźnymi dniami zimy, kiedy ciemność ustępuje na zaledwie parę godzin, a ono samo jest zimne i odległe niczym blade oko trupa.

Oblicze Baldera jaśniało niczym słońce: był tak piękny, że rozświetlał każde miejsce, w którym się znalazł. Balder, drugi syn Odyna, cieszył się miłością ojca i wszystkiego, co żyje. Był najmądrzejszym, najłagodniejszym i najbardziej wymownym z Asów. Kiedy wygłaszał swój osąd, wszyscy dokoła podziwiali jego mądrość i sprawiedliwość. Jego dom zwany Breidablik był ośrodkiem radości, muzyki i wiedzy.

Żona Baldera miała na imię Nanna, on zaś kochał ją i tylko ją. Ich syn, Forsete, wyrastał na równie mądrego sędziego jak ojciec. Życie Baldera i otaczający go świat pozostawały doskonałe, z wyjątkiem jednego.

Balder miał złe sny.

Śnił o końcu świata, o tym, jak wilk pożera słońce i księżyc. Śnił o bólu i śmierci bez kresu. Śnił o ciemności, o uwięzieniu. W jego snach bracia zabijali braci i nikt nie mógł zaufać

nikomu. W jego snach na świecie nastawał nowy wiek, wiek burz i mordów. Balder budził się z tych snów zlany łzami i udręczony ponad wszelkie opisanie.

Poszedł zatem do bogów i opowiedział im o swych snach. Nikt z nich nie wiedział, jak je zrozumieć, i poruszyły one ich wszystkich, z wyjątkiem jednego.

Kiedy Loki usłyszał opowieść Baldera o snach, uśmiechnął się.

Odyn postanowił odnaleźć przyczynę nocnych koszmarów syna. Przywdział zatem szary płaszcz i szerokoskrzydły kapelusz, a gdy ludzie pytali go o imię, mówił, że zwie się Wędrowcem, synem Wojownika. Nikt nie znał odpowiedzi na jego pytania, opowiedzieli mu jednak o wieszczce, mądrej niewieście, która rozumie wszelkie sny. Mogłaby mu pomóc, dodali, tyle że już od dawna nie żyje.

Na końcu świata leżał grób owej wieszczki, za nim na wschodzie rozciągała się kraina umarłych, którzy nie zginęli w bitwie. Rządziła nią Hel, córka Lokiego z olbrzymką Angrbodą.

Odyn skierował się na wschód i zatrzymał dopiero przy grobie. Wszechojciec był najmędrszy ze wszystkich Asów, oddał też oko, by zdobyć jeszcze większą mądrość.

Stanął przy grobie na końcu świata i w miejscu tym przywołał najmroczniejsze runy, wzywając stare, z dawna zapomniane moce. Potem coś spalił, coś powiedział, rzucił urok i wykrzyczał żądanie. Sztormowy wiatr smagał mu twarz, a potem ucichł i po drugiej stronie ognia naprzeciw Odyna stanęła kobieta, której twarz skrywał cień.

– Odbyłam ciężką podróż z krainy umarłych – oznajmiła. – Leżę tu pogrzebana od tak dawna, padał na mnie deszcz i śnieg. Nie znam cię, o mężu, który mnie przywołałeś. Jak cię zowią?

– Zwą mnie Wędrowcem – odparł Odyn. – Mym ojcem był Wojownik. Przekaż mi wieści z Hel.

Nieżyjąca wieszczka przyjrzała mu się.

– Balder wkrótce do nas przybędzie – oznajmiła. – Warzymy dla niego miód. W górnym świecie zapanuje rozpacz, ale w świecie umarłych powitamy go z radością.

Odyn spytał ją, kto zabije Baldera, i odpowiedź nim wstrząsnęła. Spytał następnie, kto pomści jego śmierć, i jej odpowiedź go zdumiała. Spytał, kto będzie opłakiwał Baldera, a ona spojrzała na niego ponad własnym grobem, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Nie jesteś Wędrowcem – rzekła, jej martwe oczy błysnęły, twarz przybrała dziwny wyraz. – Tyś jest Odyn, który ofiarował się samemu sobie jakże dawno temu.

– A ty nie jesteś wieszczką, tylko tą, która za życia zwała się Angrboda, kochanicą Lokiego, matką Hel, Jormungundra, węża Midgardu, i Fenrira wilka – odparł Odyn.

Martwa olbrzymka uśmiechnęła się.

– Wracaj do domu, mały Odynie – rzekła. – Uciekaj, wracaj do swego dworzyszcza. Nikt więcej nie przybędzie do mnie, póki mój mąż Loki nie wyzwoli się z więzów i nie powróci tu, a wówczas nastanie Ragnarök, zmierzch bogów, który zniszczy wszystko.

A potem za grobem nie pozostało już nic prócz cieni.

Odyn odszedł z ciężkim sercem. Miał wiele do przemyślenia. Nawet bogowie nie mogą zmienić przeznaczenia, jeśli więc miał ocalić Baldera, wiedział, że musi uczynić to przebiegle i będzie potrzebował pomocy. Jeszcze jedno, o czym powiedziała martwa olbrzymka, nie dawało mu spokoju.

Dlaczego mówiła o Lokim wyzwalającym się z więzów? – zastanowił się Odyn. Loki nie został uwięziony. A potem pomyślał: jeszcze nie.

II

Odyn nie zdradzał swoich sekretów, powiedział jednak Frigg, swej żonie, matce bogów, że sny Baldera kryją w sobie prawdę i że są tacy, którzy chcieliby skrzywdzić jej ulubionego syna.

Frigg zastanowiła się, a w końcu rzekła, praktyczna jak zawsze:

– Nie wierzę. Nie uwierzę w to. Nie istnieje nic, co nie znosi słońca i niesionego przez nie ziemi ciepła i życia. Tak samo nic nie może nienawidzieć mego syna, Baldera Pięknego. – Po czym ruszyła w drogę, by tego dopilnować.

Wędrowała po ziemi, żądając od wszystkiego, co napotkała na swej drodze, przysięgi, że nigdy nie skrzywdzi Baldera Pięknego. Rozmawiała z ogniem, a on przyrzekł, że go nie spali. Woda przysięgła, że go nie utopi; żelazo go nie skaleczy, ni żaden inny metal. Kamienie przyrzekły nigdy nie obić mu skóry. Frigg rozmawiała z drzewami, ze zwierzętami, z ptakami i ze wszystkim, co pełza, fruwa bądź biega, a każda z istot przyrzekała, że jej pobratymcy nigdy nie skrzywdzą Baldera. Drzewa, każde po kolei – dąb i jesion, sosna i buk, brzoza i świerk – zgodziły się, że ich drewno nie posłuży do zranienia Baldera. Frigg przywołała choroby i rozmówiła się z nimi, a każda z chorób i słabości, które krzywdzą bądź ranią ludzi, zgodziła się, że i ona oszczędzi Baldera.

Nie było niczego dość małego, by Frigg nie pochyliła się nad tym, prócz jednej jemioły, pozbawionej korzeni rośliny, która żyje na innych drzewach. Wydała jej się zbyt mała, zbyt młoda, zbyt nieważna, toteż bogini ją pominęła.

A kiedy wszystko poprzysięgło już, że nie skrzywdzi jej syna, Frigg powróciła do Asgardu.

– Balder jest bezpieczny – poinformowała Asów. – Nic go nie zrani.

Wszyscy wątpili w jej słowa, nawet Balder. Frigg zatem podniosła kamień i cisnęła nim w syna. Kamień go ominął.

Balder roześmiał się radośnie i świat pojaśniał, jakby słońce wyszło zza chmur. Bogowie uśmiechnęli się, po czym kolejno zaczęli rzucać swą bronią w Baldera i każdy z nich patrzył ze zdumieniem i podziwem, jak miecze go nie dotykają, włócznie nie przebijają ciała.

Wszyscy bogowie czuli radość i ulgę. W całym Asgardzie tylko dwie twarze nie jaśniały radością.

Loki nie uśmiechał się ani się nie śmiał. Patrzył, jak bogowie rąbią Baldera toporami i mieczami, zrzucają mu na głowę olbrzymie skały, próbują go uderzyć wielkimi, sękatymi, drewnianymi maczugami i zaśmiewają się, gdy miecze, skały i topory unikają Baldera bądź dotykają go niczym łagodne piórka. W końcu zatopiony w ponurych myślach wśliznął się w cień.

Drugą osobą był brat Baldera, Hod, ślepiec.

– Co się dzieje? – pytał ślepy Hod. – Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, co się dzieje?

Ale nikt z nim nie rozmawiał. Hod słuchał odgłosów zabaw i radości i żałował, że nie jest ich częścią.

– Musisz być bardzo dumna ze swego syna – rzekła miła kobieta do Frigg. Bogini nie rozpoznała niewiasty, ale tamta uśmiechała się promiennie, patrząc na Baldera, a Frigg rzeczywiście była z niego dumna. Ostatecznie wszyscy go kochali. – Ale czy ktoś z nich nie zrani biedaka? Obrzucają go przecież różnymi rzeczami? Na miejscu jego matki bałabym się o syna.

– Nie zrobią mu krzywdy – odparła Frigg. – Żadna broń nie zrani Baldera. Żadna choroba, kamień ni drzewo. Każde z nich złożyło mi przysięgę, że go nie skrzywdzi.

– To dobrze – powiedziała miła niewiasta. – Cieszę się. Czy jednak na pewno niczego nie pominęłaś?

– Ani jednej rzeczy – rzekła Frigg. – Rozmawiałam ze wszystkimi drzewami. Jedyna roślina, którą nie zaprzątałam sobie głowy, to jemioła: pasożyt żyjący na dębach na zachód od Walhalli. Jest jednak zbyt młoda i zbyt mała, by kogokolwiek skrzywdzić. Nie da się zrobić pałki z jemioły.

– No proszę, proszę – mruknęła miła niewiasta. – Jemioła, co? Cóż, prawdę mówiąc, ja też nie zawracałabym nią sobie głowy. Jest za wiotka.

Miła kobieta zaczęła kojarzyć się Frigg z kimś znajomym, ale nim bogini zdążyła przypomnieć sobie z kim, Tyr uniósł zdrową lewą ręką olbrzymi głaz, dźwignął wysoko nad głowę i cisnął nim w pierś Baldera. Głaz rozpadł się w pył, nim dotknął świetlistego boga.

Kiedy Frigg odwróciła się z powrotem, by pomówić z miłą niewiastą, ta już zniknęła i Frigg nie myślała więcej o tym spotkaniu. Nie wtedy.

Loki we własnej postaci wyruszył na zachód od Walhalli. Przystanął przy rozłożystym dębie. Tu i tam zwisały z niego ciężkie pęki zielonych liści jemioły i białych jagód. Zestawione z ogromem dębu wyglądały jeszcze niepozorniej. Rosły wprost na jego korze. Loki obejrzał jagody, łodyżki i liście. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie otruć Baldera jagodami jemioły, uznał jednak, że to zbyt proste i oczywiste.

Jeśli ma zrobić krzywdę Balderowi, to przy okazji skrzywdzi też jak najwięcej innych.

III

Ślepy Hod stał z boku, słuchając zabaw i krzyków radości i zdumienia dobiegających z błoni. Westchnął. Choć niewidomy, był jednym z najsilniejszych bogów. Zazwyczaj Balder pilnował, by uwzględniano go w zabawach. Tym razem jednak nawet brat o nim zapomniał.

– Masz smutną minę – usłyszał znajomy głos. Należał do Lokiego.

– Ciężko mi, Loki. Wszyscy tak dobrze się bawią. Słyszę ich śmiechy. A Balder, mój ukochany brat, sprawia wrażenie takiego szczęśliwego. Chciałbym po prostu być tego częścią.

– Zaraz temu zaradzimy, to najłatwiejsze pod słońcem – rzekł Loki. Hod nie widział wyrazu jego twarzy, ale głos brzmiał życzliwie, przyjaźnie, a wszyscy bogowie wiedzieli, że Loki jest bardzo sprytny. – Wyciągnij rękę.

Hod posłuchał. Loki włożył coś w nią i zacisnął wokół tego palce boga.

– To mała drewniana strzałka, którą sam zrobiłem. Podprowadzę cię blisko Baldera i ustawię naprzeciw niego, a ty ciśniesz nią najmocniej, jak potrafisz. Rzuć z całych sił. A potem wszyscy bogowie będą się śmiać, a Balder ujrzy, że nawet jego ślepy brat wziął udział w dniu jego tryumfu.

Loki przeprowadził Hoda przez tłum w stronę centrum zamieszania.

– Tutaj – rzekł. – To dobre miejsce. Zatrzymaj się, a kiedy ci powiem, ciśnij strzałką.

– To tylko mała strzałka – mruknął z żalem Hod. – Wolałbym rzucić włócznią albo głazem.

– Mała strzałka w zupełności wystarczy – odparł Loki. – Czubek ma dość ostry. A teraz rzucaj, tak jak mówiłem.

Ich uszy wypełnił potężny śmiech, a potem wiwaty: to pałka zrobiona z sękatego drewna ciernistych krzaków, naszpikowana ostrymi żelaznymi gwoździami, pomknęła

wprost w stronę Baldera kierowana dłonią Thora. W ostatniej chwili śmignęła w górę i przeleciała mu nad głową, a Thor podskoczył, jakby tańczył. Wyglądało to niezwykle komicznie.

– Teraz! – wyszeptał Loki. – Teraz, gdy wszyscy się śmieją.

Hod cisnął strzałką z jemioły, tak jak mu kazano. Spodziewał się usłyszeć śmiechy i wiwaty. Nikt jednak się nie śmiał, nikt nie wiwatował. Zapadła cisza. Potem usłyszał jęki i ciche pomruki.

– Dlaczego nikt mnie nie oklaskuje? – spytał ślepy Hod. – Rzuciłem strzałką, to nic wielkiego ani ciężkiego, ale musieliście to widzieć. Balderze, bracie mój, czemu się nie śmiejesz?

I wtedy usłyszał zawodzenie, wysokie, przejmujące, straszne, i poznał ów głos. To krzyczała jego matka.

– Balderze, synu mój! Och, Balderze, o mój synu! – zawodziła.

I wówczas Hod pojął, że jego strzałka trafiła.

– Jakież to straszne i jakie smutne. Zabiłeś własnego brata – powiedział Loki, jednak w jego głosie nie dźwięczał żal. Zupełnie nie sprawiał wrażenia zasmuconego.

IV

Balder leżał martwy, przebity strzałką z jemioły. Bogowie zebrali się wokół, płacząc i szarpiąc odzienie. Odyn nie dołączył do nich, powiedział tylko:

– Nikomu nie wolno mścić się na Hodzie. Jeszcze nie. Nie tutaj. Nie w tej chwili. Jesteśmy w miejscu świętego pokoju.

– Kto spośród was chce zyskać moje względy – spytała Frigg – i udać się do Hel? Może zgodzi się odesłać Baldera na ten świat. Nawet Hel nie mogłaby być tak okrutna, by go zatrzymać... – Zastanawiała się chwilę. W końcu Hel była córką Lokiego. – I zaofiarujemy jej okup, żeby tylko zwróciła nam Baldera. Czy

znajdzie się ktoś, kto zechce wyprawić się do jej królestwa? Może już nie wrócić.

Bogowie spojrzeli po sobie, a potem jeden z nich uniósł rękę. Był to Hermod, zwany Zręcznym, dworzanin Odyna, najszybszy i najodważniejszy z młodych bogów.

– Ja udam się do Hel – oznajmił. – I sprowadzę z powrotem pięknego Baldera.

Przyprowadzili mu Sleipnira, wierzchowca Odyna, ośmionogiego konia. Hermod dosiadł go, szykując się do długiej jazdy w dół i w dół, by powitać Hel w jej wyniosłym dworze, który odwiedzają jedynie umarli.

Podczas gdy jechał w ciemność, bogowie przygotowali pogrzeb Baldera. Zabrali jego ciało i złożyli na pokładzie Hringborna, jego statku. Chcieli zepchnąć go w morze i podpalić, ale nie mogli oderwać go od brzegu. Choć wszyscy napinali się i ciągnęli, nawet Thor, okręt wciąż stał bez ruchu. Tylko Balder mógł poruszyć swój statek, a teraz nie żył.

Bogowie posłali po olbrzymkę Hyrrokkin, która przybyła do nich, dosiadając gigantycznego wilka, a za wodze służyły jej węże. Poszła na dziób statku Baldera i pchnęła z całych sił; poruszyła go, ale jej pchnięcie okazało się tak gwałtowne, że kłody, na których spoczywał, stanęły w ogniu, ziemia się zatrzęsła, a fale wzniosły wysoko.

– Powinienem ją zabić – mruknął Thor, wciąż urażony po tym, że sam nie zdołał poruszyć statku, i chwycił trzonek swego młota Mjollnira. – Nie okazała szacunku.

– Nie zrobisz niczego takiego – zaprotestowali pozostali bogowie.

– Nie jestem zadowolony – oznajmił Thor. – Muszę wkrótce kogoś zabić, żeby rozładować napięcie. Zobaczycie.

Czterech bogów zabrało ciało Baldera na plażę; osiem nóg przeniosło go obok zebranego tam tłumu. Na czele żałobników

stał Odyn, na którego ramionach przysiadły dwa kruki. Za nim tłoczyły się walkirie i Asowie. Na pogrzeb Baldera przybyli też lodowi i górscy olbrzymi, a nawet karły, zręczni rzemieślnicy spod ziemi, bo wszystko, co istnieje, opłakiwało jego śmierć.

Gdy żona Baldera, Nanna, ujrzała niesione obok ciało męża, zakrzyknęła boleśnie i serce pękło jej w piersi. Runęła martwa na brzeg. Bogowie ponieśli ją na stos pogrzebowy i złożyli obok Baldera. W geście szacunku Odyn rzucił na stos swoją bransoletę, Draupnir, tę samą cudowną ozdobę wykutą dla niego przez karłów, Brokka i Eitriego, która co dziewięć dni obdarzała go ośmioma klejnotami równie wspaniałej czystości i urody. A potem Odyn wyszeptał sekret do martwego ucha syna i nikt prócz niego i samego Baldera nie wie, co wówczas powiedział.

Do stosu podprowadzono w pełni osiodłanego konia Baldera i złożono w ofierze, by mógł nosić swego pana w przyszłym świecie.

W końcu bogowie podpalili stos. Płomienie wystrzeliły w górę, pochłaniając ciała Baldera i Nanny, a także konia i cały dobytek.

Zwłoki Baldera jaśniały niczym słońce.

Thor stanął przed stosem, unosząc wysoko Mjollnira.

– Uświęcam ten stos! – wykrzyknął, zerkając ukradkiem niechętnie na olbrzymkę Hyrrokkin, która, jak uważał, nie sprawiała wrażenia stosownie uniżonej i pełnej szacunku.

Lit, jeden z karłów, stanął przed Thorem, by lepiej widzieć stos. Bóg, rozdrażniony, kopniakiem posłał go w sam środek płomieni. Poczuł się po tym nieco lepiej, czego zdecydowanie nie można powiedzieć o karle.

– To mi się nie podoba – rzucił Thor z irytacją. – Ani trochę mi się nie podoba. Mam nadzieję, że Hermod Zręczny załatwi

sprawę z Hel. Im szybciej Balder powróci do grona żywych, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

V

Hermod Zręczny jechał bez przystanku dziewięć dni i dziewięć nocy. Pędził coraz dalej w gęstniejącą ciemność: od półmroku do zmierzchu, po noc, aż po najczarniejszą bezgwiezdną północ. W ciemności widział tylko coś złocistego, błyskającego daleko przed nim.

Im bardziej się zbliżał, tym światło stawało się jaśniejsze. To było złoto, strzecha mostu nad rzeką Gjaller, przez którą muszą się przeprawić wszyscy umarli.

Hermod ściągnął wodze Sleipnira, tak że koń zwolnił do stępa i razem wstąpili na most, który drżał i dygotał od ich kroków.

– Jak masz na imię? – spytał kobiecy głos. – Kim są twoi krewni? Co robisz w krainie umarłych?

Hermod milczał.

Dotarłszy na drugi koniec mostu, ujrzał stojące tam dziewczę. Nieznajoma była blada i bardzo piękna, spojrzała na niego, jakby nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziała. Na imię miała Modgud i strzegła mostu.

– Wczoraj przez ten most przeprawiło się dość martwych mężów, by zapełnić pięć królestw, ale ty sam sprawiłeś, że trząsł się i drżał bardziej niż wtedy, choć nie dało się zliczyć ich i ich koni. Pod twoją skórą widzę czerwoną krew. Swą barwą nie przypominasz umarłych: oni są szarzy i zieleni, biali i sini. Twoja skóra kryje pod sobą życie. Kim jesteś? Po co przybyłeś do Hel?

– Jestem Hermod – odparł – syn Odyna. Przyjeżdżam do Hel na wierzchowcu Odyna, by znaleźć Baldera. Widziałaś go może?

– Nikt, kto go widział, nigdy tego nie zapomni – odparła. – Balder Piękny przeprawił się przez ten most dziewięć dni temu i skierował wprost do dworu Hel.

– Dziękuję ci – powiedział Hermod. – Zatem i ja muszę się tam udać.

– Droga doń wiedzie na północ i w dół – wyjaśniła. – Zawsze jedź w dół i kieruj się na północ. Tam znajdziesz bramę Hel.

Hermod ruszył naprzód. Jechał na północ, podążając ścieżką w dół, aż w końcu ujrzał przed sobą wysoki, potężny mur i bramy Hel, wyższe od najroślejszych drzew. Wówczas zsiadł z konia, mocniej zapiął popręg, znów wskoczył na siodło i trzymając się go mocno, popędził Sleipnira, by galopował coraz szybciej i szybciej, aż w końcu skoczył wyżej i dalej niż jakikolwiek koń przed nim i po nim. Przemknął nad bramą Hel i wylądował bezpiecznie po drugiej stronie, w jej królestwie, którego nie może odwiedzić nikt żyjący.

Hermod podjechał do wielkiego dworzyszcza umarłych, zeskoczył z wierzchowca i wszedł do środka.

Balder, jego brat, zasiadał u szczytu stołu, na honorowym miejscu. Był blady, jego skóra miała kolor szarego dnia pozbawionego słońca. Siedział tam i pił miód Hel, jadł jej strawę. Gdy ujrzał Hermoda, poprosił, by ten zajął miejsce obok niego i spędził wieczór przy stole. Po drugiej stronie Baldera zasiadała Nanna, jego żona, obok wyraźnie poirytowany karzeł imieniem Lit.

W świecie Hel słońce nigdy nie wschodzi i dzień nigdy się nie zaczyna.

Hermod spojrzał na drugi koniec sali i ujrzał kobietę osobliwej urody. Prawa strona jej ciała miała barwę zdrowej

skóry, lewa była ciemna i przegniła jak u tygodniowego trupa, na jakiego czasem natrafiamy wiszącego w lesie bądź zamarzniętego w śniegu, i Hermod pojął, że to Hel, córka Lokiego, której Wszechojciec powierzył władzę nad krainą umarłych.

– Przybywam po Baldera – oznajmił. – Przysłał mnie sam Odyn. Wszystko, co istnieje, opłakuje jego śmierć. Musisz go nam oddać.

Hel nie zareagowała. Patrzyła na Hermoda jednym zielonym okiem i jednym zamkniętym, martwym.

– Jestem Hel – odparła z prostotą. – Martwi przybywają do mnie i nie powracają już do krain nad nami. Dlaczego miałabym wypuścić Baldera?

– Wszystko, co żyje, go opłakuje, jego śmierć łączy nas wszystkich w nieszczęściu, bogów i lodowych olbrzymów, karłów i elfy. Opłakują go zwierzęta i drzewa. Nawet metal płacze. Kamienie śnią o tym, że dzielny Balder powróci do krain znających słońce. Wypuść go.

Hel milczała. Obserwowała Baldera swymi odmiennymi oczami, w końcu westchnęła.

– To najpiękniejsza i chyba najlepsza istota, jaka kiedykolwiek przybyła do mego królestwa. Jeśli jednak rzeczywiście jest tak, jak mówisz, jeżeli wszystko opłakuje Baldera i wszystko go kocha, zwrócę go wam.

Hermod rzucił jej się do stóp.

– To bardzo szlachetne z twojej strony. Dziękuję! Dziękuję, o wielka królowo!

Spojrzała na niego z góry.

– Wstań – poleciła. – Nie powiedziałam, że go odeślę. To twoje zadanie, Hermodzie. Idź i spytaj ich wszystkich: bogów i olbrzymów, kamienie i rośliny. Spytaj każdego. Jeżeli wszystko na tym świecie istotnie go opłakuje i chce, by powrócił, odeślę

Baldera Asom i oddam go słońcu. Gdyby jednak choć jedna istota nie zapłakała bądź przemówiła przeciw niemu, zostanie ze mną na zawsze.

Hermod zerwał się z ziemi. Balder wyprowadził go z sali i dał mu bransoletę Odyna, Draupnir, by zwrócił ją ojcu na dowód, że faktycznie odwiedził Hel. Nanna przekazała mu płócienną szatę dla Frigg i złoty pierścień dla Fulli, dwórki królowej. Lit tylko skrzywił się i wykonał obelżywy gest.

Hermod wgramolił się z powrotem na grzbiet Sleipnira. Tym razem bramy Hel stały przed nim otworem, pomknął zatem z powrotem, przejechał przez most i w końcu znów ujrzał światło dnia.

W Asgardzie Hermod zwrócił Draupnir Odynowi Wszechojcu i opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło i co widział.

Podczas jego pobytu w podziemiu Odyn spłodził syna, by ten zastąpił Baldera: syna owego imieniem Wali urodziła Odynowi bogini Rind. Dziecko jeszcze nim skończyło jeden dzień, znalazło i zabiło Hoda. I tak śmierć Baldera została pomszczona.

VI

Asowie rozesłali posłańców po całym świecie. Posłańcy owi pędzili jak wiatr i pytali każdą napotkaną rzecz, czy opłakuje Baldera, by ten mógł uwolnić się ze świata Hel. Kobiety szlochały, podobnie mężowie, dzieci i zwierzęta. Ptaki w powietrzu łkały z żalu za Balderem, tak samo ziemia, drzewa, kamienie – nawet metale napotkane przez posłańców płakały, tak jak miecz z zimnego żelaza płacze, gdy przenieść go z mrozu na słońce i ciepło.

Wszystko opłakiwało Baldera.

Posłańcy wracali już ze swej misji przepełnieni tryumfem i radością. Wkrótce Balder powróci do Asów.

Odpoczęli na górze, na skalnej półce obok jaskini, tam posilili się, wypili miód i zaśmiali ze swoich żartów.

– Co się dzieje? – dobiegł głos z wnętrza jaskini i wyłoniła się z niego stara olbrzymka. Było w niej coś znajomego, ale żaden z posłańców nie miał pewności kto to. – Jestem Thokk – oznajmiła. Słowo to oznaczało „wdzięczność". – Skąd się tu wzięliście?

– Spytaliśmy wszystko, co istnieje, czy opłakuje Baldera, który odszedł, pięknego Baldera, zabitego przez ślepego brata, każdy z nas bowiem tęskni za nim, tak jak tęsknilibyśmy za słońcem, gdyby więcej nie wzeszło. I każdy z nas go opłakuje.

Olbrzymka podrapała się po nosie, odchrząknęła i splunęła na skałę.

– Stara Thokk nie będzie płakać za Balderem – oznajmiła szorstko. – Żywy czy martwy, syn starego Odyna nie dał mi nic prócz trosk i utrapień. Cieszę się, że umarł. Dobrze, że wreszcie pozbyliśmy się go jak starych śmieci. Niech Hel go zatrzyma.

A potem, szurając nogami, odeszła w ciemność swej jaskini i zniknęła im z oczu.

Wysłańcy powrócili do Asgardu i opowiedzieli bogom, co widzieli, i że ich misja się nie powiodła, istnieje bowiem jedna istota, która nie płacze za Balderem i nie pragnie jego powrotu: stara olbrzymka w jaskini na górze.

I wtedy pojęli, kogo przypominała im stara Thokk: poruszała się i mówiła zupełnie jak Loki, syn Laufey.

– Spodziewam się, że w istocie był to Loki w przebraniu – mruknął Thor. – Oczywiście, że to Loki. To zawsze jest Loki.

Thor zważył w dłoni swój młot Mjollnir i zebrał grupę bogów, by ruszyć na poszukiwanie Lokiego i wywrzeć na nim zemstę. Ale przebiegły mąciciel gdzieś zniknął. Ukrywał się daleko od

Asgardu, radując się własną przebiegłością i czekając, aż zamieszanie ucichnie.

Ostatnie dni Lokiego

I

Balder nie żył, a bogowie wciąż opłakiwali tę stratę. Byli smutni, z nieba padał niekończący się szary deszcz, a ze świata zniknęła radość.

Loki, kiedy powrócił z jednej ze swych wypraw do odległych krain, nie zamierzał okazywać skruchy.

Nadeszła pora jesiennej uczty we dworze Egira, gdzie zbierają się bogowie i elfy, by pić świeżo uwarzone piwo morskiego olbrzyma, przygotowane w kotle, który Thor dawno temu przydźwigał z krainy olbrzymów.

Był tam też Loki. Wypił za dużo piwa Egira i w piciu przekroczył granice radości, śmiechu i sztuczek, osuwając się w posępny mrok. Kiedy usłyszał, jak bogowie wychwalają sługę Egira, Fimafenga, za jego zręczność i pracowitość, zerwał się zza stołu i pchnął go nożem, zabijając na miejscu.

Przerażeni bogowie wypędzili Lokiego z sali bankietowej w ciemność.

Mijał czas. Uczta trwała dalej, ale nastrój się popsuł.

Nagle doszło do zamieszania przy drzwiach, a kiedy bogowie i boginie odwrócili się, sprawdzając, co się dzieje, odkryli, że Loki powrócił. Stał w wejściu do sali, patrząc na nich ze złośliwym uśmiechem na ustach.

– Nie jesteś tu mile widziany – oznajmili.

Loki puścił ich słowa mimo uszu. Podszedł do miejsca, gdzie zasiadał Odyn.

– Wszechojcze, dawno, dawno temu zmieszaliśmy swą krew, czyż nie?

Odyn przytaknął.

– Istotnie.

Loki uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Czyż nie przysiągłeś wówczas, o wielki Odynie, że zgodzisz się pić podczas uczty tylko wtedy, gdy Loki, twój zaprzysiężony brat krwi, wypije z tobą?

Zdrowe szare oko Odyna spojrzało wprost w zielone oczy Lokiego, i to Odyn pierwszy odwrócił wzrok.

– Pozwólcie ojcu wilka ucztować z nami – rzekł szorstko Wszechojciec i polecił swemu synowi Widarowi, by się odsunął, robiąc miejsce dla Lokiego u jego boku.

Loki wyszczerzył zęby ze złośliwą radością, zażądał więcej piwa Egira i wychylił je szybko.

Tej nocy kolejno obrażał bogów i boginie. Bogom mówił, że są tchórzami, boginie nazwał łatwowiernymi ladacznicami. Każdemu wyzwisku towarzyszyło dość prawdy, by zadało ból. Mówił, że są głupcami, przypominał o dawnych wybrykach, które bezpieczniej zapomnieć. Drwił, szydził, przywoływał skandale z przeszłości i wciąż uprzykrzał życie innym, dopóki na ucztę nie przybył Thor.

Ten bowiem bardzo prosto zakończył rozmowę: zagroził, że użyje Mjollnira, by na dobre zamknąć Lokiemu wredną gębę i odesłać go do Hel, aż do dworu umarłych.

Wówczas Loki opuścił ucztę, ale nim wyszedł chwiejnie, zwrócił się do Egira.

– Warzyłeś doskonałe piwo – rzekł do morskiego olbrzyma. – Ale nigdy więcej nie urządzisz tu jesiennej uczty. Płomienie

pochłoną ten dwór, ogień spali ci skórę z grzbietu. Utracisz wszystko, co kochasz. To ci przysięgam.

I odszedł od bogów Asgardu w mrok.

II

Następnego ranka, po wytrzeźwieniu Loki przemyślał to, co robił poprzedniego wieczoru. Nie czuł wstydu, bo wstyd nie leży w jego naturze, ale wiedział, że tym razem posunął się za daleko.

Loki miał dom na górskim szczycie blisko morza. Postanowił tam przeczekać do czasu, aż bogowie o nim zapomną. Do owego domu prowadziło czworo drzwi, po jednych na każdą stronę, dzięki czemu widział zagrożenia zbliżające się ze wszystkich kierunków.

Za dnia Loki zamieniał się w łososia i ukrywał w stawie u stóp Wodospadu Frananga, wysokiej kaskady spadającej ze zbocza góry. Strumień łączył ów staw z małą rzeczką wpadającą wprost do morza.

Loki lubił plany i przeciwplany, wiedział, że jako łosoś jest dość bezpieczny. Nawet bogowie nie zdołaliby go złapać w wodzie.

Potem jednak zaczął wątpić w samego siebie. Zastanawiał się, czy istnieje jakiś sposób złapania ryby w głębokiej toni stawu pod wodospadem? Jak on, najprzebieglejszy ze wszystkich, najsprytniejszy intrygant, złapałby łososia? Wziął kłębek pokrzywowego sznurka i zaczął splatać go w sieć rybacką, pierwszą na świecie. Tak, pomyślał, gdybym użył tej sieci, mógłbym złapać łososia.

A teraz, ciągnął w myślach, muszę opracować przeciwny plan: co bym zrobił, gdyby bogowie utkali podobną sieć?

Obejrzał uważnie swoje dzieło.

Łososie potrafią skakać, pomyślał. Umieją też płynąć w górę rzeki, a nawet w górę wodospadu. Przeskoczyłbym przez sieć.

Nagle coś zwróciło jego uwagę, wyjrzał zatem przez pierwsze drzwi, potem kolejne i zdumiało go to, co zobaczył: bogowie wspinali się po zboczu góry, prawie dotarli już do domu.

Loki cisnął sieć w ogień i z zadowoleniem patrzył, jak płonie. Potem wskoczył do Wodospadu Frananga i pod postacią srebrnego łososia dał się ponieść nurtowi, znikając w głębinach stawu u podnóża góry.

Asowie dotarli do górskiej siedziby Lokiego i przystanęli przy każdych z drzwi, odcinając mu drogę ucieczki, gdyby nadal był w środku.

Kwasir, najmędrszy z bogów, pierwszy przekroczył próg. Kiedyś zginął, a z jego krwi uwarzono miód, teraz jednak znów żył i po ogniu i na wpół opróżnionym kielichu wina obok poznał, że Loki był tu jeszcze chwilę wcześniej.

Nie dostrzegł natomiast żadnych wskazówek, dokąd mógł się udać. Kwasir przebiegł wzrokiem niebo, potem przyjrzał się podłodze i palenisku.

– Uciekł, ten szczwany, oślizgły szczur uciekł – oznajmił Thor, wchodząc do środka przez drugie z czworga drzwi. – Umie zamienić się w cokolwiek. Nigdy go nie znajdziemy.

– Nie bądź taki pochopny – upomniał go Kwasir. – Spójrz.

– To tylko popiół! – zaprotestował Thor.

– Ale przyjrzyj się wzorowi, który tworzy. – Kwasir schylił się, dotknął popiołu na podłodze obok ognia, powąchał, a potem uniósł odrobinę do języka i skosztował. – To popiół ze sznurka wrzuconego do ognia i spalonego, dokładnie takiego jak ten kłębek pokrzywowego szpagatu w kącie.

Thor wywrócił oczami.

– Wątpię, by popiół ze spalonego sznurka powiedział nam, gdzie jest Loki.

– Tak sądzisz? Ale przyjrzyj się wzorowi: krzyżujące się kwadraty, wszystkie idealnie równe.

– Kwasirze, marnujesz czas nas wszystkich, podziwiając wzory w popiele. To głupota. Każda chwila, jaką spędzamy tu, gapiąc się na popiół, pozwala Lokiemu uciec dalej.

– Może masz rację, Thorze, ale żeby stworzyć tak regularne kwadraty ze sznurka, trzeba czegoś, by je odmierzać. Jak ten kawałek drewna na podłodze u twych stóp. Trzeba by też podczas pracy przywiązać do czegoś koniec – na przykład do tego kija wystającego z podłogi, o tam. Potem wystarczyłoby zacząć splatać i przewlekać sznurek, tak by jeden kawałek stworzył... Hm, ciekawe, jak Loki to nazwał. Mnie podoba się nazwa „sieć”.

– Dlaczego wciąż mielesz ozorem? – zirytował się Thor. – Czemu gapisz się w popiół, patyki i kawałki drewna, gdy moglibyśmy ścigać Lokiego? Kwasirze! Podczas gdy ty rozmyślasz i gadasz bzdury, on ucieka coraz dalej!

– Myślę, że taka sieć świetnie by się nadawała do łapania ryb – oznajmił Kwasir.

– Mam już dosyć ciebie i twoich głupot. – Thor westchnął. – Czyli służy do łapania ryb? Świetnie, punkt dla ciebie. Loki pewnie zgłodniał i chciał nałapać sobie ryb na obiad. Wciąż wymyśla różne rzeczy, to jego specjalność. Zawsze był sprytny, dlatego właśnie trzymaliśmy go przy sobie.

– Masz rację, ale zadaj sobie pytanie: gdybyś był Lokim, dlaczego wynalazłbyś coś do łapania ryb, a potem wrzucił ową sieć do ognia, gdybyś zorientował się, że nadchodzimy?

– Ponieważ... – Thor zmarszczył brwi, rozmyślając tak zawzięcie, że w górach rozległ się odległy grzmot. – Ee...

– Właśnie. Ponieważ nie chciałbyś, żebyśmy znaleźli ją po przybyciu. A istnieje tylko jeden powód: abyśmy my, bogowie Asgardu, nie użyli jej, by cię złapać.

Thor przytaknął powoli.

– Rozumiem – rzekł, a potem: – Tak, chyba tak – dodał. I wreszcie: – Zatem Loki...

– ...ukrywa się w głębokim stawie u stóp wodospadu pod postacią ryby. Właśnie tak! Wiedziałem, że w końcu do tego dojdziesz, Thorze.

Thor przytaknął z entuzjazmem, nie do końca pewny, w jaki sposób wywnioskował to z popiołów na podłodze, ale rad, iż odkrył kryjówkę Lokiego.

– Zejdę nad staw z młotem – rzekł. – A wtedy... wtedy...

– Będziemy musieli pójść tam z siecią – poprawił go Kwasir, bóg mądrości.

Zabrał zatem pozostały pokrzywowy sznurek i drewienka. Przywiązał koniec do patyka i zaczął oplatać sznurek wokół niego, przekładając i wiążąc. Pokazał innym bogom, co robi, i wkrótce każdy z nich splatał już i wiązał. Kwasir połączył ze sobą zrobione przez nich siatki, aż w końcu otrzymali sieć długą jak staw. Razem zeszli po zboczu do stóp góry.

W jednym miejscu woda ze stawu przelewała się, tworząc strumień. Strumień ten płynął wprost do morza.

Gdy bogowie dotarli do stóp Wodospadu Frananga, rozwinęli uplecioną przez siebie sieć. Była wielka i ciężka, dość długa, by sięgnąć od brzegu do brzegu stawu. Trzeba było wszystkich wojowników Asów, by utrzymali jeden koniec sieci. Thor dzierżył drugi.

Bogowie zaczęli od końca stawu wprost pod wodospadem, brodząc aż do końca. Niczego nie złapali.

– Z całą pewnością coś tu mieszka – oznajmił Thor. – Czułem, jak trąca sieć, ale potem popłynęło głębiej, w muł, i sieć go nie

złapała.

Kwasir z namysłem podrapał się po brodzie.

– To nie kłopot. Musimy to powtórzyć, ale tym razem obciążymy dół sieci. W ten sposób nic się pod nią nie przemknie.

Bogowie zebrali ciężkie głazy z dziurami i przywiązali je do dolnej krawędzi siatki, obciążając ją.

Potem znów zaczęli brodzić w stawie.

Za pierwszym razem, gdy weszli do wody, Loki był z siebie dumny. Po prostu podpłynął do mulistego dna, wśliznął się między dwa płaskie kamienie i zaczekał, aż sieć przesunie się nad nim.

Teraz zaczął się obawiać. W ciemności i chłodzie rozmyślał, co się stanie.

Nie mógł zamienić się w nic innego, póki nie wyjdzie z wody. A nawet gdyby, bogowie wciąż by go ścigali. Nie, bezpieczniej było zachować postać łososia. Tyle że jako łosoś był teraz uwięziony; będzie musiał zrobić coś, czego się nie spodziewają. Oczekiwali, że skieruje się ku morzu – byłby bezpieczny, gdyby tylko się tam dostał. Tyle że w rzece płynącej ze stawu do zatoki łatwo byłoby go wypatrzeć i złapać.

Jego prześladowcy nie spodziewali się natomiast, że popłynie tam, skąd przybył. W górę wodospadu.

Tymczasem bogowie ciągnęli sieć po dnie stawu.

Skupili całą swą uwagę na tym, co dzieje się w głębi, toteż kompletnie zaskoczyło ich, gdy wielka srebrna ryba, większa niż jakikolwiek znany im dotąd łosoś, przeskoczyła nad siecią, machając ogonem, i zaczęła płynąć w górę. Wielki łosoś zmierzał w górę wodospadu, zaprzeczając prawu ciążenia, niczym ciśnięty w powietrze.

Kwasir krzyknął do Asów i polecił im utworzyć dwie grupy, po jednej na każdym końcu sieci.

– Nie zostanie w wodospadzie zbyt długo. Jest zbyt odsłonięty. Ma tylko jedną szansę: dostać się do morza. Wasze dwie grupy ruszą naprzód, ciągnąc między sobą sieć. Tymczasem ty, Thorze – dodał Kwasir, najmędrszy z bogów – zaczniesz brodzić pośrodku, a kiedy Loki znów spróbuje sztuczki z przeskoczeniem sieci, musisz złapać go w powietrzu jak niedźwiedź chwytający ryby. Nie wypuść go jednak, jest podstępny.

– Widziałem, jak niedźwiedzie chwytają łososie w powietrzu. Jestem silny i szybki jak każdy z nich. Utrzymam go.

Bogowie zaczęli ciągnąć sieć w górę, w stronę miejsca, w którym czekał wielki srebrny łosoś.

Loki tymczasem knuł i planował.

Kiedy sieć się zbliżyła, zrozumiał, że nadchodzi krytyczna chwila. Musi przeskoczyć sieć tak jak wcześniej i tym razem pomknąć w stronę morza. Napiął się cały niczym sprężyna, a potem wyprysnął w powietrze.

Thor był szybki. Ujrzał błysk srebrnych łusek w słońcu i chwycił rybę wielkimi rękami, tak jak głodny niedźwiedź łapie je w powietrzu. Łososie to śliskie ryby, a Loki był najbardziej śliski ze wszystkich: zwijał się i próbował wymknąć z palców Thora. Ten jednak zacisnął je jeszcze mocniej, chwytając tuż przy ogonie.

Powiadają, że od tej pory wszystkie łososie mają w tym miejscu węższe ciało.

Bogowie unieśli sieć i owinęli ją ciasno wokół ryby, a potem ponieśli między sobą. Łosoś zaczął tonąć w powietrzu, rozpaczliwie łaknąc wody, a potem szarpnął się, podskoczył i ujrzeli, że niosą zdyszanego Lokiego.

– Co wy wyprawiacie? – spytał. – Dokąd mnie zabieracie?

Thor tylko pokręcił głową i sapnął zamiast odpowiedzi. Loki pytał zatem pozostałych bogów, ale żaden z nich nie chciał

wyjaśnić, co się dzieje, i nikt nie patrzył mu w oczy.

III

Bogowie wkroczyli do jaskini i dźwigając zawieszonego między nimi Lokiego, udali się daleko w głąb ziemi. Ze sklepienia jaskini zwisały stalaktyty, wokół trzepotały i śmigały nietoperze. Szli jeszcze dalej. Wkrótce przejście stało się zbyt wąskie, by mogli nieść Lokiego, pozwolili mu zatem iść między sobą. Thor maszerował tuż za Lokim, trzymając mu dłoń na ramieniu.

Szli tak bardzo, bardzo długo.

W najgłębszej z jaskiń płonęły pochodnie, w ich blasku czekało troje ludzi. Loki rozpoznał ich, nim ujrzał twarze, i serce ścisnęło mu się boleśnie.

– Nie – powiedział. – Nie róbcie im krzywdy. Nie uczynili nic złego.

– To twoi synowie i twoja żona, Loki, siewco kłamstw – odparł Thor.

W jaskini leżały trzy wielkie, płaskie głazy. Asowie ułożyli je na boku, a Thor wyjął młot i kolejno wybił dziurę w każdym z kamieni.

– Proszę, wypuśćcie naszego ojca! – zawołał Narfi, syn Lokiego.

– To nasz ojciec – dodał Wali, jego drugi syn. – Złożyliście przysięgę, że go nie zabijecie. To brat krwi i zaprzysiężony brat Odyna, najwyższego z bogów.

– Nie zabijemy go – odparł Kwasir. – Powiedz mi, Wali, jaka jest najgorsza rzecz, jaką brat może uczynić bratu?

– Kiedy brat zdradza brata – odrzekł Wali bez wahania. – Kiedy brat zabija brata, jak Hod Baldera. To niewybaczalna

potworność.

– Istotnie, Loki jest bratem krwi bogów – rzekł Kwasir – i nie możemy go zabić. Ale ciebie, jego syna, nie obejmują żadne z tych przysiąg.

A potem wypowiedział kilka słów, słów przemiany, słów mocy.

Wali utracił ludzką postać – na jego miejscu stał teraz wilk o spienionym pysku. Inteligencja Walego znikała z żółtych oczu zastąpiona głodem, gniewem, obłędem. Spojrzał na bogów, na Sigyn, swoją matkę, i wreszcie ujrzał Narfiego. Warknął nisko, przeciągle w głębi gardła, jeżąc sierść na karku.

Narfi cofnął się o krok, tylko o krok, a potem wilk skoczył na niego.

Narfi był dzielny. Nie krzyknął, nawet kiedy wilk będący jego bratem rozszarpał go, rozdzierając mu gardło i brzuch, tak że wnętrzności wylały się na kamienną posadzkę. Potem wilk będący kiedyś Walim zawył raz jeden, długo, przeciągle, unosząc zakrwawiony pysk. Następnie skoczył wysoko, przemykając nad głowami bogów, i odbiegł w ciemność jaskini. Więcej nie widziano go w Asgardzie i nikt go nie zobaczy aż po kres wszechrzeczy.

Bogowie ułożyli Lokiego na trzech wielkich głazach. Jeden wsunęli mu pod ramiona, drugi pod lędźwia, trzeci pod kolana. Potem wzięli wyprute wnętrzności Narfiego, przepchnęli je przez dziury zrobione w kamieniach, wiążąc ciasno wokół szyi i ramion Lokiego. Owinęli wątpiami syna jego lędźwia i nogi, związali kolana i stopy tak ciasno, że ledwie mógł się ruszyć. Następnie zamienili wnętrzności zamordowanego syna Lokiego w więzy tak ciasne i twarde, że równie dobrze mogły zostać wykute z metalu.

Sigyn, żona Lokiego, patrzyła, jak bogowie krępują jej męża wnętrznościami ich syna, i milczała. Płakała cicho w duchu na

widok cierpienia męża, śmierci i hańby synów. Choć sama nie wiedziała dlaczego, ściskała w dłoni misę. Nim bogowie sprowadzili ją tutaj, kazali jej pójść do kuchni i zabrać największą z misek, jakie miała.

Wtedy w jaskini zjawiła się Skadi, olbrzymia córka nieżyjącego Thiaziego, żona Njorda o pięknych stopach. W dłoniach trzymała coś wielkiego, coś, co zwijało się i szarpało. Pochyliła się nad Lokim i umieściła to coś nad nim, okręcając to wokół stalaktytów zwisających ze sklepienia jaskini, tak że jego głowa znalazła się tuż nad twarzą więźnia.

To był wąż o zimnych oczach i ruchliwym języku, z jego kłów ściekała trucizna. Syknął i kropla jadu spadła na twarz Lokiego, tak że zapiekły go oczy.

Loki krzyknął i szarpnął się, zaczął się zwijać i skręcać z bólu. Próbował się odsunąć, uchronić głowę przed jadem, lecz więzy będące niegdyś wnętrznościami jego własnego syna nie pozwoliły na to.

Bogowie kolejno opuścili to miejsce, ponurzy, lecz zadowoleni. Wkrótce został tylko Kwasir. Sigyn spojrzała na związanego męża i wypatroszonego trupa zagryzionego przez wilka syna.

– Co zrobicie ze mną? – spytała.

– Nic – odparł Kwasir. – Nie zostaniesz ukarana. Możesz robić, co tylko zechcesz.

A potem on także opuścił to miejsce.

Kolejna kropla jadu węża spadła na twarz Lokiego, który krzyknął, szarpiąc się i zwijając. Od jego ruchów zatrzęsła się ziemia.

Sigyn wzięła misę i podeszła do męża. Nic nie powiedziała – bo cóż mogła rzec – ale stanęła przy głowie Lokiego ze łzami w oczach, by chwytać do misy każdą kroplę jadu ściekającą z kłów węża.

Wszystko to działo się bardzo dawno temu, w niepamiętnych czasach, dniach, gdy bogowie wciąż stąpali po ziemi. Tak dawno, że ówczesne góry zamieniły się w proch, a w miejscu najgłębszych jezior pozostał suchy ląd.

Sigyn wciąż czuwa przy głowie Lokiego i jak wówczas patrzy w jego piękną, wykrzywioną twarz.

Misa, którą dzierży w dłoniach, napełnia się powoli, kropla za kroplą, w końcu jednak trucizna sięga brzegów. Wtedy i tylko wtedy Sigyn odwraca się od Lokiego, zabiera misę i wylewa z boku, a pod jej nieobecność trucizna węża kapie Lokiemu na twarz i do oczu. On zaś szarpie się, zwija i dygocze, podskakuje i skręca tak mocno, że ziemia pod nim drży.

Gdy to się dzieje, my w Midgardzie nazywamy to trzęsieniem ziemi.

Powiadają, że Loki pozostanie tam skrępowany w ciemności pod ziemią, a Sigyn będzie trwać przy nim, unosząc misę, by łapać truciznę skapującą mu na twarz i szepcząc, że go kocha, póki nie nadejdzie Ragnarök, a wraz z nim kres dni.

Ragnarök: ostateczne przeznaczenie bogów

I

Do tej pory opowiadałem wam o tym, co wydarzyło się w przeszłości – historie z dawnych, bardzo dawnych czasów.

Teraz opowiem o dniach, które nadejdą.

Opowiem o tym, jak wszystko się skończy, a potem zacznie od nowa. Będę mówić o mrocznych dniach, rzeczach mrocznych i ukrytych, dotyczących kresu ziemi i śmierci bogów. Słuchajcie i uczcie się.

Oto jak poznamy, że nadchodzi kres czasów. Epoka bogów odejdzie daleko w przeszłość, nastanie era ludzi. Bogowie zapadną wówczas w sen, wszyscy prócz wszechwidzącego Heimdalla. On bowiem ogląda wszystko od początku, choć nie może zapobiec temu, by wydarzyło się to, co widzi.

Zacznie się od zimy.

Nie będzie to zwyczajna zima. Ta zima nastanie i będzie trwać, jedna za drugą, a po niej nie nadejdą wiosna ani ciepło. Ludzie będą cierpieć głód i chłód, wpadną w gniew, dojdzie do wielkich bitew na całym świecie.

Brat będzie walczył z bratem, ojciec zabije syna. Matki i córki staną naprzeciw siebie, siostry padną w bitwie z siostrami i będą patrzeć, jak ich dzieci mordują się nawzajem.

Będzie to czas okrutnych wichrów, czas ludzi, którzy staną się niczym wilki, którzy rzucą się na siebie, nie lepsi od dzikich

bestii. Nastanie zmierzch świata, a miasta, w których żyją ludzie, popadną w ruinę. Na moment zapłoną, a potem runą, rozsypując się w proch i pył.

Potem, gdy pozostanie już niewielu ludzi żyjących jak zwierzęta, słońce zniknie z nieba, jakby pożarte przez wilka. Odbiorą nam też księżyc i nikt nie ujrzy więcej gwiazd. Powietrze wypełni ciemność, niczym popiół, niczym mgła.

Będzie to czas straszliwej zimy bez końca, zimy Fimbul.

Ze wszystkich stron będzie padał śnieg niesiony porywami wiatrów. Nastanie mróz większy, niż potraficie sobie wyobrazić, lodowaty mróz tak straszny, że płuca będą bolały przy każdym oddechu, a łzy zamarzną wam w oczach. I żadna wiosna nie złagodzi mrozów, żadne lato, żadna jesień. Pozostanie jedynie zima, a po niej zima i znów zima.

Potem nadejdą czasy wielkich trzęsień ziemi, góry zadrżą i rozsypią się w proch, drzewa runą, a wszystkie pozostałe siedziby ludzi zostaną zniszczone.

Ziemia będzie dygotać tak mocno, że pękną wszystkie więzy, kajdany i sznury.

Wszystkie.

Fenrir, wielki wilk, uwolni się z okowów. Rozdziawi paszczę: górną szczęką sięgnie niebios, dolną dotknie ziemi. Nie istnieje nic, czego nie mógłby pożreć, nic, czego nie zniszczy. Z jego oczu i nozdrzy trysną płomienie.

Tam, gdzie stąpa wilk Fenrir, podąża niszczycielska pożoga.

Nadejdą też powodzie, kiedy wezbrane morze przeleje się przez brzegi i pochłonie ląd. Jormungundr, wąż Midgardu, olbrzymi i niebezpieczny, zacznie wić się z wściekłością coraz bliżej brzegu. Jad z jego kłów poleje się do wód, zatruwając wszystko, co w nich żyje. Rozbryźnie się w powietrzu czarną, trującą mgiełką, zabijając wszystkie morskie ptaki, które nim oddychają.

Kiedy wąż Midgardu się poruszy, życie w oceanach zniknie. Fale wyrzucą na ląd przegniłe truchła ryb i wielorybów, fok i morskich potworów.

Każdy, kto ujrzy braci: Fenrira wilka i węża Midgardu, synów Lokiego, pozna, czym jest śmierć.

Oto początek końca.

Zamglone niebo pęknie do wtóru płaczu dzieci i synowie Muspellu runą z niebios pod przewodem Surtra, ognistego olbrzyma wznoszącego wysoko miecz, który płonie tak jasno, że żaden śmiertelnik nie może nań spojrzeć. Przejadą tęczowym mostem, Bifrostem, i tęcza skruszy im się pod kopytami, a niegdyś jasne kolory zszarzeją i sczernieją, jak popiół, jak węgiel.

Nigdy więcej nie będzie już tęczy.

Urwiska runą w toń.

Loki, który wyzwolił się z pęt pod ziemią, stanie u steru okrętu zwanego Naglfar. To największy statek, jaki kiedykolwiek istniał i istniał będzie: zbudowany z paznokci umarłych. Naglfar pożegluje po wezbranych wodach, a spoglądająca zeń załoga ujrzy tylko martwe istoty, pływające i gnijące na powierzchni oceanu.

Loki stanie u steru, lecz kapitanem będzie Hrym, przywódca lodowych olbrzymów. Pozostali przy życiu olbrzymi podążą za nim, wielkim, nieprzyjaznym ludzkości. To żołnierze Hryma w ostatniej z bitew.

Wojska Lokiego to legiony Hel, niespokojni umarli, ci, którzy zginęli hańbiącą śmiercią i powrócą na ziemię, by znów walczyć jako chodzące trupy, zdecydowani zniszczyć wszystko, co wciąż kocha i żyje na tym świecie.

Wszyscy razem: olbrzymi, umarli i płonący synowie Muspellu wyruszą na równinę bitewną zwaną Wigrid. Wigrid jest wielki: ma trzysta mil szerokości. Przybieży tam także wilk

Fenrir, a wąż Midgardu popłynie przez morza, póki on również nie znajdzie się blisko Wigridu. Wówczas wypełznie na piasek i dalej, na brzeg – tylko jego łeb i pierwsza mila cielska. Większość pozostanie w morzu.

Ustawią się w następującym ordynku: Surtr i synowie Muspellu w płomieniach; wojownicy Hel i Lokiego spod ziemi; lodowi olbrzymi, oddziały Hryma z błotem marznącym im u stóp. U ich boku staną Fenrir i wąż Midgardu. Owego dnia zbiorą się tam najgorsi wrogowie, jakich tylko możecie sobie wyobrazić.

Heimdall ujrzy z daleka wszystko, co się dzieje – ostatecznie widzi wszystko, to strażnik bogów. Teraz jednak i dopiero teraz zacznie działać.

Zadmie w Gjallerhorn, róg niegdyś należący do Mimira, dmuchnie weń całą mocą. Na ów dźwięk Asgard zadrży w posadach i wówczas śpiący bogowie ockną się, sięgną po broń i zbiorą pod koroną Yggdrasilla, przy studni Urd, by przyjąć błogosławieństwo i radę Norn.

Odyn podjedzie na swym koniu Sleipnirze do studni Mimira, by poprosić jego głowę o radę dla siebie i dla bogów. Głowa Mimira wyszepcze mu do ucha to, co wie o przyszłości, tak jak ja opowiadam wam dzisiaj.

A słowa wyszeptane przez Mimira dadzą Odynowi nadzieję, choć przyszłość będzie wyglądać mrocznie.

Wielki jesion Yggdrasill, drzewo świata, zadygocze niczym liść na wietrze, a wówczas Asowie, a wraz z nimi Einherjarowie, wszyscy wojownicy, którzy zginęli dobrą śmiercią w bitwie, przywdzieją wojenne stroje i razem ruszą na Wigrid, pole ostatniej bitwy.

Odyn pojedzie na czele kompanii, odziany w lśniącą zbroję i złoty hełm. Obok niego będzie jechał Thor z Mjollnirem w dłoni. Dotrą na miejsce i rozpocznie się ostateczna bitwa.

Odyn ruszy wprost na Fenrira wilka, obecnie dorosłego i tak wielkiego, że nie da się go ogarnąć wyobraźnią. Wszechojciec chwyci w pięść Gungnir, swoją włócznię.

Widząc, że Odyn zmierza do wielkiego wilka, Thor uśmiechnie się i smagając kozły, by jeszcze przyśpieszyły, ruszy wprost na węża Midgardu, z młotem w dłoni zakutej w żelazną rękawicę.

Frejr stanie naprzeciw Surtra, potwornego i ognistego. Płomienisty miecz Surtra jest wielki i pali wszystko, nawet gdy chybi celu. Frejr będzie walczył dzielnie i zawzięcie, ale w końcu padnie, jako pierwszy z Asów: jego miecz i zbroja nie mogą się równać z ognistą klingą Surtra. Frejr zginie, żałując utraty miecza, który oddał dawno temu Skirnirowi z miłości do Gerd. Ów miecz by go ocalił.

Walce będzie towarzyszyć ogłuszający zgiełk, gdy Einherjarowie, szlachetni wojownicy Odyna, zewrą się w śmiertelnym starciu ze złymi zmarłymi, armią Lokiego.

Ogar piekielny Garm zawyje. Choć mniejszy od Fenrira, nadal pozostaje najpotężniejszym i najgroźniejszym z psów. On także umknie z okowów, w których tkwił pod ziemią, i powróci, by rozszarpywać gardła wojowników.

Tyr go zatrzyma, Tyr jednoręki, i będą walczyć, człowiek i koszmarny pies. Choć Tyr stanie dzielnie, ta walka zakończy się śmiercią ich obu. Garm zginie z zębami zaciśniętymi na gardle boga.

Thor w końcu zabije węża Midgardu, jak tego pragnął od bardzo dawna. Strzaska czaszkę wielkiego gada swoim młotem. Potem uskoczy, gdy jego łeb runie na pole bitwy.

Thor znajdzie się dobre dziewięć stóp od niego, w chwili, gdy łeb uderzy o ziemię, ale odkryje, że to wciąż za blisko. Konając, wąż wypluje zawartość swych gruczołów jadowych na boga grzmotu gęstą czarną chmurą.

Thor jęknie z bólu i runie bez życia na ziemię otruty przez stwora, którego zabił.

Odyn będzie dzielnie walczył z Fenrirem, lecz wilk okaże się ogromniejszy i groźniejszy od wszystkiego, co dotąd istniało, większy niż słońce, niż księżyc. Odyn pchnie go prosto w paszczę włócznią, ale wystarczy kłapnięcie szczęk Fenrira, by ją złamać. Kolejne ugryzienie, chrzęst, trzask, i Odyn, Wszechojciec, największy, najmędrszy ze wszystkich bogów zginie, i nikt go już nie zobaczy.

Syn Odyna, Widar, milczący, wierny bóg, zobaczy śmierć ojca. Wystąpi wówczas naprzód, gdy Fenrir będzie chełpił się nad trupem Odyna, i nastąpi mu na dolną szczękę.

Dwie stopy Widara różnią się od siebie – jedną z nich okrywa zwyczajny but, drugą but przygotowywany od zarania dziejów, zrobiony ze skrawków skóry, które ludzie odcinają od palców i podeszew, gdy sami szyją sobie buty, a je wyrzucają.

(Jeśli chcecie pomóc Asom w ostatniej bitwie, powinniście wyrzucać skrawki skóry. Wszystkie wyrzucone strzępy i kawałki staną się częścią buta Widara).

But ten przytrzyma dolną szczękę wielkiego wilka tak, że ten nie zdoła nią poruszyć. A wtedy jedną ręką Widar sięgnie w górę i chwyci górną szczękę, rozdzierając paszczę. W ten sposób zginie Fenrir, a Widar pomści swego ojca.

Na polu bitwy zwanym Wigrid bogowie padną w walce z lodowymi olbrzymami, a lodowi olbrzymi w walce z bogami. Nieumarłe armie Hel zaścielą ziemię w ostatecznej śmierci, a u ich boku na zamarzniętej równinie legną szlachetni Einherjarowie, ginąc po raz ostatni pod martwym, mglistym niebem, by nigdy już nie powstać, nigdy nie ocknąć się i nie walczyć.

Z legionów Lokiego pozostanie tylko on sam, zakrwawiony, szalonooki, z zadowolonym uśmiechem na pokrytych bliznami

ustach.

Heimdall, strażnik mostu, odźwierny bogów, także nie padnie. Pozostanie na polu bitwy z mokrym i zakrwawionym mieczem Hofundem w dłoni.

Ruszą ku sobie przez Wigrid, depcząc po trupach, brodząc we krwi i płomieniach, by siebie dosięgnąć.

– Ach – rzeknie Loki. – Brudny, żałosny dozorca bogów. Obudziłeś ich zbyt późno, Heimdallu. Czyż nie cudownie było patrzeć, jak giną jedno po drugim?

Loki spojrzy w twarz Heimdalla, szukając na niej oznak słabości, emocji, ale Heimdall pozostanie niewzruszony.

– Nie masz mi nic do powiedzenia, Heimdallu o dziewięciu matkach? Gdy leżałem skrępowany pod ziemią, gdy jad węża ściekał mi na twarz, a biedna Sigyn stała obok, próbując złapać jad w swą misę, w ciemności związany wnętrznościami syna, powstrzymywałem obłęd, tylko myśląc o tej chwili, odgrywając ją raz po raz w głowie, wyobrażając sobie dni, gdy moje piękne dzieci i ja zakończymy czasy bogów i ten świat.

Heimdall nadal nie odpowie, ale uderzy mocno mieczem, waląc nim o zbroję Lokiego. Ten zaś odparuje i zaatakuje z wściekłością, radością i rozwagą.

I podczas walki przypomną sobie ów dzień, kiedy starli się dawno temu, gdy świat był znacznie prostszy. Zmagali się wówczas pod postacią zwierząt, przemienieni w foki, konkurując ze sobą, by zdobyć naszyjnik Brisingów: Loki ukradł go Frei na prośbę Odyna, a Heimdall musiał odzyskać.

Loki nigdy nie zapomina urazy.

Będą walczyć, ciąć, pchać i rąbać się nawzajem.

Będą walczyć i zginą. Heimdall i Loki, powaleni przez siebie nawzajem, każdy śmiertelnie ranny.

– Stało się – wyszepcze Loki, konając na polu bitwy. – Zwyciężyłem.

Ale wówczas Heimdall uśmiechnie się w śmierci, uśmiechnie złotymi zębami zbryzganymi śliną i krwią.

– Spoglądam dalej od ciebie – rzeknie do Lokiego. – Syn Odyna Widar zabił twojego syna, wilka Fenrira. Widar przeżył, podobnie drugi syn Odyna, Wali, jego brat. Thor poległ, lecz jego dzieci Magni i Modi żyją nadal. Zabrali Mjollnira z zimnej dłoni ojca. Mają dość sił i szlachetnego ducha, by nim władać.

– Nic z tego nie ma znaczenia. Świat płonie – powie Loki. – Śmiertelnicy nie żyją. Midgard jest zniszczony. Wygrałem.

– Spoglądam dalej od ciebie, Loki. Widzę stąd aż po drzewo świata – oznajmi Heimdall ostatnim tchem. – Ogień Surtra nie tknie Yggdrasilla, a dwoje ludzi ukryło się bezpiecznie w jego pniu. Kobieta ma na imię Życie, mężczyzna Kwitnący Życiem. Ich potomkowie zaludnią Ziemię. To nie koniec. Nie ma końca. To tylko kres dawnych czasów, Loki. I początek nowych. Po śmierci zawsze przychodzi odrodzenie. Przegrałeś.

Loki powie coś wtedy, coś sprytnego, zjadliwego i bolesnego, lecz potem opuści go życie, a wraz z nim cały jego spryt, mądrość i okrucieństwo, i nic już nie rzeknie. Nic więcej. Legnie martwy i zimny obok Heimdalla na zamarzniętym polu bitwy.

Teraz Surtr, płonący olbrzym, który istniał przed początkiem wszechrzeczy, wyjrzy na rozległą równinę śmierci i wzniesie ku niebu swój jasny miecz. Rozlegnie się dźwięk niczym tysiąc lasów stających w ogniu i zapłonie samo powietrze.

Cały świat pochłoną płomienie Surtra. Rozlane oceany zaczną parować i wrzeć, ostatnie ognie zamigoczą, a potem zgasną. Z nieba, niczym śnieg, posypie się czarny popiół.

O owym zmierzchu, w miejscu, gdzie niegdyś spoczywały obok siebie zwłoki Lokiego i Heimdalla, pozostaną tylko dwa kopce szarego popiołu na poczerniałej ziemi, a dym zmiesza się z mgłami poranka. Z armii żywych i umarłych, ze snów bogów i odwagi ich wojowników nie pozostanie nic prócz popiołu.

Wkrótce potem wezbrany ocean pochłonie je, zalewając całą ziemię, i wszystko, co żyje, spocznie zapomniane pod bezsłonecznym niebem.

Tak właśnie skończy się świat, w popiele i wodzie, w ciemności i lodzie. Oto ostateczne przeznaczenie bogów.

II

Tak właśnie wygląda koniec. Ale jest jeszcze to, co nadejdzie po nim.

Z szarych wód oceanu znów wyłoni się zielona ziemia.

Słońce zostało pożarte, lecz miejsce matki zajmie córa Słońca i nowe słońce zalśni jeszcze jaśniej niż stare, młodymi świeżymi promieniami.

Kobieta i mężczyzna, Życie i Kwitnący Życiem, wyjdą z kryjówki wewnątrz jesionu, który łączy wszystkie światy. Będą żywić się rosą z zielonej ziemi i kochać się, a z ich miłości wyrośnie ludzkość.

Asgard przeminie, lecz w miejscu, w którym niegdyś się wznosił, stanie Idawoll, jego wspaniały następca.

Synowie Odyna, Widar i Wali, przybędą do Idawollu. Po nich zjawią się synowie Thora, Modi i Magni. Przyniosą wspólnie Mjollnira, bo teraz, po śmierci Thora, trzeba ich dwóch, by ponieść młot. Balder i Hod powrócą ze świata podziemi i w szóstkę usiądą w blasku nowego słońca, rozmawiając ze sobą, wspominając tajemnice i dyskutując o tym, co winni byli uczynić inaczej i czy wynik tej gry był nieunikniony.

Będą rozmawiać o Fenrirze, wilku, który pożarł świat, i o wężu Midgardu, a także wspominać Lokiego, należącego do bogów, choć nie jednego z nich. Lokiego, który ocalił bogów i chciał ich zniszczyć.

A potem Balder rzeknie:

– Hej. Hej, co to?

– Co? – spyta Magni.

– Tam. Coś błyszczy w wysokiej trawie. Widzicie? I tam, spójrzcie, jeszcze jeden.

Padną na kolana wśród długich traw, bogowie podobni dzieciom.

Magni, syn Thora, pierwszy znajdzie jeden z przedmiotów w trawie, a gdy go ujrzy, zrozumie co to. To złota figura szachowa, z tych, którymi grywali bogowie, kiedy wciąż żyli. Maleńka złota rzeźba Odyna Wszechojca na wysokim tronie: król.

Wkrótce znajdą też kolejne. Oto Thor z młotem w dłoni. Oto Heimdall unoszący róg do ust. Frigg, żona Odyna, to królowa.

Balder uniesie mały złoty posążek.

– Ten wygląda jak ty – zauważy Modi.

– To jestem ja – powie Balder. – To ja, dawno temu, nim zginąłem, gdy byłem jednym z Asów.

Znajdą w trawie inne figury, jedne piękne, inne mniej. Na wpół zagrzebany w czarnej ziemi leży Loki wraz z jego potwornymi dziećmi. Oto lodowy olbrzym. A tam Surtr, z twarzą w płomieniach.

Wkrótce odnajdą wszystkie figury i pionki tworzące komplet szachów. Ustawią je w równym porządku na szachownicy. Bogowie Asgardu staną naprzeciw swych odwiecznych wrogów. Owego idealnego popołudnia promienie nowego słońca odbiją się od złotych postaci.

Balder uśmiechnie się, jakby wyszło drugie słońce, wyciągnie rękę i przesunie pierwszy pion.

I gra rozpocznie się od nowa.

Glossariusz

A

Alfheim: Jeden z dziewięciu światów zamieszkany przez elfy jasne.
Angrboda: olbrzymka, matka trójki potwornych dzieci Lokiego.
Asgard: Dom Asów. Królestwo bogów.
Ask: Pierwszy mężczyzna, stworzony z jesionu.
Asowie: Rasa bądź plemię, bądź odgałęzienie rodu bogów. Mieszkają w Asgardzie.
Audhumla: Pierwsza krowa, której język ukształtował przodka bogów i z której wymion płynęły rzeki mleka.
Aurboda: Górska olbrzymka, matka Gerd.

B

Balder, zwany Pięknym: Drugi syn Odyna, darzony miłością przez wszystkich prócz Lokiego.
Barri, wyspa: Wyspa, na której pobrali się Frejr z Gerd.
Baugi: Olbrzym, brat Suttunga.
Beli: Olbrzym. Frejr zabił go rogiem jelenia.
Bergelmir: Wnuk Ymira. Bergelmir i jego żona to jedyni olbrzymi, którzy przeżyli potop.

Bestla: Matka Odyna, Wilego i We, żona Bora. Córka olbrzyma zwanego Bolthornem. Siostra Mimira.
Bifrost: Tęczowy most łączący Asgard z Midgardem.
Bodn: Jedna z dwóch kadzi na miód, mieszcząca w sobie miód poezji. Druga to Son.
Bolwerkr: Jedno z imion, jakie przybrał Odyn, kiedy wędrował w przebraniu po świecie.
Bor: Bóg. Syn Buriego. Poślubił Bestlę. Ojciec Odyna, Wilego i We.
Bragi: Bóg poezji.
Breidablik: Domostwo Baldera, pełne radości, muzyki i mądrości.
Brisingów, naszyjnik: Lśniący naszyjnik należący do Frei.
Brokk: Karzeł tworzący wspaniałe skarby. Brat Eitriego.
Buri: Przodek bogów, ojciec Bora, dziadek Odyna.

D

Draupnir: Złota bransoleta Odyna, z której co dziewięć nocy ścieka osiem identycznych bransolet jednakiej urody i wartości.

E

Egil: Rolnik, ojciec Thialfiego i Roskwy.
Egir: Największy z morskich olbrzymów, mąż Ran, ojciec dziewięciu córek będących falami oceanu.
Einherjarowie: Szlachetni zmarli, którzy zginęli w bitwie, a teraz walczą w Walhalli.

Eitri: Karzeł wykuwający wspaniałe skarby, w tym młot Thora. Brat Brokka.
Elli: Stara piastunka będąca w istocie starością.
Embla: Pierwsza kobieta, stworzona z wiązu.

F

Farbauti: Ojciec Lokiego, olbrzym. „Ten, który wymierza niebezpieczne ciosy”.
Fenrir albo Fenrir wilk: Wilk. Syn Lokiego i Angrbody.
Fimbulwinter: Zima przed Ragnarökiem, która nie ma końca.
Fjalar: Brat Galara, zabójca Kwasira.
Fjolnir: Syn Frejra i Gerd, pierwszy król Szwecji.
Frananga, Wodospad: Wysoki wodospad, w którym ukrył się Loki pod postacią łososia.
Frejr: Bóg z Wanów mieszkający w Asgardzie. Brat Frei.
Freja: Bogini z Wanów mieszkająca wśród Asów. Siostra Frejra.
Frigg: Żona Odyna, władczyni wszystkich bogów. Matka Baldera.
Fulla: Bogini, dwórka Frigg.

G

Galar: Jeden z mrocznych elfów, brat Fjalara, zabójca Kwasira.
Garm: Potworny pies, który zabije Tyra i zginie z jego ręki podczas Ragnaröku.
Gerd: Olbrzymka wielkiej urody, ukochana Frejra.
Gilling: Olbrzym zabity przez Fjalara i Galara, ojciec Suttunga i Baugiego.

Ginnungagap: Bezdenna otchłań pomiędzy Muspellem (światem ognia) a Niflheimem (światem mgieł) u zarania stworzenia.
Gjallerhorn: Róg Heimdalla, przechowywany przy studni Mimira.
Gleipnir: Wykuty przez krasnoludy magiczny łańcuch, którym bogowie spętali Fenrira.
Grimnir: „Zakapturzony”. Przydomek Odyna.
Gullenbursti: Złoty dzik zrobiony dla Frejra przez karły.
Gungnir: Włócznia Odyna. Nigdy nie chybia celu, a przysięgi na nią złożonej nie da się złamać.
Gunnlod: Olbrzymka, córka Suttunga, postawiona na straży miodu poezji.
Gymir: Ziemny olbrzym, ojciec Gerd.

H

Heidrun: Koza dająca miód zamiast mleka. Żywi umarłych w Walhalli.
Heimdall: Strażnik bogów, dalekopatrzący.
Hel: Córka Lokiego i Angrbody. Włada Hel, krainą haniebnie zmarłych, którzy nie polegli szlachetnie w boju.
Hermod Zręczny: Syn Odyna. Dosiadł Sleipnira żeby błagać Hel o zwolnienie Baldera.
Hlidskjalf: Tron Odyna, z którego Wszechojciec widzi wszystkie dziewięć światów.
Hod: Brat Baldera, ślepy bóg.
Hoenir: Stary bóg, który obdarzył ludzi darem rozumu. Jeden z Asów, wysłany do Wanów, żeby został ich królem.
Hrym: Przywódca lodowych olbrzymów w czasie Ragnaröku.

Hungi: Młody olbrzym, który umiał biegać szybciej niż cokolwiek na świecie. W istocie myśl.
Huginn: Jeden z dwóch kruków Odyna. Jego imię oznacza myśl.
Hvergelmir: Studnia w Niflheimie, pod Yggdrasillem, stanowiąca źródło wielu innych rzek i strumieni.
Hymir: Władca olbrzymów.
Hyrrokkin: Olbrzymka, silniejsza nawet od Thora.

I

Idawoll: Wspaniała równina, na której wzniesiono Asgard i na którą pozostali przy życiu bogowie powrócą po Ragnaröku.
Idunn: Bogini z Asów. Strzeże jabłek nieśmiertelności zapewniających bogom wieczną młodość.
Iwaldi: Jeden z mrocznych elfów. Synowie Iwaldiego stworzyli Skidbladnira, niezwykły okręt Frejra, Gungnir, włócznię Odyna i nowe piękne złoty włosy Sif, żony Thora.

J

Jord: Matka Thora, olbrzymka, będąca także boginią ziemi.
Jormungundr: Wąż Midgardu, jedno z dzieci Lokiego i zaprzysiężony wróg Thora.
Jotunheim: Jotun oznacza olbrzyma, a Jothunheim to kraina olbrzymów.

K

Kwasir: Powstały z połączenia śliny Asów i Wanów, stał się bogiem mądrości. Kwasira zamordowały karły, które z jego krwi przyrządziły miód poezji. Później powrócił do świata żywych.

L

Laufey: Matka Lokiego. Zwana też Nal, Igłą, bo była tak chuda.

Lerad: Drzewo, prawdopodobnie część Yggdrassila, którym karmi się Heidrun, koza dająca mleko wojownikom z Walhalli.

Lit: Pechowy karzeł.

Loki: Brat krwi Odyna, syn Farbautiego i Laufey. Najprzebieglejszy, najsprytniejszy ze wszystkich mieszkańców Asgardu. Potrafi odmieniać swą postać, a usta ma pokryte bliznami. Specjalne buty pozwalają mu wędrować po niebie.

M

Magni: Syn Thora, „silny”.

Megingjord: Pas mocy Thora, po przywdzianiu podwaja jego siłę.

Midgard: „Środkowy dziedziniec”. Nasz świat. Królestwo ludzi.

Midgardu, wąż: Jormungundr.

Mimir: Wuj Odyna i strażnik studni mądrości w Jotunheimie. Olbrzym, być może także jeden z Asów. Wanowie ścięli mu głowę, która nadal udziela mądrych rad i czuwa nad studnią.

Mimira, studnia: Źródło bądź studnia u korzeni drzewa świata. Odyn oddał własne oko, by napić się z niej wody nabranej rogiem Heimdalla, Gjallerhornem.

Mjollnir: Niezwykły młot i najcenniejszy skarb Thora, wykuty dla niego przez Eitriego. (Brokk obsługiwał miechy).

Modgud: „Wściekle walcząca". Strzeże mostu, wiodącego do krainy umarłych.

Modi: Syn Thora, „dzielny".

Muninn: Jeden z kruków Odyna. Jego imię oznacza pamięć.

Muspell: Ognisty świat istniejący u zarania stworzenia. Jeden z dziewięciu światów.

N

Naglfar: Statek zbudowany z nieobciętych paznokci rąk i nóg nieboszczyków. Olbrzymi i umarli z Hel, którzy staną do bitwy z bogami i Einherjarami podczas Ragnaröku, przybędą właśnie tym statkiem.

Nal: Igła, inne imię Laufey, matki Lokiego.

Narfi: Syn Lokiego i Sigyn, brat Walego.

Nidawellir, zwany także Swartalfheimem: Miejsce, gdzie karły (zwane także mrocznymi elfami) żyją pod górami.

Nidhogg: Smok, który pożera trupy i podgryza korzenie Yggdrasilla.

Niflheim: Zimne mgliste miejsce u początków wszechrzeczy.

Njord: Bóg z Wanów, ojciec Frei i Frejra.

Norny: Trzy siostry, Urd, Werdandi i Skuld, opiekujące się studnią Urd, albo losu, i podlewające korzenie Yggdrasilla, drzewa świata. To one, wraz z innymi nornami, decydują, co stanie się w naszym życiu.

O

Odyn: Najwyższy i najstarszy z bogów. Nosi płaszcz i kapelusz, ma tylko jedno oko, drugie bowiem oddał za mądrość. Znany też pod wieloma innymi imionami: Wszechojciec, Grimnir i bóg szubienic.

Odrerir: Kocioł, w którym warzono miód poezji. „Dawca ekstazy”.

R

Ran: Żona Egira, morskiego olbrzyma, bogini tych, którzy utonęli w morzu, matka dziewięciu fal.

Ratatosk: Wiewiórka żyjąca wśród gałęzi Yggdrasilla i przenosząca wiadomości od Nidhogga, pożeracza trupów, zwiniętego wśród korzeni, do orła mieszkającego wśród gałęzi drzewa.

Rati: Świder bądź wiertło bogów.

Roskwa: Siotra Thialfiego, ludzkiego sługi Thora.

S

Sif: Żona Thora. Miała złote włosy.

Sigyn: Żona Lokiego, matka Walego i Narfiego. Po uwięzieniu Lokiego została z nim pod ziemią, trzymając misę, którą chroni twarz Lokiego przed jadem węża.

Skadi: Olbrzymka, córka Thiaziego. Poślubiła Njorda.

Skidbladnir: Magiczny statek zrobiony dla Frejra przez synów Iwaldiego, składa się jak szalik.

Skirnir: Jasny elf, sługa Frejra.

Skrymir: „Wielki”. Wyjątkowy duży olbrzym, którego Loki, Thor i Thialfi spotkali w drodze do Utgardu

Skuld: Jedna z Norn. Jej imię oznacza „to, co zostało zamierzone”, a jej królestwo to przyszłość,

Sleipnir: Koń Odyna. Najszybszy z koni, ośmionogi, potomek Lokiego i Swadilfariego.

Son: Kadź na miód.

Surtr: Wielki ognisty olbrzym dzierżący w dłoni płomienisty miecz. Surtr istniał przed bogami. Strażnik Muspellu, królestwa ognia.

Suttung: Olbrzym, syn Gillinga. Zemścił się na zabójcach rodziców.

Swadilfari: Koń należący do mistrza budowniczego, który wzniósł mur okalający Asgard. Ojciec Sleipnira.

T

Thiazi: Olbrzym, który przybrał postać orła, żeby porwać Idunn. Ojciec Skadi.

Thokk: Stara kobieta, jej imię oznacza „wdzięczność”, lecz to jedyna żyjąca istota nieopłakująca śmierci Baldera.

Thor: Rudowłosy syn Odyna, jeden z Asów, bóg gromu. Najsilniejszy z bogów.

Thrud: Córka Thora, „potężna”.

Thrym: Władca ogrów, który pragnął poślubić Freję.

Trzaskacz: Tanngrisnir, co oznacza „wyszczerzający zęby” bądź „trzaskający zębami”. Jeden z dwóch kozłów ciągnących wóz Thora.

Tyr: Jednoręki bóg wojny, syn Odyna, pasierb olbrzyma Hymira.

U

Ullr: Pasierb Thora. Bóg, który poluje łukiem i strzałami i biega na nartach.

Urd: „Los”. Jedna z trzech norn. To ona określa naszą przeszłość.

Urd, studnia: Studnia w Asgardzie, którą opiekują się norny.

Utgard: „Zewnętrzny dziedziniec”. Dzika kraina olbrzymów, w której środku stoi zamek także zwany Utgardem.

Utgardaloki: Władca olbrzymów z Utgardu.

V

Vanaheim: Kraina Wanów.

W

Walhalla: Dwór Odyna, w którym ucztują szlachetni umarli polegli w boju.

Wali: Istniało dwóch bogów imieniem Wali. Jeden to syn Lokiego i Sigyn, który stał się wilkiem i zabił brata Narfiego. Drugi, syn Odyna i Rind, spłodzony, by pomścić śmierć Baldera.

Walkirie: „Wybierające zabitych”. Dwórki Odyna, które zbierają dusze zmarłych poległych dzielnie na polach bitew i sprowadzają je do Walhalli.

War: Bogini małżeństwa.

We: Brat Odyna, syn Bora i Bestli.

Werdandi: Jedna z norn. Jej imię oznacza „stawanie się”. To ona określa naszą teraźniejszość.

Widar: Syn Odyna. Milczący bóg, na którym można polegać. Jeden z jego butów uszyto z odrzuconych skrawków skóry ze wszystkich butów, jakie zrobiono na świecie.

Wigrid: Miejsce, w którym odbędzie się wielka bitwa Ragnarök.

Wili: Brat Odyna, syn Bora i Bestli.

Y

Yggdrasill: Drzewo świata.

Ymir: Pierwsza istota, olbrzym większy niż światy, przodek wszystkich olbrzymów. Ymira wykarmiła pierwsza krowa, Audhumla.

Z

Zgrzytacz: Tanngnjostr albo „zgrzytający zębami”. Jeden z kozłów ciągnących wóz Thora.